TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM I.

WARSZAWA.

1838.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy,
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

MOJE KOCHANIE.

O! ja ją kocham....

Ona jest tak piękną; tyle wdzięcznéj lekkości, tyle zgrabności w jéj poruszeniach; tyle zalotności, tyle dowcipu, filuteryi w jéj oczach! jak pół złośliwie, pół przyjacielsko kręci główką. A przytém jest zawsze, zawsze przy mnie. Dla niéj pierwsze moje spojrzenie, moje pierwsze słowo gdy przyjdę do domu. Jéj widok, rozprasza smutne myśli które często z sobą przynoszę. Tak słodko znaleźć przyjaciołkę wracając z koła obojętnych! Przyjmuję jéj pieszczoty, oddaję jéj wzajemnie. Mały podarunek przekonywa ją że nawet oddalony myślałem o niéj. Siadam do pracy, co chwila przyjaźnie spojrzę na nią, ileż roskoszy w tych chwilach spoczynku. Gdy nieprzezwyciężona tęskność opanuje mię i uciska serce moje z siłą

która zdaje się ciągle wzrastać, nie zostawiając mi prawie nadziei zrzucenia tego ciężaru, nagle budzi mię z tego dręczącego letargu jéj słodki śpiew... z razu jest to tkliwa lekko kołysząca duszę melodja pociągająca całą moją uwagę. Zwolna tony wzmacniają się, stają się żywszemi, prędszemi; jest to brzmiące crescendo, jest to allegro pięknego koncertu. Skończyła: nowy szereg myśli snuje się w mojéj głowie, zapomniałem dręczących mię przed chwilą obrazów, i z zapałem biorę się znów do pracy.

Nigdy nie wzbudziła we mnie cienia przykréj namiętności. Nigdy dręcząca zazdrość z jéj przyczyny nie opanowała méj duszy, bo ja sam tylko jestem przedmiotem jéj przymileń i oznak jéj przyjaźni. Jeśli kto obcy do mnie przyjdzie, ona tak cicho w kąciku siedzi; ta jéj skromność zdradza ją ściągając powszechną uwagę. Ale wtedy nawet ileż powagi, ile obojętności w jéj poruszeniach! jak zimna jednostajność we wszystkiém. Ciekawy wzrok nudzi się wkrótce jéj widokiem, patrzący może powiedzieć z Lafontainem: „Piękna głowa, ale bez mózgu.“ O jak jéj wdzięczny jestem za tę powagę, za tę bojaźliwą skromność; za to przywiązanie do mnie bez podziału, za to wyłączenie kogo bądź trzeciego z naszéj zażyłości! Wieczorem ona odbiera ostatnie moje pożegnanie; a z rana nim się przebudzę, już jéj głos pieści moje ucho, i z zamkniętemi jeszcze oczami, z umysłem na wpół

uwolnionym od ciężkiéj snu zasłony, pierwszą moją pociechą jest myśl, że ją posiadam, że ona jest przy mnie, że ona napełni roskoszą cały dzień, którego blask mię budzi.

Smutną jest gdy wychodzę, mój widok powraca jéj wesołość. Nigdy nie miałem powodu skarżyć się na jéj humor, nie podobna w tym względzie znaleźć więcéj zgodności jak między nią a mną. Życie jest dla niej łańcuchem słodkich wzruszeń, przechodzi z jednego do drugiego spokojnie i bez nudnych przerw. To życie, które tyle smutków, tyle cierpień sieje wśród naszych tak rzadkich, tak krótkich roskoszy, dla niéj jest pokojem, szczęściem. Ona widzi tylko piękną jego stronę: jest to dla niéj róża bez cierni, a jéj szczęście na mnie odbłyska, jest to szczęście aniołów, cherubów, zawsze to samo, jednak nigdy nie nudzi; w roskoszy można znaleźć jednostajność, w szczęściu nigdy. Nigdy mi się nie sprzeciwia, nigdy się nie gniéwa. Ona pojmuje tak dobrze, że ją kocham, i ja o niéj równie jestem przekonany. Ja jestem jedynym przedmiotem, jedyną myślą, która ją z życia materjalnego wyrywa. Myśl o niéj zajmuje mię ciągle, i moja wyobraźnia jeszcze ją piękniéjszą wystawia!

Największą roskoszą dla mnie, jest użyć piérwszych owoców méj pracy na zadość uczynienie jéj drobnym upodobaniom, jéj małym zbytkowym potrzebom. Jest to mało dla niéj, a nieskończenie

wiele dla mnie: przeglądam się w jéj zadowoleniu, jéj radości, i dwakroć kosztuję roskoszy. Dla ocalenia jéj z niebezpieczeństwa poświęciłbym się na wszystko, bo to jest jedyny sposób odwdzięczenia się za szczęście, które jéj jestem winien. Chciałbym jéj ofiarą całego świata odwdzięczyć każdą chwilkę roskoszy, któréj mi daje kosztować. Nanieszczęście jéj żądania tak są skromne, ona tak mało potrzebuje, że moja dobra chęć musi się ścieśniać sama w sobie i silić naprożno nad wymyśleniem coby jéj mogło się podobać. Chciałbym z sercem oddać jéj wszystko co posiadam, wszystko co widzę na ziemi, w niebie ..... Ona tak piękna, tak dobra! — Nie, nigdy nie rozłączę się z moją.... **zięb ą.**

JA LUBIĘ.

Do ***

Ja lubię patrzéć w bladą twarz księżyca,
Gdy wśród miłego wieczornego mroku,
Jak zapłoniona nieśmiała dziewica,
Kryje swe oczy pod rąbek obłoku.

Ja lubię patrzéć kiedy gwiazda dniowa,
Purpurę wschodnią po niebie rozwinie,
Lub gdy w południe jak dumna królowa,
Na złotym wozie po błękicie płynie.

Lecz jeszcze bardziéj niźli w twarz księżyca,
Niźli w blask słońca wspaniały, uroczy,
Droga! ja lubię patrzéć w twoje lica,
Ja lubię patrzéć w twoje ciemne oczy.

Ja lubię pieścić wonne róży kwiecie,
Skromny fijołek z jedwabném powiciem,
Poić się wonią, tchnąć roskoszném życiem,
Ach! cóż milszego może być na świecie!

Ja lubię słuchać tęsknych dum słowika,
Gdy mrok uroczą rozpościera ciszę,
Wtedy głos jego w duszę mą przenika,
I serce moje roskosznie kołysze.

Ale nad róże, fijołki majowe,
I nad słowika dumki wśród ukrycia;
Lubię całować usta koralowe,
I lubię słuchać twego serca bicia.

DWA MAŁŻEŃSTWA.

(H. Zschokke.)

Nazywam się Filip. Mam poczciwą żonę, dwóch synów, trzy córki, i około 1800 franków dochodu. Miałem cokolwiek więcéj majątku przed wypadkami roku 1814 i 1815.

W dwódziestym szóstym roku, ożeniwszy się u-

żyłem całego zostawionego mi przez rodziców mienia, na opatrzenie się w to, co mi w nowym moim stanie mogło służyć ku potrzebie i wygodzie: usiłowałem uprzedzać wszystkie życzenia mojéj żony. Nabyłem na przedmieściu piękny nowy dom, starałem się umeblować go dobrze, zacząwszy od piwnicy aż do strychu, tak, aby na niczém nigdzie nie zbywało; kupiłem przytém kabrjolet i konia. W pięknych dniach wiosennych i letnich jeździliśmy sobie to w tę to w ową stronę dla rozrywki.

Po roku pożycia małżeńskiego, Bóg obdarzył nas dziecięciem, i mojéj żonie zaczęły nie służyć nasze przejażdżki. Nieraz myślałem już poprzednio, że kiedy się rodzina moja powiększać zacznie, trzeba będzie unikać zbytkowych wydatków. Przedałem więc konia i kabrjolet, mimo to jednak z dochodów moich nie mogłem nic oszczędzić. To mię dziwiło i martwiło, bo wiedziałem, że jeden z sąsiadów moich, nazwiskiem Jerzy, mimo, że praca jego ledwie mu przynosiła rocznie summę prawie równą moim dochodom, odkładał jednakże co rok po 600 franków na ulepszenie gospodarstwa.

— Nie mogę pojąć jak on sobie w tém radzi, rzekła raz moja żona.

— Bez wątpienia więcéj jak my oszczędza. Będzieszże miała odwagę naśladować go luba przyjaciołko?

Następnéj niedzieli poszliśmy odwiedzić sąsiada Jerzego, i po różnych rozmowach, zaczęliśmy o oszczędności:

— Wiele oszczędzamy na stole, rzekła żona pana Jerzego. Ciężkie czasy, wszystko drogie, ale cóż, trzeba się stosować; z resztą jadamy kiedyśmy głodni. Potrawy nasze nie bardzo łechcą podniebienie, ale są posilne i zdrowe. Już od dawna nie pijemy z rana kawy. Piwo grzane albo rosół smakuje nam doskonale i Bogu dzięki jesteśmy z tém zdrowi. Kawa i cukier są niekiedy bardzo drogie, a nasze śniadanie tanie i dobre. Na obiad mamy mięso i jarzynkę, na wieczerzą kaszkę albo kluseczki. Tym sposobem jesteśmy zawsze zdrowi i weseli, i nigdy nie mamy potrzeby wydawać ostatnie pieniądze. Bo ja sądzę że najsmaczniejsze kąski nie nagrodzą goryczy, jakiéj się doznaje widząc swoją szkatułkę pustą.

Wróciwszy do domu rzekła do mnie moja żona: Możemy i my cokolwiek oszczędzić; ale tak biédnie żyć, prawie suchym chlebem, to nie można nazwać życiem. Raz tylko żyjemy; dla czegóż ujmować sobie wszystkiego? Możemy mięszać cykorją do kawy, tym sposobem nie będzie nas więcéj kosztować śniadanie, jak ich piwo grzane, a przynajmniéj będzie to zawsze kawa. Co do obiadu ujmiemy jedno danie.

To rozsądne postanowienie zostało wykonanem i prócz tego żona moja wiele innych drobnych

oszczędności zaprowadziła. W ten sposób przeżyliśmy lat kilka, jednakże nie mogłem nic z moich dochodów odkładać. Przybyło nam więcéj dzieci i czeladka nasza powiększyła się, bo trzeba było przyjąć jednę jeszcze służącę do ich pilnowania. Dzieci ciągle potrzebowały więcéj sukni i wkrótce zmuszeni byliśmy płacić dziennie szwaczkę. Bóg wié, ile jeszcze ciężarów musieliśmy ponosić.

Pan Jerzy równie jak my miał pięcioro dzieci, mimo to jednak ciągle odkładał co rok sześćset franków.

— Doprawdy nie wiem jakim ten człowiek sposobem zbiéra pieniądze, mówiła moja żona.

— Oszczędza więcéj jak my, odpowiedziałem, trzebaby go naśladować.

Odwiedziliśmy znów naszego sąsiada i rozmowa przyszła z kolei na gospodarstwo domowe.

— Idzie nam lepiéj niż się mogłam spodziéwać, rzekła żona pana Jerzego. Z tylu dziećmi jest więcéj do roboty, dni krótkie, ale można sobie poradzić. Porządek, kochana sąsiadko, jest duszą i podporą naszego gospodarstwa. Wszystko idzie jak zegarek, o piątéj wstajemy, o siódméj jemy śniadanie, o dwunastéj obiad, o siódméj wieczerza, o dziewiątéj do łóżka. Jednakowo zimą i latem.

(Dokończenie nastąpi.)

DWA MAŁŻEŃSTWA.

(Dokończenie.)

— Nie uwierzycie państwo ile to można zrobić od poranku do wieczora, jeżeli kto chce pracować i rozłoży sobie czas stosownie do zatrudnień, Przytém pilnujemy niezmiernie porządku. Wszystko ma swoje przeznaczone miejsce, tym sposobem nic się nie zarzuci i nietrzeba czasu trwonić na szukanie kluczy, nożyczek, albo co podobnego. Ręczę że po ciemku znalazłabym szpilkę gdyby mi jéj było potrzeba. Tak więc mam zawsze dość czasu, i żeby się nie nudzić, szyję suknie dla moich dzieci i niepotrzebuję płacić robotnicy.

Wróciliśmy do domu.

— Nie zapomnij co sąsiadka mówiła o kluczach, rzekłem do żony.

Zrozumiała mię. Przez niejaki czas wszystko szło w domu porządnie, i moja żona nieraz spoglądała na zegar. Czystość zdawała się panować w najmniéjszym kątku mieszkania, ale powoli, powoli, zaczęto znów po pół godziny szukać kluczy. Dzieci rosły i stawały się swawolnemi, trudno je było dopilnować i porządnie ubiérać: moja żona i służąca zawsze miały wiele do roboty: tak upłynęły trzy lata. Nic nie mogłem odkładać pomimo że i ja i moja żona pracowaliśmy do upadłego.

Sąsiad Jerzy szedł daléj po swojemu, i odkładał rok w rok po 600 franków.

Niepojmuję tego, mówiła moja żona, nie ma

więcéj jak wy dochodu, jego dzieci są bardzo czysto ubrane i jeszcze co rok taką summę odkłada.

Poszliśmy znów do P. Jerzego, wynurzyłem mu moje podziwienie, że przy tak licznéj rodzinie może tak dobrze gospodarstwo swoje prowadzić.

— Nic łatwiéjszego, odpowiedział; co z jednéj strony się traci, zyskuje się z drugiéj. Pókiśmy nie mieli dzieci, ja chodziłem wieczorem do znajomych pograć w karty, napić się buteleczkę piwka; moja żona także odwiédzała swoje przyjaciółki i przyjmowała je u siebie, często było u nas dwie lub trzy obce osoby na obiedzie; teraz oboje siedziemy w domu. Możnaż przyjemniéj spędzić wieczór jak wśród kochanych dzieci wesoło igrających około kominka? Kiedy pora piękna idziemy wszyscy na przechadzkę, taka rozrywka nie kosztuje ani połowę tego, co dawniéj sproszony obiad albo wieczór. Od czasu jak moja żona zaprzestała odwiedzin, nie tak często potrzebuje nowéj sukni, kapelusza lub kołnierzyka. Bawialny nasz pokój stał się nam nie potrzebny, wynajęliśmy go, a dochód stąd, użyliśmy na ubranie dzieci; mniéj mamy mebli, firanek, mniéj roboty na utrzymanie ich w porządku, a to wszystko więcéj kosztuje czasu i pieniędzy, niż się z pozoru wydaje.

Powróciliśmy do domu. Rada P. Jerzego była nader rozsądną, usłuchaliśmy jéj. Odwiedziny i i ceremonjalne obiady ustały powoli; przez tę

zmianą zyskaliśmy i czas i pieniądze. Ale dzieci dorastając, co raz więcéj potrzebują: synom trzeba było książek i kieszonkowych pieniędzy na różne drobne wydatki, córki zaczęły się uczyć muzyki i tańca, to wszystko kosztowało bardzo drogo; rok szedł za rokiem, a ja nic nie mogłem odłożyć.

P. Jerzy nie zmienił swego sposobu życia, szedł prosto raz 'obraną drogą, i co Boże Narodzenie dokładał 600 franków do leżących już pieniędzy, choć jego synowie chodzili do szkoły, a córki zgrabnie tańczyły i nie źle grały na fortepianie.

To jest nad moje pojęcie, mówiła moja żona, on chyba musi być czarownikiem.

— I mnie to dziwi, rzekłem, i poszliśmy odwiedzić P. Jerzego.

Nie ma w tém żadnych czarów, rzekła sąsiadka nasza kiedy ją moja żona podobnym jak mnie zagadnęła wykrzyknieniem; trzeba sobie tylko umiéć radzić. Córki moje pomagają mi w gospodarstwie; co tydzień zmieniają się w doglądaniu kuchni albo robocie koło bielizny, dzielemy się pracą bez sprzeczki, i tym sposobem mamy na wszystko dość czasu. Najstarszy syn uczy się tańczyć i grać na fortepianie, łatwo zapomniałby co się nauczy, gdyby nie powtarzał pilnie w domu tego, co mu nauczyciel wskaże; aby téj domowéj pracy nie zaniedbywał, został nauczycielem swoich siostr i młodszego brata. Siostry uczy tańca i

muzyki, brata rachunków, historji i języków. Aby wieczor odegrać dobrze swoją rolę, musi bardzo pilnie w dzień się przykładać do nauk. Z takim bodźcem czyni znaczne postępy, mój mąż i ja pomagamy mu ile możemy. Ten zwyczaj wprowadziliśmy zawczasu, z początku bawiło to bardzo nasze dzieci, bo to było dla nich nowością. Teraz nie bawi ich tyle, ale przyzwyczaiły się już a zwyczaj jest drugą naturą jak przysłowie mówi.

Wróciwszy do domu chcieliśmy naśladować sposób naszych sąsiadów, ale musieliśmy zaniechać tego zamiaru, już było późno; dzieci nasze inaczéj były przyzwyczajone, a zwyczaj jest drugą naturą.

Synowie moi nie tracili próżno czasu w szkołach, ale dzieci Jerzego z mniéjszym kosztem tego samego się nauczyły, a kiedy starszy syn skończył szkoły, ojciec posłał go na naukę do jednéj znacznéj rękodzielni.

Proszę cię P. Jerzy dla czego to uczyniłeś? pytałem go.

Dla czego Pan się dziwisz? odpowiedział mi. Zdaniem mojém było zawsze, że nic nie szkodzi mieć dwie drogi do jednego celu. Syn mój znając jednę z ważnych gałęzi przemysłu, gdyby mu zbieg okoliczności nie pozwolił korzystać z nauk jakie w szkołach odebrał, będzie mógł zawsze utrzymać się i wyżywić z pracy rąk swoich. Jak odbędzie lata nauki w rękodzielni w któréj teraz pracuje, poślę go na uniwersytet do Hali lub Getyngi, potém przez rok mo-

że zwiedzić Angliją, Francją, Niemcy, na to potrzeba pieniędzy, będzie je mógł pracując w swojém rzemiośle zarobić, a przy oszczędności będzie mógł obejrzyć wszędzie to, co może się przydać oświeconemu człowiekowi. W dwudziestym drugim roku wróci do nas wybierze sobie stan do którego będzie miał najwięcéj chęci i zdatności. Tym sposobem przestanie nam bydź ciężarem potrafi się sam utrzymać, przyzwyczajony jest do życia nie wyszukanego, nie będzie potrzebował wiele, i spodziewam się że zostanie uczciwym obywatelem i dobrym ojcem familji.

Podobna myśl nie zdawała mi się złą, wspomniałem o tém mojéj żonie; podniosła oczy i ręce w górę i rzekła: — Nie, nie, mój Filipie, syn nasz musi uczyć się gruntownie łacińskiego i greckiego języka, musi potém zostać doktorem albo adwokatem: tym tylko sposobem będzie mogł zająć w świecie godne miejsce, i dobrze się ożenić. Kto wie jak może go poprowadzić w tym czasie stosowne małżeństwo, a którzyż znakomici rodzice chcieliby oddać swoją córkę rzemieślnikowi. Mówiłem o tém z moim synem. Mój ojcze odpowiedział mi żartujesz zapewne; nie trzeba dwóch srok na raz chwytać. Lepiéj jednéj rzeczy się uczyć a gruntownie. Kto chce być razem uczonym, najpewniéj skończy jak ow pies, co przez rzekę niosł kawał mięsa.

Milczałem. Syn mój uczęszczając do szkół

kosztował mię bardzo wiele, córki w domu jeszcze więcej; przestały już być dziećmi i trzeba je było wykwintnie ubiérać. Żona moja prowadziła je na wieczory, bale, i wszyscy znajdowali je bardzo przyjemnemi i ułożonemi. Oszczędzaliśmy ile możności. Ale wreszcie potrzebowały co raz nowszych sukien, kapeluszy, trzewików; niemogły zawsze wjednym ubiorze pokazywać się. Prawda że wiele rzeczy umiały same skroić i uszyć, ale igły, nici, wstążki, tiule, atłasy i muśliny, trzeba było kupować. Napróżno co dzień ujmowałem sobie wszystkiego co tylko nie było mi koniecznie potrzebném, mimo to, co rok wydawałem 300 franków więcéj niż miałem dochodu.

Mój sąsiad Jerzy ciągle swoim postępował trybem, i worek jego co dwanaście miesięcy powiększał się o 600 franków. Tym czasem córki jego ubiérały się bardzo przystojnie i chwalono je równie jak moje.

— Eh! mawiał on, byle tylko młode dziewczęta nie były tak brzydkie jak sowy, znajdą zawsze wielbicieli. O tem nie ma co myśléć, to jest rzecz bardzo prosta. Moje córki nie są świetnie wychowane, nie chodzą często na teatr i nie czytają romansów. Grają na fortepianie, śpiéwają razem w domu, odwiédzają swoje przyjaciółki i odbiérają od nich wzajemne odwiedziny; ale na żadne liczne zgromadzenia ich nie posyłam a szczególniéj do domów wyższego tonu.

Panienka młoda, która nie wié czy zawsze będzie w dobrym bycie, czy zawsze miéć będzie to co ma w téj chwili, nie powinna przyzwyczajać się do tego rodzaju życia; zamiłowanie domowego zacisza, skromna, niewymuszona postawa, to jest najważniéjszą jéj zaletą, równie jak wiadomości, pilność i czynność, najlepiéj zalecają młodego człowieka. Jest to wielki, powszechny błąd naszego wieku, że rodzice w wychowaniu swoich córek, liczą więcéj na kilka miesięcy przed ślubem, niż na całe pożycie małżeńskie. Dla tego to taka jest różnica między młodą panną a młodą mężatką, jak między latem i zimą, albo starym i nowym testamentem.

— Ma słuszność pomyślałem, i pobiegłem pomówić o tém z żoną.

— Ma słuszność, rzekła ona, ale i my ją mamy postępując inaczéj. On, dokładał grosz do grosza i zebrał posag dla córek, niedługo one będą czekać mężów. U nas rzecz się ma inaczéj, majątku córkom naszym dać nie możemy, jedynie więc musiemy liczyć na ich powierzchowne ułożenie.

Trzy córki mojego sąsiada poszły za mąż w ciągu jednego roku, moje pokazywały się wszędzie, do każdego mężczyzny uśmiechały się przyjemnie, jednak zostały pannami. Miały licznych wielbicieli, ale żaden nie spieszył prosić o ich rękę. Człowiek uczciwy radzący się serca w wy-

borze małżonki, szuka jéj na łonie godnéj rodziny w pośród cichego skromnego życia, nie zaś na polerowanéj posadzce walca.

Pan Jerzy zaraz po ślubie ostatniéj córki zmienił zupełnie sposób życia. Kupił mały wiéjski domek konia i kabrjolecik, i już nie oszczędza tak jak dawniéj. — Dlaczegóż teraz ujmować sobie? mówił do mnie przed kilku dniami. Dzięki trzydziestoletniéj prâcy i porządkowi nasze mienie powiększyło się, za poświęcenia jakie czyniliśmy przez ten czas, mamy dziś 3000 franków dochodu. Moglibyśmy zachować dawne zwyczaje żyć oszczędnie jak pierwéj, ale oboje się starzejemy ja już mam lat 58, moja żona 45, zęby nasze słabsze i ręce prędzéj się męczą jak dawniéj. Musiemy sztuką zastępować niedostatek właściwy wiekowi, dlatego stół nasz bywa teraz lepiéj zastawiony. Zamiast pieszych przechadzek jeździemy sobie do dzieci, bawiemy się z wnukami. Cóż może zrównać szczęściu naszego życia! to jest raj Mości dobrodzieju. Daj nam Boże jak najdłużéj kosztować tych rozkoszy.

Zamilkł, zobaczyłem łzę w jego oku, i moje powieki nie były suche. Ale niestety! to nie były łzy radości; rozumiecie mię. — Starość moja nie jest szczęśliwą. Opisałem moje życie, bo sądzę że to może być komu pożytecznėm, choć imie Filipa jest zmyślone, powieść jest prawdziwą; jest to historya wieln ojców familii.

NELLY.

Nie raz myślałem nad tém, co zowią antypatją, nad tym nieprzezwyciężonym wstrętem, bez żadnego powodu, który w niektórych osobach wzbudza widok, smak, lub dźwięk, dla innych przyjemny a przynajmniéj nie przykry. Sądziłem że dziwactwa te za nadto przypisują zbytniéj czułości niektórych organów, i szczególnemu działaniu na nie tych dźwięków, smaków, lub widoków, i że szukając pilnie w sercach osób które tego doświadczają, możnaby często znaleść prawdziwe źródło tych zjawień w potędze wspomnienia, jużto pewnego już błędnego, i mniéj lub więcéj silnego. Niektóre osoby mdleją od samego zapachu róży, inne na odgłos śpiewu niektórych ptasząt. Czyż nie właściwiéj jest sądzić że nie widok ani zapach róży, ale wspomnienie które ten kwiat obudza, działa tak mocno na organizacją z innéj strony silną? Jeśli dowody które z nas samych bierzemy, mogą być dostateczne, powiem, że choć nie mam żadnéj wrodzonéj antypatyi, wiele jest jednak przedmiotów, które mają istotnie nadzwyczajną władzę przedstawiania duszy mojéj w

nader silny sposób wspomnień bardzo dawnych, i prawie zagładzonych w méj pamięci.

Niektórym z tych wzruszeń towarzyszą przypomnienia dawnych wypadków zupełnie tak, jakby dopiéro wczoraj miały miejsce, przy innych z trudnością mi przychodzi przypomnieć sobie okoliczności mogące być ich powodem, nakoniec są i takie dla których po kilkakrotnie napróżno śledziłem w mojéj pamięci wspomnień mogących mieć z niemi związek. Stąd wniosłem że te ostatnie wzruszenia, które mogłem uważać za wrodzone, są także wypadkiem wspomnień, ale zupełnie zatartych z mojéj pamięci. Podług mnie antypatje nie są czem innèm jak tego rodzaju wzruszeniami, z których tylko doświadczający ich, zdać sobie sprawy nie mogą.

Niech inni sądzą: ja tylko opowiadam:

„Ostatniéj zimy podczas świetnego balu na przedmieściu Saint-Germain, mogła być godzina trzecia po pół nocy, tańczono walca, ja nie należąc do tańca, patrzałem na kręcące się przedemną lekkie pary, odbiegając i w chwilę wracając do mnie. Nie mam wstrętu do walca, owszem lubiłbym go bardzo, ale prędko zawraca mi się w głowie, i mógłbym wystawić moją damę na jaki nieprzyjemny przypadek. Patrzałem więc tylko oddając się urokowi zachwycającéj muzyki, pieszcząc się ulotnem spojrzeniem z każdą gruppą i bawiąc się przyjemnością jaką inni znajdowali w

zabawie któréj mi nie wolno było używać. W tém oczy moje zatrzymały się na człowieku mogącym miéć lat 24 lub 25 który równie jak ja patrzył tylko na tańczących, ale w którym walec zupełnie różne od moich obudzał uczucia. Bladość szlachetnéj jego twarzy, świadczyła o wewnętrzném wzruszeniu, i czoło jego zdawało się być wilgotne. Oparty na krześle, mając prawą rękę wsuniętą za frak aż po szyję zapięty, zdawał się ścigać jakieś okropne widziadło, a na szelest każdéj sukni blisko niego unoszącéj się drżał i cofał się jakby przed jakąś marą. Powstał, odszedł kilka kroków, i znów wrócił jakby go coś przykówało do tego miéjsca.

„Wkrótce przypomniałem sobie jego rysy, poznałem w nim mego towarzysza w szkołach, młodzieńca najpiękniéjszych nadziei; i do najwyższego stopnia ciekawy odkryć jego szczególną tajemnicę, korzystałem z przywileju jaki mi nadawała nasza dawna znajomość. Ta sama zapewne przyczyna, rzekłem zbliżając się do niego; skazuje nas obu na przypatrywanie się tylko téj roskosznéj zabawie?

— Mości panie!... odpowiedział jakby budząc się z uśpienia, głosem najgwałtowniéjszego gniewu...potém spojrzawszy i poznawszy mnie podał mi rękę: to ty Alfredzie,... rzekł łagodnie i widząc że z zadziwieniem nań patrzę, dodał: Ton mojéj odpowiedzi zadziwił cię, nieprawdaż? od

kogokolwiek wyjąwszy przyjaciela, gotów byłem uważać za ubliżenie, zapytanie zupełnie niewinne...Zatrzymał się słuchając obłąkaném uchem; widziałem że zadrżał i twarz jego blada skurczyła się i pokryła sinemi plamami. Muzyka zagrała inny taniec... Wyjdźmy stąd, rzekł ciągnąc mię za sobą konwulsyjnie; umarłbym w tém miéjscu... Poszedłem za nim, pobudzony ciekawością i zajęciem jakiém mię natchnął; przeszliśmy salon gry, zatrzymaliśmy się w ostatnim pokoju gdzie nikogo prócz nas niebyło; mój przewodnik rzucił się na kanapę, stan jego obudzał litość. Muzyka dochodziła jeszcze do nas ale bardzo słabo: Zawsze ta sama melodja... rzekł z obłąkaniem; potem przychodząc do siebie dodał: pomimo boleści jaką mię ta muzyka przejmuje, nie wiém jaką okropną roskosz znajduję w słuchaniu jéj.... zamilkł; zdawało mu się że widmo balu stanęło znów przed jego oczyma; patrzyłem na niego w milczeniu, chciwy dowiedzieć się więcéj, ale obawiałem się zapytaniem mojem obudzić znowu jego cierpienia, gdy nagle wiedziony tem okropném upodobaniem, które nas skłania często do wznawiania bolesnych wrażeń, tak do mnie mówił:

„Pojmuję twoje podziwienie, zaledwie możesz poznać we mnie twego towarzysza młodości, niegdyś tak wesołego, tak żywego; ale kiedy usłyszysz to co ci mam powiedziéć, nie zapytasz mię już dlaczego twarz moja jest blada i ponura, o-

wszem dziwić się będziesz że mogę żyć jeszcze... Tylko nie przerywaj mego opowiadania, pozwól biegu moim myślom, bo gdy się ogniwo ich raz rozerwie nie wiem czy zdołam je znów związać. Niekiedy, dodał głosem który mię lodem przejął, zdaje mi się że moja głowa... Przyznam się że mimo mojéj ciekawości, nie wiedziałem czy mam pragnąć, czy lękać się zwierzenia jakie chciał mi uczynić; stan w jakim go widziałem skłonił mię nakoniec do proszenia go, aby nie wznawiał wspomnień które tak mu były okropne. „Nie, odpowiedział z obłąkaniem, i zapalając się coraz bardziéj, nie, teraz już musisz mię słuchać (muzyka grała ciągle tego samego walca), i nie radbym ażeby ten walec skończył się piérwéj niż moje opowiadanie.... a potém moje wspomnienia przy téj melodji.... Słuchaj więc, ponieważ trzeba abym mówił....

„Straciłem ojca w ostatnim roku mego pobytu w szkołach; ta strata tém boleśniejszą mi była, że matka moja już od dawna nie żyła, i że nie mając siostry, ani brata, znalazłem się w dwudziestym roku, sam, zupełnie sam na świecie. To wprawiło mię w głęboką melancholją, która skłoniła mego stryja, owdowiałego od lat kilku, iż wezwał mię do siebie. Znalazłem w nim tę samą czułość i przywiązanie co w mojm Ojcu; Nelly, jedyna córka jego, młodsza o trzy lata odemnie, była mi od dawna przeznaczoną za dozgonną towarzyszkę: Dla tego

stryj mój uważał nas oboje za swoje dzieci. Z obu rodzin zostaliśmy tylko troje, tajemne nasze przywiązanie, wzmagało się potrzebą wzajemnego pocieszenia się, i między mną a Nelly, wkrótce przemieniło się w uczucie silniejsze jak przyjaźń.

Ile razy poprzednio w czasie świąt przyjeżdżałem do stryja, nie bez zajęcia patrzyłem zawsze na Nelly i oswajałem się z przyjemną myślą, że ona będzie kiedyś moją; ale zmiana ówczasowa w mojém istnieniu obudziła we mnie mocne myśli; smutek którego doznawałem, usposobił mię do tkliwości, i z rozkoszném wzruszeniem zamieszkałem miejsce w którém miałem się znajdować zawsze obok Nelli. W usposobieniu ówczesnym mojéj duszy, dziewczyna żywa, wesoła, jakkolwiek była by piękną, nie mogłaby mi podobać się; Nelly, z przyrodzenia smętna, w żałobnym ubraniu zdawała mi się jeszcze piękniéjszą i bardziéj zajmującą; ona dzieliła mój smutek, płakała razem zemną straty tak dla mnie okrutnéj; a jakież współ uczucie potężniéjsze jest, jak współuczucie boleści. Wtedy zaczęło się dla nas nowe roskoszy istnienie; ojciec Nelly ufając nam i uważając nas jak byśmy już połączeni byli z sobą, zostawiał zupełną wolność widzenia się, i dla tego całe dnie spędzaliśmy razem. Nelli przy swoim ojcu tylko, postępowała zemną z zupełną poufałością, i nie wzbraniała mi tego, czego bym ja sam nigdy od niéj nieśmiał żądać w jego nie obecności; bo postanowiłem, cokolwiek bý to kosztować mię miało,

szanować tę, która miała być moją żoną. Nelly, piękna jak anioł, była tak delikatnie usposobioną z przyrodzenia, że jedna pieszczota mogła ją zniszczyć, jedno za nadto żywe wzruszenie, zabić; jéj piękność taką była jaką Bóg daje tym, którzy nie długo mają bawić na ziemi.

Niekiedy, z ganku panującego nad całą wioską, chodziliśmy patrzéć na zachodzące słońce; ona spoglądała w niebo zciemniające się zwolna, i widziałem łzy w jéj oczach: Skąd ten smutek, Nelly? pytałem jéj. Widzę to dobrze, nudzisz się z nami, chcesz jak najprędzéj opuścić nas...powrócić... Wtedy rzucała na mnie przeciągłe spojrzenie pełne wyrzutu i słodyczy, i odpowiadała: Myślę o matce mojéj która umarła bardzo młodą!...Gdy nadchodziła jesień, i wiatr strącał zżółkłe drzew liście, nagle i bez powodu, stawała się smutniéjszą niż zwykle, łzy jéj płynęły obficie, a jeśli ją o przyczynę tego zapytałem, Myślę, odpowiadała, że matka moja w téj właśnie porze umarła... Ta wrodzona skłonność do melancholji, nadawała jéj coś wzruszającego, niebiańskiego; jednak niekiedy poddawała się wesołości, ale ta wesołość zawsze była cokolwiek rzewną, a jéj urok niewymowny.

(Dokończenie nastąpi.)

BŁAWATEK

(SONET.)

Pamiątka chwil najsłodszych, ten modry bławatek,
Ozdabiał niegdyś ciche lube me ustronie;
Zerwany wieńczył piękne mojéj lubéj skronie,
W końcu jam go otrzymał, jak szczęścia zadatek.

Odtąd chociaż nie jeden spotyka mię kwiatek,
I róże i lilje ominą me dłonie;
Nie bawi mię już barwa, nie złudzają wonie,
Serce i dłoń sam tylko przynęca bławatek.

A kiedy grot cierpienia pierś moją przeszywa,
Jego widokiem słodzę przykre życia chwile,
Wnet męstwo i nadzieja w méj duszy ożywa,

I pogodniéjsza przyszłość uśmiecha się mile.
Elino moja! ciebie tęschne serce wzywa,
Kocham cię dumny z tego, że cię kocham tyle.

A. M. T. Bar.......

NELLY.

(Dokończenie.)

Nasze dusze zawsze się z sobą spotykały; ileż to razy czytając Wirginiją albo Atalę, to samo wzruszenie, to samo rozczulenie, wytrącało mnie książkę, a jéj robotę z rąk drżących, a wtedy z sercem pełném roskosznéj smętności, przysięgaliśmy sobie nawzajem być stałemi, tak jak kochankowie których historją czytaliśmy, i wznosząc ręce w w niebo błagaliśmy Boga o szczęśliwszą i trwalszą niż ich miłość...

Ale po cóż wznawiać wspomnienie szczęścia które znikło i już niepowróci.

Tak przeszedł czas żałoby; po ukończeniu jéj, mój stryj, dla rozerwania Nelly, i zmienienia cokolwiek jednostajnych zwyczajów naszego domu, chciał znowu przyjmować gości; było to w zimie, dał więc kilka wieczorów, i mieszkanie nasze, niedawno tak smutne, przybrało wkrótce biesiadną postać.

Ten ruch, gwar, wdzięk tańca i wzruszenia Nelly w téj zabawie, do któréj niespodziewałem się żeby tyle miała skłonności, ożywiły ją, wróciła do sił i wesołości niekiedy gorączkowéj. Młoda dziewica niedawno tak smętna, oddawała się teraz z uniesieniem roskosznemu wirowi walca. Ta zmiana odkryła mi nowe powaby w Nel-

ły; ujrzałem, że w téj gorejącéj i tkliwéj duszy jest miéjsce dla upojenia roskoszy, równie jak dla dumania samotności; ta lekka istota znajdowała w miłości siły, których odmowiło jéj przyrodzenie. Oboje przywykliśmy miéć jednakowe chęci, też same uczucia, jedną duszę; walec wkrótce stał się naszą wspólną namiętnością; obejmując mojém ramieniem lekką i giętką jéj kibić, rzucałem się z nią w wir miłości i harmonji, wszystkich oczy zwracały się na nas, z trudnością ścigając nas w szybkich polotach, i tańcujący razem z nami przestawali zwykle aby patrzéć na nas; ale często zatrzymałem się nagle i niszczyłem cały urok, bo raz, po długo przeciągniętym walcu widziałem twarz Nelly bledszą jak zwykle, a chustka jéj krwią była poplamiona....

Nelly, jak wszystkie namiętne kobiéty, była zazdrosną; kilkakrotnie w chwilach odpoczynku, do którego przymuszałem ją prawie, jeźli zdarzyło mi się z inną tańczyć, Nelly nie spuszczała nas z oka ani na chwilę, szczególniéj jeźli tancerka moja była ładna i zgrabna. Za każdem spojrzeniem na nią mój wzrok rozpraszał jéj smutek, ale po skończonym tańcu, widząc jéj bladość i gwałtowne wzruszenie jéj śnieżnego łona, nieraz przyrzekałem, że już odtąd z nią tylko samą tańczyć będę...

Na jednym wieczorze, spostrzegam osobę młodą, nieznaną mi, ale któréj zachwycająca kibić

wróżyła nadzwyczajną lekkość w tańcu. O! tego wieczora, Bóg mię przeklął!... Przyjęła rękę którą jéj podałem, zaczynamy walca. Nie omyliłem się, ta kobieta zdawała się powietrzną istotą, była to druga Nelly, ale silniejsza i bardziéj jeszcze giętka: wyznam, że po kilku chwilach tańca wpadłem w zawrót uniesienia, jakiego nawet przy Nelly nigdy nie doznawałem; ulatując między niebem i ziemią, porwany jakiém, czarownem marzeniem, zapomniałem o balu i mojéj Nelly, tylko, jakby śpiąc przez połowę, słyszałem szmer podziwienia przytomnych, pomięszany z dźwiękami, które unosiły nas swym harmonijnym podziałem, i już kilkakrotnie przesunąłem się koło Nelly nie spotykając się oczamy z jéj wzrokiem, co zwykłem był zawsze czynić ilekroć z kimbądź innym tańczyłem. Przestajemy... Odprowadzam moją tancerkę do krzesła. Siadła obok Nelly, widok téj ostatniéj wyrwał mię z zapomnienia. Nelly zrywa się, biegnie ku mnie, jéj usta drżały, czułem pałający jéj oddech. Daléj, rzecze do mnie, i ja mam dość siły!... Grano wtedy tego samego walca co w téj chwili... Ta nadzwyczajna poufałość Nelly, wzruszenie jakiego doznawałem jeszcze, żądza wygładzenia z jéj pamięci mego chwilowego zapomnienia, nowym napełniają mię ogniem; Nelly rzuca się namiętnie na moje ramie i podwaja jeszcze uniesienie, któremu oddałem się, muzyka zdaje się dzielić nasz zapał, jéj tony sta-

ją się żywszemi; już to nie walec; jest to szał roskoszy, pragnienie szczęścia, które samo nawet szczęście draźni... w koło nas słyszę okrzyki podziwu, przerażenia,... ale my jesteśmy w wirze, w przepełnieniu zachwycenia, nieskończoność rozwija się przed nami i przyciąga nas... Nagle czuję że Nelly wspiéra się na mojém ramieniu, kilka okręgów jeszcze, pochyla się, pociąga mię...zatrzymuję się... patrzę na Nelly...już to nie było zachwycenie roskoszy, ale śmierć,...Nelly nie żyła... skonała na mojéj ręce... ja ją zabiłem... zabiłem!...“

Nie płakał, oczy jego były ponure, błędne; cały wydawał się jakby go zmysły odstąpiły.

Nie starałem się go pocieszyć, ale już teraz wiedziałem, dla czego drżał na odgłos walca i szelest sukni tancerek...

ZAWIEDZIONE RACHUBY.

Nie można zaprzeczyć bytności tego, co nazywają sympatją; są to węzły skryte, niewidzialne, łączące z sobą dwie istoty, które się zaledwie zdaleka widziały, a niekiedy nawet takie, które wcale niespotkały się na ziemi. Jest to niekiedy zwodne,

i sympatja będąca skutkiem jednego z zmysłów, niknie pod wpływem innego.

Izabella była panną wysokiego urodzenia, mieszkała w dobrach swego ojca hrabiego de ***, żyjąc prawie tak, jak żyły dziewice jéj stanu w wieku piętnastym; nie polowała wprawdzie z sokołem, ale zręcznie dosiadywała zwinnego siwosza; nie bywała na turniejach, nie widziała walk na ostrże, ale miała wszelkie upodobanie w opisach tych dzieł rycerskich, i wyobraźnią często przenosiła się w dawne czasy, które z ksiąg starych ojca poznała, i rozdawała w myśli nagrody najwaleczniejszym i najpiękniejszym rycerzom. Gdy doszła do lat dwudziestu, ojciec jéj zaczął myślić o mężu dla niéj. Nie było to trudném, Izabella była bogatą, a przytém ręka jéj, w dziecińḿstwie jeszcze, przyrzeczoną była synowi jednego z przyjaciół jéj ojca, młodemu margrabiemu S... któremu na imie było Artur. Samo to imie zachwycało Izabellę; tak samo nazywał się jeden z rycerzy okrągłego stołu, i kto wie czy młody margrabia od niego nie pochodził.

Wychowana zdala od dworu, od miasta nawet, Izabella znała świat tylko z romansów wyobrażała sobie Artura jako nieustraszonego rycerza, a niestety rzecz się miała zupełnie inaczéj.

Artur wychowany był w Paryżu, widział Londyn, Wiedeń, Berlin, bo młody bogaty człowiek powinien podróżować, i choć tak szlachetny jak Karol Wiel-

ki, stosował się jednak do wieku w którym się urodził i postępował tak jak inni jego przyjaciele i znajomi, Myśl połączenia się z Izabellą nie była mu nieprzyjemną. „Będzie dobrą, mawiał sobie; słodką, choć źle jest wychowana; przy staraniu, będzie można wygładzić z jéj duszy gotyckie wyobrażenia ojca. Z takiém usposobieniem, jechał dopełnić związku będącego życzeniem dwóch rodzin, i przyjemnego jak widzieliśmy, obu narzeczonym.

Przyjeżdża do dóbr Hrabiego; lekki jego powóz jak ptak mija długą drogę zasypaną gałęźmi i pniami drzew; zatrzymuje się przed zamkiem, otoczonym rowem który napełnia mętna stojąca woda. Przebywa most zwodzony; wprowadzają go do ogromnéj sali słabo oświeconéj kolorowemi szybkami w długich wązkich oknach; pyta o pana Hrabiego.

--„Pojechał na łowy.—A Panna?—Zaraz zejdzie.“ Służący wyszedł a Artur przypatruje się gotyckiéj sali; meble grubej roboty, stół długi dębowy, kilka głów jelenich utwierdzonych na ścianie i obciążonych bronią różnego rodzaju, kilka kawałów drzewa tli się na kominie, z którego dym unosi się pod strop komnaty; oto obraz który widział przed sobą. Tymczasem Izabella drżąc schodzi do sali gościnnéj. Wesoła; spostrzega młodego człowieka przystojnego, ale niskiego, szczupłego, bladego, w pięknym krawacie białym, w czarnym fraku zapiętym aż pod szyję, w pończochach czarnych jedwabnych, i trzewikach balowych. Czyż to miał być jéj rycerz?

niepodobna! wyglądał zaledwie na przestrojonego młodego giermka.

Artur niewzruszony patrzył na Izabellę, „tożto jest, myślał sobie, ta dobra słodka dziewica, którą wyobraźnia moja wystawiała sobie tak przyjemną? Nie! Na Boga! ta wysoka postać, gęste brwi i potężne ręce, przestraszają mię: mam więc zaślubić tego dragona! — Nic nie rzekli do siebie; Artur żałował małéj szwaczki z ulicy Montorgueil, któréj postać stosowniéjszą była dla niego niż olbrzymia Izabella. Ona zaś myślała o synu jednego dzierżawcy w dobrach Hrabiego, którego wzrost i rysy więcéj podobieństwa miały z bohaterami, o których marzyła, niż maleńki wyświéżony margrabia.

Ci młodzi kochali się nim się poznali: oziębłość zastąpiła miejsce sympatji za pierwszém spotkaniem się. Jednak połączyli się z sobą bo Artur nie tyle szukał ognistéj miłości ile dostatków, a Izabella posłuszną była ojcu, jak wszystkie dziewice w wiekach rycerskich.

IMPROWIZACJA

W ODPOWIEDZI NA MYŚL:

„Słowicze dźwięki w mężczyzny głosie,
„A w sercu lisie zamiary."

SWITEZIANKA.

Prawda że często w pochlebnym głosie,
Tajemna kryje się zdrada;
Ale kto poznał, pokochał Zosię,
Kto serce Zosi posiada,

Ten pewno w mowie, ten pewno w duszy,
Chytrych podstępów daleki.
Moc go piękności obcéj niewzruszy,
Wiernym zostanie na wieki.

Bo kto w postaci lubéj ziemianki,
Znajdzie anioła dobroci,
Komu wzajemna miłość kochanki,
Każdą nić życia ozłoci;

Czyliż ten zechce przez własne wady
Zatruć niebieskie słodycze?
Ach! gdyby tylko skorém do zdrady
Nie było serce dziewicze.

A. M. T. Bar......

ZAMIAR PODRÓŻY.

DUMANIE PRZED KOMINKIEM.

Tom! nie wiesz wiele mil ztąd do Pekinu? bo mi się nudzi tu na krześle...

Sterne.

Muszę podróżować; nudzi mię ta jednostajność moich domowych bogów, zawsze tych samych. Bądźcie zdrowe nudne przechadzki, złośliwe towarzystwa, pełne obmowy, nieszczerości, plotek. Stało się, muszę podróżować; chcę doświadczyć tych nowych uczuć, tych silnych wrażeń, które sowicie wynagradzały trudy znakomitych podróżników. Otrzymam choć listek, choć pół, choć ćwierć listka z wieńca Kolumba, Mungo-Parka, Cooka, choć cząstkę ich nieśmiertelności, ich sławy.

Daléj! siadajmy do powozu pocztowego; gotów jestem pogardzić groźbą burzliwych mórz, drapać się na niedostępne niebotyczne góry, i mierzyć je; wznieść się aż pod niebo albo zstąpić w wnętrze ziemi, aby wydrzeć przyrodzeniu jego taje-

mnice, i zbogacić państwo nauki, rozwiązaniem najtrudniejszych zagadek.

Ale dokądże się udam? z kąd rozpocznę mój chwalebny niebezpieczny zawód? Patrzcie, co to jest lekkomyślność, brak zastanowienia, o mało nie siadłem do powozu nie obrawszy celu podróży, co przecię zdaje się być koniecznem. Trzebaż przecie z tylu dróg wzywających ciekawości wędrowców, wybrać jednę, poradzimy się mappy.

Czy Wenecja ma mieć zaszczyt otrzymania pierwszeństwa? Wenecja, ten skielet, to wspomnienie, z swemi pomnikami, kanałami, gondołami? Nie, znam ją aż nadto z opisów naszych romantycznych poetów. Któryż z nich nie zwiedzał Wenecyi przynajmniéj w odzie albo romansie, któryż nie płakał, nie wzdychał, nie jęczał nad Wenecją? Zużytą już jest cała ziemia włoska, cała Szwajcarja, Pireneje; straciły już wartość wodospady i chatki, przepaście i lawiny. A morze, porty, i cała żegluga, jakiż mogą mieć powab dla tego, kto czytał romanse panów Corbière, Sue, Jal i innych, którzy z takim talentem odkryli nam okropne ich piękności? Burza, huragan, rozbicie, bitwa morska, walka człowieka z oceanem, cóż mi mogą przedstawić nowego, kiedy czytałem *Salamandrę* i *Coucaratha*?

Prócz tego abonuję, a co większa, czytam Podróż Malowniczą około świata, wszystkie Magazyny, Mozajki etc. to mię obciąża, gnębi; niéma

kącika na świecie, nie ma zwierzęcia, rośliny, kamienia, któreby mi nie były znane; dzięki Magazynom przebiegłem dokładnie obszerne kraje przyrodzenia. Jakaż podróż może mię bawić? jestem syty piękności natury, wzruszeń, roskoszy, podziwienia, uwielbienia; moja ciekawość nic już dla siebie nie znajduje, świat nie ma dla mnie nic nowego, gdziekolwiek zwrócą się moje oczy, wszędzie znajduję przyjaciół, znajomych. Stało się, nie będę podróżował, zostanę przy moim kominku!....

Tak dumałem, siedząc przed ogniem, kiedy zadzwoniono do moich drzwi; otwieram; Ernest, mój przyjaciel wbiega wołając:

— No jakże? namyśliłeś się? postanowiłeś?

— Istotnie, namyślałem się, i przyznam ci się, że dobrze rzecz rozważywszy, podobno najlepiéj będzie zostać...

— Alež w twoim wieku, w trzydziestym czwartym roku!

— Właśnie! jest to wiek dojrzałości, rozsądku; zaczynam oceniać słodycze pokoju, korzyści cichego życia.

— To też dla tego nie możesz zostać...

— Zostanę, powiadam ci, chyba, że mi znajdziesz....

— Właśnie znalazłem; ręczę że będziesz zado-

wolony z mego wyboru... wdowa dwudziesto pięcio letnia.

— Wdowa!... cóż to znaczy?... nie zrozumieliśmy się widzę, ja mówiłem że chcę zostać...

— Kawalerem?... nic z tego mój miły, nic z tego, ożenisz się, musisz się ożenić, to jest ci koniecznie potrzebném.

— Ale ja myślałem, że mi mówisz o podróży.

— Małżeństwo, podróż, to prawie jedno; piękny to jest kraj małżeństwa, ręczę że ci się bardzo spodoba.

— Jestże tam co malowniczego?

— Nie ze wszystkiém, ale za to znajdziesz w nim pokój, szczęście, słodycz związków rodzinnych.

— Oho! jak zaczniesz chwalić, to się może i odważę....

— Powiedziałem ci, że będziesz zadowolony. Czyliż nie nudzi cię to życie jednostajne, obojętne? lękaj się losu starych kawalerów. Osoba, którą wybrałem, jest dla ciebie stósowną pod każdym względem, ufaj mojéj staréj przyjaźni.

— Dobrze więc, pomyślę nad tém. Dasz mi dwadzieścia cztery godzin do rozwagi; wybiérając się w taką podróż, trzeba się długo z sobą rachować.

— I owszem; jutro o czwartéj przychodzę, i mam nadzieję, że za trzy tygodnie będziesz już żonatym.

Mój przyjaciel wyszedł, zostawiając mię pogrążonego w myślach poważnych, głębokich. Już tu nie idzie o Wenecją, Pireneje, Szwajcarją; idzie tu o małżeństwo, świat, o którym opowiadania podróżników tak są sprzeczne, którego karta jeszcze jest bardzo niedokładnie skreślona, choć więcéj wędrowców zwiedzało go niż Paryż i Londyn; a mój przyjaciel Ernest zostawia mi tylko dwadzieścia cztery godzin do namysłu!

CUDOWNA TKANINA.

POWIESĆ Z XIV WIEKU.

Trzéj awanturnicy zgłosili się do jakiegoś Barona, mniéjsza o to jak on się nazywał, dość że był Baronem, bogatym, i lubownikiem przemysłu. Ci ludzie oświadczyli mu, że umieją robić tkaninę, bardzo kosztowną, ale która ma tę własność, że kto tylko

jest z nieszlachetnego rodu, albo swoje przyjście na świat winien występkowi swéj matki, albo nakoniec zdradzany jest przez swoję żonę, nie zobaczy jéj i nie będzie mógł się jéj dotknąć.

Podobało się to Baronowi, chciał tym sposobem doświadczyć swoich wazali, i dla tego przeznaczył mniemanym rękodzielnikom piękny dom, i kazał im dać wielką ilość złota, srebra i jedwabiu, co, jak mówili, potrzebne im było do roboty. Po trzech dniach doniesiono Baronowi, że robota już jest rozpoczęta i że może przyjść ją zobaczyć.

Chcąc się przekonać, Baron posłał swego Marszałka dworu, któremu robotnicy opowiedzieli własności cudownéj tkaniny, pokazując mu ją. Biedny Marszałek nic nie widział, nie śmiał jednak tego wyznać i poszedł do Barona upewniając, że nic piękniejszego i delikatniejszego w życiu swojém oczy jego nie widziały.

Co trzy dni o równą ilość powiększała się robota. Baron mając zamiar wszystkich swoich dworzan doświadczyć, posyłał jednego po drugim, a wszyscy wracali chwaląc wyrób, którego nie widzieli.

Nakoniec Baron sam chciał zobaczyć. Zastał robotników siedzących przed stołem. Jeden z nich powstawszy, podczas gdy dwaj inni nie przestawali roboty, udając jakby rozwijał sztukę jedwabnéj tkaniny, mowił do Barona: „Jakie piękne tło, jaki dobór kwiatów, jaki dokładny rysunek. Ten kolor jak z lekka spływa się i mieni, uważając pod światło! Ba-

ron zawstydzony i do rozpaczy prawie przywiedziony, nie wiedział co ma mówić o tém czego nie widział, a co jednak inni widzieli.

Zaczął obwiniać w duszy swego ojca, matkę, i gotów był wyrzuty czynić swojéj żonie. Jednak nie zdradził swego pomięszania, i na każde słowo robotników odpowiadał pochwałami niewidzialnego dzieła. Cały dwór podobnież postępował, bo każdy sądził, że ocała swój honor, utrzymując, że widzi cudowną tkaninę.

Nasi awanturnicy nakoniec prosili Barona, żeby pozwolił zrobić sobie suknię z téj tkaniny i żeby przywdział ją w dniu jakiejś nadchodzącéj uroczystości. Baron przystał na to, spodziewając się, że tym sposobem odkryje się między jego poddanemi choć jeden równie jak on nieszczęśliwy, a nie tyle ostrożny.

Robotnicy udawali, że mu biorą miarę, że kroją tkaninę już ukończoną, i że z niéj szyją suknię. Nakoniec ubrali niby to Pana Barona, który wsiadł na pięknego konia i wpośród wspaniałego orszaku wyjechał za obręb swego zamku.

Wszyscy znakomitsi lennicy wiedzieli o własnościach cudownéj tkaniny, nikt nie chciał zdradzić swojéj tajemnicy i Baron do koła słyszał, jak chwalono suknię któréj on na sobie nie widział; kiedy do rozpaczy prawie przychodził, w tém jakiś młody wieśniak spostrzegłszy to zawołał: „Co

to znaczy? Pan Baron w koszuli?" Inni wieśniacy to samo powtórzyli. Powoli i dworzanie przyznali że nic więcéj nie widzą, a Baron nie zapierał się także dłużéj.

Dworzanin wysłany do domu, gdzie rękodzielnicy mieli swoją pracownią, zastał dom pusty i ani śladu złota, srebra, jedwabiu, z którego pozornie robiono cudowną tkaninę. Baron nie kazał ścigać oszustów, ciesząc się, że przynajmniéj nie pokazał się gorszym pod drażliwym względem honoru, od wszystkich swoich poddanych.

MARJA,

CZYLI

NIEBIESKA CHUSTKA.

W końcu Października roku 18**, wracałem pieszo z Orleanu do zamku de Bardy; przedemną, tą samą drogą szedł pułk gwardji cudzoziemskiéj. Przyspieszyłem kroku, aby słuchać muzyki wojskowéj, którą bardzo lubię; ale muzyka ucichła, i tylko kilka uderzeń bębna, zdala oznaczało pochód żołnierzy.

Po pół godziny marszu, pułk zatrzymał się w dolinie, otoczonéj staremi świerkami. Zapytałem się znanego mi kapitana, czy to będzie przegląd.

— Nie, odpowiedział, będą sądzić i może rozstrzelają jednego żołnierza z mojéj kompanji, za kradzież którą popełnił w domu gdzie stał kwaterą.

— Jakto, zapytałem, mają go sądzić, potępić i wykonać wyrok, wszystko w jédnéj chwili?

— Tak jest, odpowiedział. Jeśli pan jesteś ciekawy, pozostań tu, to długo trwać nie będzie.

Zostałem, bo takie wypadki zawsze żywo mię

zajmują, chciałem zobaczyć jaki wyraz nadaje śmierć twarzy umiérającego. Poszedłem za kapitanem.

Pułk stanął w kwadrat. Za drugim szeregiem pod lasem, kilku żołnierzy kopało dół. Dowodził niemi porucznik.

Ośmiu oficerów w środku kwadratu siedziało na bębnach; dziewiąty pisał na kolanie, niedbale.

Przywołano obwinionego. Był młody, wysokiego wzrostu, rysów łagodnych i szlachetnych. Za nim szła kobiéta jak się zdawało jego oskarżycielka.

Gdy pułkownik chciał zapytać oskarzycielki, młody żołnierz zawołał:

— Panie Pułkowniku, wyznam wszystko, ukradłem téj kobiecie chustkę.

— Ty, Peter? zawsze uchodziłeś za poczciwego człowieka.

— Tak jest Pułkowniku; starałem się zawsze podobać moim zwierzchnikom. Tę kradzież nie dla siebie popełniłem, ale dla Marji.

Pułkownik. Któż to jest ta Marja?

Peter. Marja, która mieszka tam... niedaleko Arenbergu... gdzie ta wielka jabłonka... Ah! już jéj więc nie zobaczę!

Pułkownik. Nie rozumiem cię, wytłómacz się.

Peter. Czytaj pułkowniku ten list...

Pułkownik przeczytał list następujący, którego wszystkie wyrazy pozostały w mojéj pamięci.

„Mój miły przyjacielu,

Korzystam z odjazdu Arnolda, który ma służyć w tym samym pułku co ty, aby ci przesłać ten list i woreczek który dla ciebie robiłam. Musiałam kryć się z tą robotą przed ojcem, bo on mię łaje że ja cię kocham i ciągle powtarza że już nie powrocisz do nas. Wszak ty powrócisz, nieprawdaż? A choć byś i nigdy nie miał wrócić, ja cię nie przestanę jednak kochać. Przyrzekłam należyć do ciebie od owéj chwili kiedyś podniósł moją chustkę podczas tańca w Arenberg, aby mi ją oddać. O kiedyż cię znowu zobaczę? Ale to mię pociesza że wszyscy mówią iż się dobrze sprawiasz i jesteś lubionym od zwierzchników i towarzyszy twoich. Jeszcze masz zostać w pułku przez dwa lata, odbądź że je jak najprędzéj, bo wtedy połączemy się.

„Bądź zdrów mój luby Peter.

„*Twoja Marja.*"

„P. S. Staraj się przysłać mi co z Francji, nie dla tego żebym cię nie zapomniała, ale żebym miała coś twojego przy sobie. Ty pocałujesz to co mi przyślész a ja pewną jestem że odrazu rozróżnię miéjsce które odebrało twój pocałunek.

Po odczytaniu listu Peter mówił znowu."

— Arnold oddał mi ten list wczoraj w chwili gdym wrócił do domu. Całą noc nie spałem; myślałem o Maryi. Ona żądała żebym jéj przy-

słał co z Francji, nie miałem pieniędzy; resztę żołdu oddałem memu bratu który przed kilku dniami poszedł w nasze strony. Dziś z rana, wstawszy, otworzyłem okno; niebieska chustka wisiała na sznurze, podobna do chustki Marji, ten sam kolor, takież białe kraty; drżąc wziąłem ją i schowałem do kieszeni. Zszedłem na ulicę, żałowałem mego postępku, chciałem wrócić do domu, kiedy ta kobiéta wybiegła za mną, zatrzymała mię i znalazła swoją chustkę. Oto jest szczera prawda. Nasze ustawy skazują mię na rozstrzelanie, wykonajcie ten wyrok, ale nie pogardzajcie mną.

Sędziowie nie mogli ukryć wzruszenia. Jednak gdy przyszło do głosowania został jednozgodnie skazany na karę śmierci. Z zimną krwią słuchał wyroku; potem zbliżywszy się do kapitana, prosił go o cztery franki. Kapitan dał mu te pieniądze.

Widziałem jak przystąpił do kobiéty która trzymała chustkę niebieską. „Oto są cztéry franki rzekł, może ta chustka kosztuje więcéj, ale ja i tak bardzo drogo wkrótce za nią zapłacę.

Potem biorąc chustkę, ucałował ją i oddał kapitanowi.

— Kapitanie, rzekł, za dwa lata powrócisz w nasze góry, jeśli będziesz w Arensbergu, zapytaj się o Marją, oddaj jéj tę chustkę ale niepowiadaj jak ją kupiłem.

Ukląkł, modlił się przez chwilę i pewnym krokiem postąpił na przeznaczone miéjsce.

Odszedłem, aby niebyć świadkiem końca tego okropnego wypadku. Odgłos kilku wystrzałów ogłosił mi w kilka chwil wykonanie wyroku.

W godzinę powróciłem w to samo miéjsce, pułk już się oddalił, wszystko było spokojnie; tylko pod lasem zobaczyłem ślady krwi i dół świéżo zasypany.

Ułamałem gałęź świerku, zrobiłem z niéj na prędce rodzaj krzyża i zatknąłem go na grobie biednego żołnierza o którym nikt już zapewne nie pamięta tylko ja... i może Marja.

DOŚWIADCZENIA.

Hrabia d'Oldagner był pod panowaniem Filipa Vgo vice-królem Mexyku. Po dwudziestu latach pobytu w nowym świecie, chciał powrócić do Hiszpańji. Z trudnością przyjaciele jego otrzymali od Króla uwolnienie go od powierzonych mu

obowiązków, bo Hrabia nietylko był wiernym poddanym, ale nadto urzędnikiem pełnym zdolności i oświecenia. Powróciwszy z Mexyku z znakomitym majątkiem były vice-król osiadł w pysznym zamku w Królestwie Walencji i poświęcił swoje życie wychowaniu jedynéj swéj córki Eleonory.

Eleonora miała wtedy lat piętnaście; jéj oczy pełne szlachetności i słodyczy, lekka melancholja w jéj rysach rozlana, kibić wysmukła, ściągały ku niéj wszystką szlachetną młodzież Walencji; widząc ją nie podobna było nie wykrzyknąć: Ah! jakże jest piękną! Ale gdy oczy wielbicieli przebiegając chciwie wszystkie jéj rysy, dostrzegły w czarnych włosach blask rzadkich wielkością djamentów, na piersiach ogromne czyste perły i kosztowne spinki utrzymujące najdelikatniéjszą tkaninę zasłony, mimowolnie wołali albo przynajmniéj myśleli; ah! jak jest bogatą. Imie Eleonory jedynaczki vice-króla Mexyku przebiegało z ust do ust i codziennie najbogatsi i najznakomitsi panowie całéj Hiszpańji powiększali świetny orszak otaczający ją w pałacu jéj ojca.

Ale Hrabia, którego zawczesna śmierć jego ukochanéj małżonki pogrążyła w bolesnych wspomnieniach, nie bez trwogi patrzał na hołdy składane jéj córce, bo czuł że większa ich część jest interesowną. Jedyném jego życzeniem była pomyślność i szczęście córki, a ojcowskie serce drżało na widok licznych tych zalotników, którzy

wcześnie pośród zepsucia dworu, nauczyli się ukrywać swoje błędy i występki, żartować po cichu z uczuć najtkliwszych i najwznioślejszych, udając otwarcie najszlachetniejsze i najczystsze zasady.

Dnia pewnego hrabia Oldagner oddany zwykłym dumaniom zawołał swego intendenta Miguela de Sebrera. Był to syn cyrulika w Madrycie, jak wszyscy Kastyljanie uważał się za szlachcica i nigdy nie wymówił nazwiska swego ojca bez przydatku Don. Mimo téj śmieszności, Miguel był dowcipny i rozsądny; przywiązany do swego pana i oddany mu zupełnie. Te przymioty, tak rzadkie nawet w Hiszpańji, sprawiły to, że Pan jego uważał go raczej za przyjaciela niż sługę. — „Miguelu, rzekł Hrabia do wyhodzącego; dziś więcéj niż kiedykolwiek, potrzebuję twojéj rady; trzy znakomite osoby proszą mię o rękę Eleonory. Ale mimo wszystkiego dobrego co mówią o tych trzech szlachetnych młodzieńcach, przyznam ci się że nie jestem w stanie wybrać z nich jednego. Piérwszy jest synowcem Księcia Medyny, to jest Don Alvar de Cacerés, drugi syn pierwszego ministra Margrabi Santa-Cruz; trzeci kawaler d'Alcantara. Don Manuel Orlitz, ojciec jego, został mianowany admirałem, spodziewa się gubernatorstwa na wyspie Mahon; poradź mi; wiesz że wszystkie moje życzenia i chęci zmierzają do uszczęśliwienia mojéj córki. Szu-

kaj sposobu jakim mógłbym poznać dokładnie sposób życia i charaktery tych trzech starających się o jéj rękę. Połączyć tego anioła z istotą niegodną taki skarb posiadać, byłoby to zadać mi cios śmiertelny.

Miguel namyślał się przez chwilę, potem rzekł: Jeden tylko widzę sposób, poznania najdrobniéjszych szczegółów postępowania Don Alvara, Margrabiego Santa-Cruz i kawalera d'Alcantara. Jest dziwny, szczególny, może nawet śmieszny; ale mi się zdaje być doskonałym. Wiesz Hrabio że małpy, naśladują z zręcznością i dokładnością, wszystko co kto przy nich robi, posiadasz jednę która tyle prawie ma rozumu co niejeden uczony z Salamanki. Żądaj pan żeby małpa ta dziesięć dni bawiła u każdego z *pretendentów*. Któż odgadnie prawdziwy cel tego żądania. Małpa będzie dla nas zwierciadłem w którém ujrzemy tych ichmościów nie takiemi jakiemi wydają się w świecie, ale jakiemi są istotnie.

(Dokończenie nastąpi.)

DOŚWIADCZENIA.

(Dokończenie.)

Hrabia nie mógł się wstrzymać od śmiechu nad tym nowym sposobem poznawania ludzi. Polecił Miguelowi przygotowanie wszystkiego co mogło pomyślny skutek przyjętemu środkowi zapewnić, sam zaś udał się do swéj córki, która tym razem znalazła go weselszym i mniéj zamyślonym jak zwykle.

Tymczasem intendent Don Miguel nie tracił ani chwili, aby Gasparda (to było imie małpy) przygotować do stawienia się u synowca księcia Medyny. Od tego młodzieńca miały rospocząć się doświadczenia. Gaspardo został ubrany w aksamitne suknie złotem haftowane, i zawieziony do pałacu księcia Medyny.

Pomimo zaufania jakie miał w dowcipie swojego zasłużonego sługi, Hrabia Oldagner niewiele spodziewał się korzyści z podróży małpy: „Wiem mówił on do Miguela, że Gaspardo jest bardzo dowcipny, ale któż zaręczy że Don Alwar zechce mieć cały dzień przy sobie takiego gościa?

— Nie znasz Hrabio kochanków, odpowiedział Miguel. Żebyś był posłał Don Alwarowi najlich-

szego muła ze swéj stajni, zrobiono by mu miéjsce w salonie.

Nie omylił się Don Miguel w swojéj rachubie, małpa nie opuściła na chwilę młodego synowca księcia Medyny. Po upływie dni dziesięciu, intendent w towarzystwie kilku lokai udał się dla odebrania małpy; Gaspardo z trudnością dał się namówić do odstąpienia młodego pana, a ten ostatni wylewał *niby* łzy rozstając się z ulubieńcem hrabiego Oldanger.

Miguel i małpa przybyli do pałacu byłego vice-króla Mexyku, w chwili gdy biesiadnicy wstawali od uczty, udając się do salonów gry. Nasza małpa widząc próżne butelki i resztki biesiady, siadła za stołem i piła dopóty aż dymy wina zakręciły jéj w głowie, a wtedy rzuciła się w ubraniu na kanapę.

Ojciec Eleonory uwiadomiony przez Miguela był świadkiem postępowania Gasparda.

Widzisz Hrabio, mówił intendent, córka twoja nie może być żoną takiego marnotrawcy, który noce trawi przy stole między butelkami Cypryjskiego i Szampańskiego wina: Don Alvar nie jest godnym jéj miłości. Teraz koléj na margrabiego Santa-Cruz, zobaczymy czy będziemy szczęśliwszemi.

Nazajutrz z równą uroczystością powieziono małpę do syna pierwszego ministra. Gaspardo przyjęty z oznakami radości nie opuszczał nowe-

go swego pana ani na chwilę. Dziesięć dni upłynęło, powrócił do pałacu hrabiego, zaledwie wszedł, rzucił się do sali gdzie grano, wziął karty, tasował je, zbiérał, kładł na prawo i na lewo, i co chwila sięgał do kieszeni jakby dobywając pieniędzy. Panie hrabio, rzekł intendent, córka wasza nie może zostać żoną szulera. Zobaczemy jeszcze jutro, czy nie lepszy będzie kawaler d'Alcantara.

Gaspardo po dziesięciu dniach pobytu w pałacu d'Orlitz za powrotem rzucał się do nóg każdéj kobiecie którą spostrzegł, ściskał jéj rękę, całował, wzdychał i płakał i różnemi wykrzywieniami starał się malować miłość któréj ani on, ani jego wzór, nie czuł zapewne. Oho! ten jeszcze gorszy niż dwaj poprzedni, zawołał Miguel, Córka pańska hrabio uszła nieszczęścia na jakie naraziłaby się zostając żoną rospustnika, szulera albo marnotrawcy. Hrabio, wolny jesteś od przesądów, uważasz więcéj na szlachetność uczuć niż rodu, a przedewszystkiem masz na celu dobro hrabianki Eleonory. Uważałem że młody malarz który robił obraz córki waszéj, bladł, mienił się i wzdychał odchodząc z miéjsc przez nią zamieszkanych. Ten młodzieniec jest synem dzielnego marynarza, Ferdynanda Barthaler; który odznaczył się jako kapitan okrętu w wojnie z Portugalczykami; ma piękny talent i piękniéjsze serce, jest biedny ale szlachetny, daj mu sposób zosta-

nia bogatym i znakomitym, oddaj mu rękę Eleonory. Ale mimo dobrego o nim zdania ludzi poślijmy mu Gasparda; jest on naszym prawdziwym probierczym kamieniem.

Podobała się ta rada Hrabiemu. Posłano małpę malarzowi. Po dziesięciu dniach wrócił Gaspardo zupełnie zmieniony. Poprawił się z wszystkich złych nałogów; ciągle naśladował człowieka malującego i zamyślonego, a kiedy spostrzegł obraz Eleonory porwał go całował i z taką siłą przycisnął do piersi że ledwo ram nie po gruchotał.

Oldagner zarówno ucieszony i zadziwiony tem nowém odkryciem, połączył córkę swą z młodym artystą. Miguel, intendent, został sowicie wynagrodzonym, a Gaspardo zestarzał się u rodziny któréj szczęścia był mimo swéj wiedzy sprawcą.

WIESZCZBIARZ.

Na przedmieściach Genewy snuje się bardzo wiele wróżek, które utrzymują się z dobrowolnéj daniny, jaką im łatwowierność pobliskich wieśniaków, a nieraz i znakomitych osób składa. Jedna

z krewnych moich, mieszkająca w okolicy, ślepe miała zaufanie w ich sztuce, Od dawna już nie odebrała żadnéj wiadomości od swego syna, służącego w armji Bonapartego, los jego bardzo ją niepokoił. Postanowiła więc pójść poradzić się miéjscowéj pitonissy; ja jéj towarzyszyłem. Poprowadzono nas do kobiéty młodéj jeszcze, kształtnéj kibici, włosów blą̨d i oczu niebieskich. Nie mogłem z razu wierzyć żeby to była wieszczka, któréj szukaliśmy; inaczéj ją sobie wystawiałem: spodziewałem się znaleść zgrzybiałą staruszkę z twarzą wywiędłą, zmarszczkami pooraną, z siwemi włosami, które zima jéj życia rozrzedziła. Wątpliwość moja niedługo trwała; wróżka zakręciła swoje czarodziéjskie koło, i zapewniła nas że osoba o którą pytaliśmy się ma się bardzo dobrze, i że odbierzemy od niéj list w ciągu dni kilku. Na trzeci dzień, istotnie list przybył. Krewna moja ucieszyła się, ale niebyła zadziwioną; przepowiednia Izaury była dla niéj słowem Ewangelji.

Odwiedziny nasze na ulicy ciemnéj i ciasnéj gdzie mieszkała Izaura, często się ponawiały, i nieznacznie zrodziła się jakaś zażyłość między nią i nami. Jakkolwiek postać Izaury była poważną i nakazującą, w gruncie była ona bardzo wesołą i rozmowa jéj miała wiele powabu. Była dobrze wychowaną i czytała ciągle dzieła znakomitych pisarzy. Nie jedną godzinę strawiłem słuchając jéj,

i nie mogłem wydziwić się pogardzie jakiéj nie oszczędzała dla swego rzemiosła.

Pewnego dnia ułożyliśmy przejażdzkę po jeziorze, zabrawszy z sobą dostateczne zapasy, wsiedliśmy do rybackiéj łódki. Wkrótce wysiedliśmy niedaleko pięknego miasta Thonon, na przeciwnym brzegu jeziora, do pustelni ukrytéj w gaiku.

Była ona skromnie umeblowaną, i jedynie zamieszkaną przez starca. Ten uściskał Izaurę i przyjął nas z uprzéjmą serdecznością. Dostrzegłem w chwilę poźniéj że dziewica wsunęła mu sakiewkę. Starzec przyjął to zimno, w Izaury oczach zabłysnęły dwie krople łez.

Udaliśmy się nad brzeg jeziora, starzec wziął moją rękę, i poszlismy kilkanaście kroków naprzód, zostawiając za nami Jzaurę z moją krewną. Pomimo siedmdziesięciu lat Alberti nie stracił żywości młodzieńczéj; zadziwiał mię mnóstwem uwag głębokich albo złośliwych. Niekiedy wymówił kilka słów względem przeszłego swego życia, które bardzo budziło moją ciekawość. „Jesteś cudzoziemcem? odważyłem się nakoniec przemówić.“ Starzec zmarszczył brwi i rzekł po chwili: „Tak jest urodziłem się w Kalabrji roku 17**, nieprzewidziane okoliczności, przymusiły mię do opuszczenia mojego kraju, ale to jest zdarzenie, które opowiem ci innym razem: odwiedź mię znowu.“

Nie omieszkałem tego uczynić; kilkakrotnie sam odwiedzałem Albertego; ale nie zdawał się być

usposobionym do dopełnienia swéj obietnicy, a nie śmiałem mu jéj przypominać. Nakoniec pewnego dnia, kiedym go zastał pogrążonym w głębokiem dumaniu, a zatem zdolniéjszym do wynurzenia się przyjacielskiego, poprowadził mię w samotne ustronie i w te słowa zaczął opowiadać:

— Od młodości trudniłem się sztuką zwodzenia ludzi; w Neapolu zyskałem sławę wielkiego wieszczbiarza. Wielcy panowie i panie dworu, przychodzili do mnie po radę; zebrałem znakomity majątek. Smutny wypadek spowodował mię do porzucenia tego występnego rzemiosła: Margrabia B..., pochodzący z znakomitéj rodziny włoskiéj, był wielkim stronnikiem tajemnych nauk; wezwał mię do siebie, i w krótce stałem się jego wyrocznią. Pan B... miał dwóch synów, Joachima, który miał odziedziczyć tytuły i majątek ojca, i Ludwika, którego zrobiono kawalerem Maltańskim i przeznaczono do wojska. Dwaj bracia zdawali się bardzo czule kochać. Joachim był wychowany z młodą Marją, kuzynką swoję, i jedyną dziedziczką bogatego hrabiego G... Ich małżeństwo zostało ułożone przez ich ojców, aby w jednym domu połączyć ogromne dwa majątki. Ci młodzi narzeczeni chociaż nie kochali się miłością ognistą i gwałtowną, tajemnie jednak przyrzekli sobie wzajemnie do siebie należeć. Wszystko było gotowe; wkrótce miano młodą parę poprowadzić do ołtarza, gdy nagle znikł Joachim.

Dzień przeminął, a niewiedziano co się z nim stało. Przerażenie ogarnęło rodzinę; Ludwik szczególnie okazywał rospacz. Nazajutrz Margrabia B... rozesłał na wszystkie strony ludzi aby starali się dowiedzieć co o jego synu, ale wszystkie wiadomości zebrane przez nich, ograniczyły się na tem że widziano młodego Joachim przechadzającego się nad brzegiem morza i że może został przez korsarzy porwany. Pan B... kazał natychmiast przygotować szalupę i udał się z drugim swym synem w pogoń za okrętem który z daleka widać było spodziewając się że zmiękczy rozbójników przyrzeczeniem bogatego okupu. Już niedaleko byli od okrętu algierskiego, kiedy silne uderzenia wiatru popędziły ich w przeciwną stronę i po nadaremném kilkogodzinném usiłowaniu okręt znikł z oczu ścigających i pan B... przymuszonym był powrócić do domu bez kochanego syna.

Dwa lata upłynęły na daremnych poszukiwaniach; Ludwik przebiegł znaczną część Włoch aby wynaleść swego brata. Margrabia B... pociesżał się w części po stracie starszego, widząc cnotliwe postępowanie swego młodszego syna.

(Dokończenie nastąpi.)

WIESZCZBIARZ.

(Dokończenie.)

Młoda Hrabianka Marja, zdawała się także wzruszoną poświęceniem się młodzieńca, nie mogąc jednak przezwyciężyć tajemnego wstrętu, którego powodów odgadnąć nie była w stanie. Zawiedzione w rachubach swoich rodziny, postanowiły połączyć Ludwika z Marją. Ten przyjął tę wiadomość z razu z wielką radością, nie mógł być obojętnym na wdzięki swojéj kuzynki. Późniéj jednak odrzucił ofiarę jéj ręki, przedstawiając że brat jego żyje może jeszcze, i że nie chce przywłaszczać sobie tego co do Joachima należy.

Prosił przytém ojca o rozkaz ponowienia poszukiwań, te jednakże równie jak poprzednie były bezskutecznemi. Dwa lata przeszły znowu a Joachim nie powrócił. Krewni ponowili przełożenia swoje Ludwikowi i on dał się już nakłonić. Ale młoda hrabianka nie była skłonną do tego związku, spodziéwała się ciągle że jéj Joachim powróci. Tajemnica pokrywająca los jego podwoiła miłość narzeczonéj.

„Wtedy postanowiłem użyć mojéj sztuki na przezwyciężenie jéj oporu, zamiar mój odkryłem synowi margrabiego. Ludwik z trudnością się nań zgodził. Nazajutrz zgromadziłem członków obu rodzin w sali dolnéj zamku, słabo oświeconéj

blaskiem pochodni. Widok smętny téj sali, wysokie kolorowe gotyckie okna, nieznane narzędzia które rozłożyłem na wielkim dębowym stole, miały w sobie coś uroczystego, zgodnego z tém co miało nastąpić. Przygotowawszy poprzednio wyobraźnię przytomnych, wezwałem trzykrotnie ducha Joachima. Pokazał się nakoniec wyszedłszy z ciemnego rogu sali, miał na sobie ubiór afrykańskiego niewolnika, a krew obficie wytryskiwała z szerokiéj blizny w piersiach. Wszyscy zadrżeli przerażeni. Zapytałem Joachima czy istotnie był porwanym przez barbaryjskich korsarzy i przez nich zamordowanym? odpowiedział skinieniem głowy i przyłożeniem ręki do rany w piersiach. Czy nie ma jakiego węzła coby go do życia przywięzywał? zapytałem znowu. Odpowiedział zaprzeczającém skinieniem, i rzucił na ziemię pierścień. Był to pierścień jego zaręczyn z Marją. Młoda hrabianka zemdlała; wszyscy byli w osłupieniu; wrażenie tego zjawiska tak silnie wstrząsnęło duszę Marji, iż wpadła w gorączkę, która zagrażała jéj życiu. Wyrzucałem sobie czyn mój, widząc niknące jéj powaby, ale nakoniec siły młodości odniosły zwycięztwo, wróciła do zdrowia i zapomniała zwolna o tym okropnym wypadku.

Marja nie miała już powodu odrzucania ręki Ludwika; tyle dał jéj dowodów przywiązania w czasie jéj słabości, że nawet wstręt jéj mimo-

wolny ustąpił uczuciom wdzięczności. Zezwoliła nakoniec na związek, który uroczyście i wspaniale został obchodzony. Dano wielki bal; ale biesiadnicy nie bez zadziwienia uważali mnicha niskiego wzrostu w ubiorze zakonu świętego Frańciszka, który krok w krok chodził za Ludwikiem i jego małżonką. Każdy pytał jaka mogła być przyczyna jego obecności. Już było dość późno, zaczęto przenosić się z sali tańca do jadalnéj, gdzie wspaniała uczta była zastawioną. Zajęto miéjsca przy stole, mnich nie zaproszony usiadł wprost Ludwika topiąc badawczy wzrok w jego oblicze. Podziwienie zwiększyło się i uczta była nieco smutną.

„Dla ożywienia wesołości, kilku biesiadników odezwało się z wzniesieniem toastów za pomyślność i szczęśliwe pożycie państwa młodych. Gdy przyszła kolej na Franciszkana, powstał poważnie, wziął puhar, i obrócił się do Ludwika wzywając go aby spełnil zdrowie Joachima. Ludwik wachał się; okropne było jego pomięszanie. „Jeśli wiesz co o losie mego starszego syna, zawołał Margrabia B... drząc między obawą i nadzieją, mów, uspokój nieszczęśliwego ojca który tyle łez wylał.“ Frańciszkan nic nie odpowiedział, patrząc ciągle na Ludwika, zdawał się oczekiwać jego postanowienia... Ludwik powstał nakoniec i biorąc kubek zawołał: *Pamięci brata mego Joachima, oby rozłączenie nasze nie było wieczném!* Zale-

dwie skończył, krwawe widmo okazało się w drzwiach sali, i wskazując na Ludwika grobowym wyrzekło głosem: *Oto mój morderca!* i znikło. Ludwik upadł bez zmysłów, zaniesiono go do jego pokoju. W kilka dni umarł nie powierzywszy nikomu swéj tajemnicy.

Rodzina Margrabiego B... wygasła. Nic nie dowiedziano się więcéj o losie Joachima; w ośmnaście dopiéro miesięcy po tém szukając w piwnicach zamku, znaleziono w jednéj szkielet człowieka. Marja oddawna już skończyła swoje cierpienia."

Tu starzec skończył swoje opowiadanie.

Łatwo odgadnąć że to on sam przebrany za mnicha wywołał po raz drugi ducha Joachima. Jakiż był cel jego? Tyle, mogłem się z opowiadania domowników rodziny Margrabiego B... podczas mego pobytu w Kalabrji dowiedzieć: Kilka dni przed ślubem Ludwika z Marją, młody margrabia pokłócił się z ulubionym wróżkiem swego ojca; Alberti który oddawna miał Ludwika w podejrzeniu o morderstwo brata, postanowił się zemścić. Widzieliśmy że mu się powiodło. Ale niesłusznie posądzony o wspólnictwo téj zbrodni musiał uciekać z swego kraju. Izaura która niechciała odstąpić ojca, przymuszoną była wróżyć dla uchronienia starca od nędzy.

TAK i NIE.

Działo się to w południowéj Francji, w téj okolicy gdzie zabawy domowe i uroczystości wiejskie przypominają jeszcze cokolwiek czasy trubadurów. Były pułkownik pan Beaumanoir, mieszkał w pięknym wiejskim domku z dwoma synami oficerami marynarki, i piękną córką będącą przedmiotem czci dla ojca i braci.

To czyste słodkie dziecko, było delikatne jak anioły o których marzą poeci. Twarz jéj mogłaby Rafaelowi służyć za wzór do jego Madonny. Każde spojrzenie Zofji, każdy ruch, miały wdzięk sobie właściwy, a harmonji ogółu niemożna opisać. W niczem nie podobna do lekkich paryżanek, tych kwiatków wyblakłych od świateł balowych, była raczéj dzieckiem stref włoskich, co oddychało czystem powietrzem gór, powietrzem życia.

Przymioty jéj serca i umysłu łączyły się z sobą, w dziewiętnastym roku, mieszkając ciągle w pięknych dobrach ojca, Zofja nie znała jeszcze téj zalotności miast wielkich która wysusza wyobraźnią i psuje serce.

Była to młoda dziewica niewinna, jéj powabną

powierzchowność okrywała czystą kochającą duszę. —

Późna jesień nieraz ją zastała smutną i zamyśloną... Patrzała na kwiaty pochylone i bez woni. Pączki więdły nie rozwinąwszy się, gałązki postradały giętkość i siłę; znikło ciepło na niebie a życie na ziemi!... i niewiedząc powodu, Zofja wzdychała, potem błagała Boga o podporę. Jéj modlitwa stawała się wtedy gorętszą, bo modlitwa jest nadzieją duszy, a nadzieja, prawie wiarą w Boga.

Niedaleko włości pana de Beaumanoir, mieszkała pani de Maisoncelle, wdowa po kapitanie okrętu, który jéj zostawił uczciwy majątek i skarb nie oceniony; majątkiem było 12,000 liwrów rocznego dochodu, a skarbem syn jedynak. Juljusz stanowił dla niéj całą przeszłość, teraźniéjszość i przyszłość.

Juljusz de Maisoncelle miał znakomity dowcip piękne ułożenie co nie jest zwyczajném na wsi, i szlachetne uczucia, co wszędzie jest nadzwyczajném. Wadami jego, bo któż niestety może być bez wady, była skrytość, cokolwiek zazdrości i uporu. Duszę miał piękną, ale twardy sposób myślenia nie dawał się ugiąć rozsądkowi; sądził że to byłoby słabością jednakże ustępował zawsze natchnieniu serca, bo to, jedynym jego było przewodnikiem.

Pani Maisoncelle z przykrością uważała, że syn jéj od niejakiego czasu często udawał się do Marsylji. Juljusz choć dopiéro dwadzieścia dwa

lat liczył, wysoko postąpił w sztuce malarskiéj; w mieście tylko, mawiał, mogę znaleźć pole do udoskonalenia się w ulubionéj sztuce. Ale wieczorem nie można malować, a Juljusz zwykle bardzo późno wracał do domu.

Stosunki z rodziną Beaumanoir, które z początku tak mu były miłe zwolniały nagle. Biedna matka gubiła się w domysłach.

Podczas ostatniéj wiéjskiéj uczty w Beaumanoir, tańczono w parku, podług dawnego zwyczaju wszyscy byli ubrani w stroju starożytnym. Zofja po kilku kontredansach miała w ustroniu na jednéj z ulubionych swych ławek, świadków tych słodkich chwil z Juljuszem spędzonych, i czekała właśnie na niego, bo oboje kochali się, choć sobie nigdy tego nie powiedzieli. Nieszczęśliwym przypadkiem jeden z znajomych jéj brata starszego, który już od miesiąca bawił w domu jéj ojca zbliżył się do niéj w chwili gdy siadała. Nie wiedząc jakimby sposobem pozbyć się nudzących oświadczeń jakiemi zwykle obsypywał ją pan Grimaldi, rzekła do niego:

— Pan hrabia nie tańczy?

— Z panią, natychmiast jeśli zechcesz piękna Zofjo.

Biédna dziewica, widząc nadchodzącego tego na którego czekała, i chcąc się uwolnić od natręta, rzekła podając rękę Juljuszowi:

— Dziękuję panu hrabiemu, już przyrzekłam tańczyć z kim innym.

Juljusz zdziwiony, bo nierozumiał znaczenia tych wyrazów, wziął rękę Zofji i zapytał tonem niepewności:

— Czy ze mną?

— Zdrajczyna! mruknął obrażony Grimaldi, a jego ręka spoczęła na sztylecie, który zwykle nosi każdy Genewczyk.

Juljusz poprowadził Zofją w koło tańczących; ale ufność jego zniknęła, a za nią i cała spokojność bo słyszał wykrzyknik P. Grimaldi „*Zdrajczyna*!“ powtarzał go ciągle, i nie mógł sobie wytłómaczyć żeby kto mógł tak nazwać kobiétę, jeżli mu nie dała do tego prawa.

Od owéj chwili niewidziano już Juljusza w Beaumanoir, i to było powodem częstych jego przejażdżek do Marsylji.

Jeśli serce zajęte jest nieszczęśliwą miłością, i nadaremnie usiłuje ją z siebie wyrzucić, uciekamy się zwykle do innych namiętności, bo czujemy potrzebę zatrudnienia czémkolwiek głowy, i pochłonienia myśli. Juljusz został graczem! często i wiele przegrywa, powraca do domu zawsze ponury i niezadowolony, bo nie lubi gry.

(Dokończenie nastąpi.)

TAK i NIE.

(Dokończenie.)

Matka nakoniec każe, go śledzić i dowiaduje się z boleścią o tém co jéj się zdaje okropną skłonnością. Nie ma ani chwili do stracenia, trzeba to złe zniszczyć w samym zarodzie, wstrzymać Juljusza nad brzegiem otwartéj przepaści; krótko mówiąc: trzeba go ożenić.

Oddawna uważała jego skłonność dla Zofji, i powzięła najgorętszą chęć ozdobienia swego domku, tym czystym, pięknym kwiatem. Równość majątku i wszystkie okoliczności wymagane w takim przypadku, sprzyjały temu małżeństwu. Sposób życia rodziny de Beaumanoir, zgadzał się zupełnie z jéj upodobaniem; czegóż mogła żądać więcéj? Nie tracąc ani chwili, natychmiast, podczas gdy Juljusz bawił w Marsylji, prosiła dla niego o rękę Zofji.

Pan de Beaumanoir i jego synowie cieszyli się spełnieniem słodkich nadziei, które już uważali za stracone. Pani de Maisoncelle była zachwyconą, bo Zofja, przypisując wyjazdowi hrabiego Grimaldi powrót Juljusza, dla którego nie jednę łzę wylała nie kryła swéj radości na tak szczęśliwą wiadomość, w przekonaniu, że to on przysłał swą matkę z tą prośbą.

Przeznaczono bliski dzień na dopełnienie obrządku zaślubienia, i P. de Maisoncelle powróciła do domu w upojeniu szczęścia.

Niestety! wszystko na świecie ma swoje *ale*. Pani de Maisoncelle nie czekając sposobnéj pory, natychmiast chce uwiadomić syna o jego szczęściu. Juljusz właśnie powrócił z miasta niespokojny, stroskany, ponury... Bardzo wiele przegrał. Matka nie postrzega tego, myśli tylko o małżeństwie, szczęściu Juliusza, i rzucając się w jego objęcia, rzecze z radością:

— Ciesz się kochany synu, dostaniesz za żonę najpiękniéjszą i najcnotliwszą kobietę w całéj Francji.

— Co to znaczy? zapytał niecierpliwie Juljnsz.

— To znaczy, że w przyszłą Niedzielę podpiszemy umowę ślubną, a w następny Wtorek zostaniesz szczęśliwym mężem Zofji de Beaumanoir.

— Jakto? wszakże jeszcze o jéj rękę nie prosiłem! odpowiedział młodzieniec marszcząc brwi.

— Ale ja już wszystko ułożyłam, kochane moje dziecie, i tylko potrzeba żebyś przy ołtarzu powiedział *tak*.

— A ja przysięgam że powiem *nie*. I odszedł do swojego pokoju.

Nierozważna matka osłupiała.

Nazajutrz nie mówiła wcale z swoim synem o jego małżeństwie; starała się rozerwać go; pieszczotami swemi i czułością usiłowała zatrzeć ślady

tego, co uważała za chwilowy przemijający kaprys; i jednocześnie przyspieszała wszystko co było potrzebne do spełnienia jéj zamiarów, aby niedać synowi czasu do namysłu.

Nadszedł Wtorek; pani de Maisoncelle poleciła się Bogu i udała się z synem do Beaumanoir. Nie powiedział że nie podpisze umowy ślubnéj, i podpisał ją; nie wzbraniał się pojechać do kościoła, owszem udał się tam dobrowolnie. Matka sądząc że przezwyciężyła upór Juljusza, obsypywała go pieszczotami... i mniemała że już wszystko skończone.

Powozy zajechały przed kościół w sąsiedniéj wiosce, gdzie proboszczem był stryj Pana de Beaumanoir.

Uroczystość rozpoczęła się, państwo młodzi uklękli, podeszły kapłan zapytuje Zofią:

— Moje dziecię, czy przyjmujesz Juljusza de Maisoncelle za małżonka?

— Tak! odpowiedziała dziewica drząc z roskoszy.

— A ty Juljuszu de Maisoncelle, przyjmujesz Zofją de Beaumanoir za żonę?

— Nie, odpowiedział bez namysłu młodzieniec. Zofja skamieniała.

Pani de Maisoncelle padła, wydając krzyk boleści, a niema wściekłość zabłysła w oczach trzech ludzi obrażonych w osobie téj która im była najdroższą w świecie.

Tylko duchowny zachował przytomność umysłu i roztropność, jakich miejsce i chwila obecna wymagały. Promień światła, nagła nadzieja, zabłysły mu w téj chwili. Zemsta ma zająć miejsce najtkliwszych uczuć, krew jego przybranych dzieci może będzie przelaną... trzeba wszystko przewidzieć, zapobiedz wszystkiemu; a jednak trzeba koniecznie jawnego zadośćuczynienia!... Z powagą, jaką zawsze ma dobry pasterz nad duszami pobożnemi i wzniosłemi, wzywa obje rodziny aby udały się za nim do Sakrystji. Pani de Maisoncelle drząca, ledwie iść może, za nią udaje się Juljusz głęboko wzruszony. Jedno słowo tajemnie wymówione przez kapłana do pana Beaumanoir, było dostateczném. Ojciec Zofji skinieniem nakazuje milczenie swoim synom, gotowym wybuchnąć, i tak się odzywa:

— Panie de Maisoncelle, nie zastanowiłeś się jaki wielki błąd popełniłeś; obraza wyrządzona przez ciebie mojéj córce, wymaga krwi; ale człowiek pokoju, namiestnik Boski, który miał pobłogosławić wasz związek, inaczéj postanowił. Powrócisz pan, mówił daléj z mocą, do kościoła, my wszyscy będziemy świadkami; kapłan ponowi zapytania, ale zaczynając od pana; pan odpowiesz *tak*, a moja córka *nie*, tym sposobem honor mojéj rodziny nie zostanie splamiony.

Najgłębsze milczenie nastąpiło po tych słowach... Tylko zręczny badacz mógłby spostrzedz

jak oczy Juljusza z niepewnością i trwogą szukały wzroku Zofji, a w jéj spojrzeniu wśród łez wyczytałby pogodę, zdawało się iż przemawia do kochanka: O mój luby! twoje podejrzenia zabijają mię. "

Milcząc powrócili wszyscy do miejsca świętego. Rozpoczęto powtórny obrządek.

— Panie de Maisoncelle, rzekł kapłan z mocą i godnością, czy przyjmujesz za małżonkę, Zofją de Beaumanoir?

Tak, odpowiedział brzmiącym głosem Juljusz, i obracając się do Zofji, spojrzał na nią oczami łez pełnemi...

Kapłan poważny i niewzruszony, głośno mówił daléj:

— Zofjo de Beaumanoir, czy przyjmujesz za męża Juljusza de Maisoncelle?

— Tak! tak! odrzekła łkając dziewica....

Biedne dziecię, nie był to błąd jéj myśli ani skutek pomięszania; ona nie pragnęła zadośćuczynienia, ona swój honor, przyszłość, życie swoje, oddawała Juljuszowi... Oną kochała go, Juljusz zapominając gdzie się znajduje, rzuca się do nóg jéj wołając:

Tak, Zofjo, tak, na zawsze, na wieki!...

AURELJA.

PODANIE CZESKIE.

— Ostatnim razem, mówił Reginald do swojéj żony, taką burzę mieliśmy, właśnie téj nocy, w któréj Aurelja się urodziła.

— Pamiętam bardzo dobrze, odpowiedziała Teressa, Aureljo, zgarnij głownie i dorzuć kilka łupek; okropnie jest zimno.

Aurelja wstała, i uczyniła co jéj kazano. Suche drwa wydawały tak mocny blask, iż zaledwo można było dojrzeć błyskawice; lecz trzask płomieni nie mogł zagłuszyć piorunów, świstu wiatru, i łoskotu deszczu, który o dach i okna się obijał.

— Co to jest? rzekł Reginald, kiedy wycie burzy na chwilę ustało; ktoś puka do drzwi.

— Boże! zlituj się nad biédnym wędrowcem, który w takiéj nocy zabłądził, odpowiedziała Teressa; idź mężu, zobacz kto to jest.

— Kto tam?

Żadnéj odpowiedzi. Zdawało mu się, iż dla burzy nie można było dosłyszéć jego głosu; odsunął więc rygiel i wyjrzał za drzwi.

— Dziwnie, dziwnie! pomruknął wróciwszy do izby.

— Czy nikogo niema na dworze? zapytała Teressa.

— Nikogo; tylko dwa wielkie kudłate psy.

— Wpuść je, niech się ugrzeją przy ogniu; biédne zwierzęta! zapewnie zeszły z swéj drogi.

— Zrazu i ja chciałem je wpuścić, bo i zwierze potrzebuje ochrony przed burzą, tak dobrze jak my. Ale kiedym otworzył trochę drzwi, aby wbiegły, błyskawica pokazała mi wyraźnie ich postać, i zdawało mi się widzieć, jakiś rodzaj piekielnego uśmiechu w ślépiach i pysku; zamknąłem więc prędko drzwi i zostawiłem je na dworzu.

— Ach mężu, jakiż tchórz z ciebie; czy to przystoi tak silnemu i rosłemu człowiekowi?

— Tchórz, nie tchórz, niech sobie psiska przez całą noc leżą za drzwiami, jeżeli im się podoba; niech sobie kto chce drzwi otwiera, ja ani się ruszę.

— Czy mam wpuścić psy, zapytała Aurelja.

— Wstydź się stary, rzekłą Teressa; widzisz, że dziecko przewyższa cię w odwadze.

— Niezbyt dawno ma ona tę odwagę, odpowiedział Reginald; niegdyś bała się własnego cienia, ale od dwóch czy trzech miesięcy, nie lęka się niczego na świecie. Wszakże to nieraz sama w nocy chodzi do boru, i dalibóg nie po drwa, ale jak sama powiada, żeby patrzyć na piekielne

łowy, które tam wyprawiają swe harce! Oby się to wszystko dobrze skończyło!

— Rzecz dziwna! zawoła Teressa; znowu ktoś zapukał.

— Ja nie wyjdę, rzekł Reginald hardo; to znowu te przeklęte psy!

Zaledwo wyrzekł te słowa, gdy wściekły wicher zagroził wywróceniem całego lasu; zgruchotane drzewo padło na okno, i na kawałki rozbiło okiennice, a w téjże chwili dwa ogromne kudłacze wskoczyły przez okno, i legły przed ogniskiem.

— Wszelki duch pana Boga chwali! zawołał Reginald.

— Biedne psiska, jak przemokły! mówiła Teressa: mężu, zgarnijże ogień.

— Pierwéj muszę psy powypędzać!

— Ależ dlaczego? zostawże je tu w izbie, póki burza nie minie!

— Już po dziewiątéj i czas spać, a nie możemy je same zostawić, bo nam pożrą zwierzynę.

— Ja będę czuwała przerwała Aurelja, dopóki nawałnica nie przeminie, a potem psy wypuszczę. Możecie ojcze i matko pójść na spoczynek.

(Dokończenie nastąpi.)

AURELJA.

(Dokończenie.)

Psy podniosły łby, spojrzały na siebie, a potém znowu się pokładły.

— Dobre z ciebie dziecko, mówiła Teressa; ojciec znużony po dzisiejszéj pracy. Pokładziem się spać; burza już nie długo trwać będzie; wypuść psy, jak się trochę uciszy, a potém sama idź spać. Ale nie zapomnij dobrze drzwi zamknąć.

Ucałowała dobrą córkę, i poszła wraz z mężem do komory.

Zaledwo rodzice zamknęli drzwi za sobą, kiedy Aurelja przyłożyła palec do ust; natychmiast psy zerwały się i przytuliły swe głowy do łona pięknéj dziewczyny.

— Ciszéj, dobre zwierzęta, rzekła cicho, poczekajcie.

Zwolna poszła do drzwi komory i słuchała przez chwilę. Potém otworzyła z cicha drzwi na dwór wychodzące.

Burza ustała, wysokie drzewa spokojnie stały; żaden listek się nie ruszał; wszystko było spokojne i ciche. Na niebie żadnéj nie widać było chmurki, a pełnia tu i owdzie rzucała swe promienie po lesie.

— Pójdźcie, rzekła Aurelja do idących za nią psów.

Czy widzicie ją, jak spieszy szybkiemi kroki przez ścieżkę, wśród starych dębów, podczas gdy czarne psy przed nią biegną?

Teraz stanęła na obszernym placu, na którym prócz jednego olbrzymiego dębu, stojącego w samym środku, żadnych innych drzew niéma. Pod dębem zdaje się ktoś czekać.

— Aureljo, odezwał się ten ktoś, długo dałaś czekać na siebie.

— Nie mogłam przyjść prędzéj, czy przebaczysz mi, luby przyjacielu?

— Aureljo! zawołał spoglądając na nią; nigdy księżyc nie oświecał tylu wdzięków!

— Ach, co mówisz o mojéj piękności; moja miłość ku tobie niech cię tylko zajmuje.

— Czyliż piękność jest niczém?

— Ona jest niczém, odpowiedziała, ale mówiąc to, patrzała na twarz swego kochanka, na twarz najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek śmiertelnik posiadał, i czuła, że nie powiedziała prawdy.

— Aureljo, zgaduję twoje myśli; kochasz mnie, jesteś moją własnością. Mógłbym cię zabrać z sobą i nie opierałabyś się. Ale powiedziałem ci już, że warunkiem, aby mię kochać i do mnie należéć, jest zerwać wszelkie ogniwa, które łączą cię z ludźmi, żyć w pośród istot innego rodzaju...

— Z całéj duszy chętnie idę za tobą.

— Ale jeszcze co innego jest do rozważenia.

— Bądź co bądź, chętnie za tobą idę.

— Aureljo; spojrzyj na mnie; wydaję ci się młodym i pięknym; moje włosy są ciemne i w obfite wiją się pierścienie, moja twarz jest pełna i młodzieńcza, moje oczy, —czyliż nie ożywia ich ogień młodych lat i miłości? Patrz, moja postać jest silna i wyniosła, noszę na sobie piętno młodości i siły, ale to wszystko zniknie!

— Zapewne, mój kochanku, nie jesteś nieśmiertelnym.

— Aureljo, masz mnie za młodego?

— Jesteś młodym mój kochanku.

— Nie, Aurelio, nim jeszcze najstarsze drzewa tego boru poczęły z ziemi wyrastać, dawniéj przed tem, nim ten odwieczny dąb pierwsze rozwinął liście, ja już istniałem, a istnieć jeszcze będę, kiedy jego korzenie na proch się kiedyś rozsypią; ale wiecznie żyć nie będę. Aureljo, ja mam tylko pozór młodości.

— Niech i tak będzie, jednak chętnie idę za tobą.

— Posłuchaj mnie, ty najpowabniejsza ze wszystkich dziewic. Natura nasza pozwala nam posiadać pozór i przymioty młodości i piękność, jakiéj sobie życzemy, podczas pierwszych wieków naszego istnienia; ale gdy określony czas minie, nie odbywa się stopniowo przejście z młodości do starości. Nagle, w jednéj chwili następuje

u nas zgrzybiały wiek ze wszystkiemi jego skutkami, i w tym właśnie stopniu, w którym byliśmy piękni, stajemy się późniéj brzydkiemi i odrażającemi. Spojrzyj na mnie, Aureljo, obrałem tę postać, te rysy, jako najpiękniéjsze, które tylko w krainie ludzi istnieją, ale też za to stanę się kiedyś najszkaradniéjszą ze wszystkich istot.

Aurelja spojrzała na swego przyjaciela.

— Niech i tak będzie, rzekła po kilku chwilach; jednak chętnie pójdę za tobą.

— Ale słuchaj mnie, Aureljo, ta fatalna chwila zbliża się; tylko przez bardzo krótki czas zostanie mi się ta postać.

Aurelja drżała; ale czuła, że ramię kochanka ją otaczało; spojrzała w jego oczy i rzekła tkliwym głosem:

— Chętnie idę za tobą, mój kochanku!

— Aureljo, powiedziałem ci, że młodość moja już tylko krótki czas trwać będzie, ale nie wiesz jeszcze, jak krótkim jest ten przeciąg.

— Nie wiem o tém rzekła dziewczyna.

— Jutro o północy zacznie się moja przemiana. Teraz już jest połnoc. Ach, jeszcze tylko przez dwadzieścia cztery godzin pozostanie mi postać i miłość młodzieńca.

— Nie lękam się téj przemiany; zostaniesz zawsze tym samym, i nie przestaniesz mnie kochać.

— Nie, Aureljo, mylisz się. Wprawdzie zostanę

tym samym, ale pora miłości już wtedy przeminie, będę ci sprzyjał, ale kochać już cię nie zdołam.

— Już mnie nie będziesz kochał?.. zawołała Aurelia bolesnym głosem.

— Nie, mója Aureljo; i ty natenczas już mnie kochać nie będziesz; bo ani postać, ani głos nie będą miały żadnego podobieństwa z tym, który stoi przed tobą.

— Ani nawet głos? zagadła Aurelia żywo zasmucona.

— Nawet moj sposób myślenia się zmieni, bo młodość i starość we wszystkiém niezmiernie się różnią od siebie.

— A przecież, przecież pójdę za tobą. Ale zkądże wiesz o tém, że młodość już tylko przez jedną zostanie ci dobę?

— Aureljo, wiadomo nam, że właśnie w dwadzieścia cztery godzin przed naszą przemianą ręce nasze nagle się starzeją.

Podczas gdy to mówił, ramię jego otaczało Aurelję. Mimowolnie spojrzała na jego rękę: była żółtą, suchą i pomarszczoną. Drżąc cała, wydarła się z jego objęcia.

— Ha! dla czegożeś mnie tak oszukał?

— Ach moja Aureljo, téj dopiero północy poznałem że czas mojéj młodości zbliża się do kresu. O! moja kochanko, czyli drżysz już przed moją ręką; jakże ci będzie, kiedy wszelki ślad młodości i

wdzięków, kiedy nawet najmniejsze podobieństwo z moją teraźniejszą postacią zniknie?......

Raz jeszcze Aurelja spojrzała w oblicze pięknego młodzieńca.

— A przecież chętnie idę za tobą! rzekła do niego. Psy zerwały się i zaszczekały. Gęsta chmura okryła księżyc, a kiedy przeszła, blade jego promienie padły na obszerny plac i dąb odwieczny, ale pod dębem już ani jednéj żyjącéj nie było istoty!

ZAWSZE ONA.

Nigdzie i wszędzie!

D'ARLINCOURT.

Znacież tę lekką boginię, która panuje bez berła i która każe się czcić bez korony, już strojną kolorami tęczy, już obciążoną darami Wulkana, Cybeli, Eola i Amfitryty? Można ją widzieć przebiegającą kolejno brzegi Sprei i Ohio, Nilu i Tamizy, Tybru i Dunaju; z jéj lekkiego chodu i świetnego orszaku który ją otacza, możnaby sądzić że to Fortuna, ale złota przepaska, nie kryje jéj błyszczących oczu.

Prowadzona przez ślepe *widzi mi się*, powietrzna nimfa śpieszy, leci, i z swego safirowego wozu rzuca wyroki, które płochość zapisuje; Hymen nieraz potę-

pia, a smak czysty nie zawsze pochwala. Wszystkie strefy, morza, wnętrzności ziemi i wszystkie żywioły, płacą jéj haracz, są jéj niewolnikami. Dla niéj Indjanin pogardza wściekłością rozdrażnionego słonia; uwięziony owad, dla niéj w szczupłym swym domku przędzie jedwabne więzy; Lapończyk, drapie się na niedostępne góry aby jéj przynieść skórę swego rena; wrząca przed wiekami lawa Etny, przyjmuje kształty jakie ona każe jéj nadać, a koral, porzuca swoje mokre łoże; strzała albo ołów zabójczy wybiérają pod niebem Ameryki skrzydlate ofiary dla ozdobienia jéj ołtarzy. Wonie Arabji wyrwane z płonących piasków napełniają jéj świątynie, a złoto Potozu, djamenty, opale błyszczą promieniami słońca przed jéj tronem.

Dłuto snycerza, pióro poety, pędzel malarza, pracują dla jéj sławy. Czarodziejską swą władzą ona uwiecznia piękność, nadaje życie kadzidłom, czucie roślinom: godna rywalka czasu niszczy, depcze nogami to co sama wzniosła, uświęciła; nawet jak czas, zaciera i wznawia wspomnienia.

Wszędzie uwielbiana, dawniéj chętnie zatrzymywała się w Babylonie, Memfis, Atenach, Rzymie, tam wydawała swoje wyrocznie; dziś pod niebem Sekwany i Elby ulubione ma świątynie. Nie znacież jéj jeszcze, jéj imie brzmi wszędzie; w ogrodach, salonach, teatrach, wszędzie powtarzają moda! moda! zawsze moda!

TĘSKNOTA

SONET.

Gdzież jestem? wszakże tutaj byłem tego rana,
Czemuż wszystko do koła inną postać wdziało?
Gdzież ten urok, to szczęście co mię zachwycało?
Wszystko znikło wraz z tobą moja ukochana.

Przed chwilą jeszcze jedną, roskosz niezrównana
Poiła swym nektarem moją duszę całą,
W anielskim twoim wzroku niebo mi się śmiało,
Jak zbłąkanemu w nocy jutrzenka rumiana.

Tyś odeszła; i wszystko czarnym smutku cieniem,
Jak za odéjściem słońca żałoba pokryła;
Nie cieszy mię już wiosna czystém swojém tchnieniem,

Ani słowika piosnki czarująca siła;
Ulgę niosę mym bólom tęsknoty westchnieniem,
I nadzieją, że ujrzę ciebie moja miła.

A.....t B.....ski.

MARZENIE

URZECZYWISTNIONE.

W roku 1804 Napoleon bawiąc w Mongúcji, pragnął zwiedzić wszystko co zasługiwało na uwagę. Wskazano mu wysepkę na Renie, gdzie miał się znajdować letni domek Elektora nazwany *la favorite*.

Tam się więc udał w pięknym sierpniowym poranku, a nie chcąc sam podróżować, zaprosił Józefinę i kilku swych przybocznych oficerów na wiejskie śniadanie w tém miłém ustroniu.

Jakże zwiedzioném było ich oczekiwanie, kiedy stanąwszy na miejscu przeznaczoném, nietylko domku, ale nawet najmniéjszego śladu budowli nie znaleźli. Od dwóch lat wszystko zostało zniszczone, dom, ogród; tak dalece, że nie było ani drzewa, ani nawet najmniéjszego krzaczka, pod którego cieniem spocząćby można.

Dobry jednak gospodarz nie zraża się tą przeciwnością, a niechcąc zostawić bez posiłku swe znużone towarzystwo, wydaje rozkaz i w oka mgnieniu zastawiają śniadanie na trawniku, a każdy uży-

wając prawdziwie wiejskiéj swobody, zasiada jak może. W czasie uczty spostrzegł Napoleon krążącą w odległości ubogą, w podeszłym wieku niewiastę, która nie mając odwagi zbliżyć się do tak świetnego grona, przyglądała się z daleka nowemu dla niéj widokowi. Dla urozmaicenia zabawy wezwał Monarcha skinieniem ręki nieznajomą, a dowiedziawszy się że nie, rozumie po francuzku, zapytał jéj przez swego adjutanta: Czy nie marzyła kiedy o dostatkach?

Staruszka z trudnością zrozumiała cel tego zapytania, a z większą jeszcze trudnością zdobyła się na odpowiedź: Najjaśniéjszy! Panie, rzekła, zdaje mi się, że ktoby miał 300 reńskich mógłby się poczytać za zupełnie szczęśliwego. Do kata! to trochę za wiele, rzekł Cesarz, ale mniéjsza oto, a obracając mowę do swych biesiadników: Moi panowie, dodał, możemy sprawdzić marzenie téj poczciwéj kobiety, złóżmy się; lecz ja nie mam nic przy sobie, chciéjcie mnie zastąpić, a z wdzięcznością uiszczę się z długu za powrotem.

Jak deszcz złoty, sypnęły się pieniądze w fartuch zdziwionéj, a razem uszczęśliwionéj tak niespodzianym darem staruszki, jéj wzruszenie wstrzymało wszelkie wyrazy dziękczynne, łzy tylko obfite spadające po wiekiem zoranych licach tłómaczyły jéj uczucia.

Gdy się oddaliła rzekł Cesarz z uśmiechem do przytomnych: chociaż niezbyt wygodnie przygo-

towałem wam, moi panowie, śniadanie, podałem wam jednak sposób przyłożenia się do dobrego uczynku, niechże będzie jedno za drugie. Ja przecież zostanę waszym dłużnikiem. Tego samego wieczora kazał Napoleon wypłacić każdemu z swych wierzycieli podwójną summę zaciągnionego długu.

GALERNIK.

Dnia 17 Stycznia zimny deszcz padał od samego rana, wieczorem zmienił się w ulewny, a przykry północny wiatr nachylał do ziemi drzewa cyprysowe i oliwne przed domem Pani K.... położonym na wzgórzu o milę od Tulonu.

W sypialnym pokoju, z którego okna na ogród wychodziły, siedziała Pani domu w wielkiém krześle i przysłuchiwała się wzrastającéj burzy. „Ach jaki czas“ pomyślała. „Biedny Adolf: on teraz na morzu. Boże łaskawy nieopuszczaj go!“ wymówiła głośno młoda kobieta, i złożyła ręce, gdy w téj chwili mocny wiatr wstrząsnął ścianami domu i w dolinę się spuścił. Ludwika zadzwoniła i młoda

dziewczyna weszła. „Mój mąż zapewnie dziś nie wróci bo okropna burza, a bramy miasta i tak zapewne już zamknięte; niech Józef starannie wszystko pozamyka, psy niech spuści, idź i wracaj; rozbierzesz mnie.“ Garderobiana wypełniła rozkazy Pani. Ludwika się położyła. „Zapal lampę nocną i niech stoi na kominku, tu przy mnie postaw świécę, będę czytać.“ Garderobiana zapaliła lampę, postawiła swiécę przy łóżku pani, i oddalając się, zamknęła drzwi na klucz za sobą.

Burza tak się wzmogła, iż zdawało się, że dom się zapadnie. „O Boże, mój Adolf!“ westchnęła Ludwika, oparła głowę na ręku, i z trwogą przysłuchiwała się dzikiéj muzyce wiatrów.

Łzy puściły się z jéj oczu. „Ja byłam przyczyną, że odpłynął! O jak trudno jest wypełniać obowiązki. Wszechmocny Boże, ratuj go, lub jeżeli zginie i mnie z nim połącz!“

Z przestrachem wyskoczyła z łóżka, pobiegła do biórka, otworzyła, wyjęła miniaturę, i uklękła przed łóżkiem. Tu zasłaniając twarz rękoma, zmówiła łkając jednę z tych modlitw, które największe boleści uspakajają. Nagle okno się otworzyło, i wiatr zagasił swiécę; w piérwszym przestrachu spuściła głowę, potem powstała aby okno zamknąć, lecz spostrzegła mężczyznę w swoim pokoju. Przestraszona i prawie bez władzy, nie spuściła wzroku z nieznajomego, który nie zważając na nią, przybliżył się do łóżka, wziął

świecę i zapalił ją przy lampie. Dopiéro Ludwika spostrzegła, że ten człowiek był galernikiem. Okropne wzruszenie, którego w téj chwili doznała, przywróciło jéj zmysły, była w nocném ubraniu, chciała krzyczeć, lecz głos w piersiach ostygł, chciała uciekać, lecz nogi zadrżały pod nią, i padła zemdloną.

Wróciwszy do przytomności, ujrzała się na kanapie obwinięta w swój szal, ale okropny nieznajomy nie opuścił ją jeszcze, trzymał przed nią flakonik, lecz zobaczywszy że przyszła do siebie, postawił go na toalecie. „Pani, mówił, bądź spokojną, nic złego ci nie uczynię, ale wzbraniam ci przez wołanie lub jakiekolwiek poruszenie, dać poznać że ja tu jestem. Potrzebuję schronienia do przyszłéj nocy, i sądziłem, że tu najbezpieczniéjszém będę u żony komendanta K... że tu żaden dozorca galerników nie będzie mnie szukał. Mogę panią zapewnić, że nie jestem ani złodziejem ani rozbójnikiem, zabiłem tylko kobiétę...Nie drżyj Pani, kobieta ta mnie zdradziła, a niewierność tylko krwią jéj mogłem okupić.“ Ludwika odważyła się spojrzeć na nieznajomego, był młody i piękny, oczy jego były żywe, a czerwony przemoczony galerny kaftan, nie zasłonił jego kształtnéj postaci. Troskliwość z którą ją obwinął w jéj szal, i uszanowanie jakie okazywał stojąc w odległości od czasu kiedy już jego pomocy niepotrzebowała, uspokoiły Ludwikę.

Uwaga ta która tak pochlebnie na korzyść nieznajomego wypadła, zmniéjszyła jéj obawę.

„O panie! miéj litość nademną, niechcę cię zdradzić, ale jakże mogę, sama, w téj godzinie, w moim pokoju... przez cały jutrzéjszy dzień ukrywać cię,... mój mąż rano powróci.

— Pani, wszystko to jest łatwe jeżeli tylko zechcesz, i zaufasz mi. Przyznaję że mój ubiór i sposób w jaki się przedstawiam, nie bardzo skłaniaią Panią do położenia we mnie zaufania; lecz tonący brzytwy się chwyta; dziś w wieczór uciekłem, i prosto tu przybyłem, chciałem się wprawdzie ukryć w pomarańczarni tutejszéj, lecz psy przeszkodziły mi; wdrapnąłem się więc przez sztachety, i stanąłem za temi zazdrostkami, które nie były mocno zamknięte; przyznaję że mój pobyt tam, nie był bardzo przyjemny. Pani niewiedziałaś że między zazdrostkami a oknem jest ktoś, który Panią uważa, który nie postrzeżony przypatruje się Pani i wyczytuje z jéj pięknéj twarzy i łagodnego spojrzenia zezwolenie, przedstawienia się jéj. Długo wachałem się, lecz widząc żeś się Pani modliła, i to zapewnie za oryginał téj miniatury (którą podniósł z ziemi) w tenczaś pomyślałem, kobieta która modli się, i kocha, nie może być okrutną..... i wszedłem. Ludwika zbladła, dowiedziawszy się że tajemnicę jéj posiadał zbieg z więzienia. Uczucie obrażonéj godności wróciło jéj odwagę:

— Panie! wyrzekła z pogardzającém spojrzeniem,

nadużywasz mego położenia w sposób, który nie pozwala mi zaufać twojéj delikatności i...

Mylisz się, Pani, niemiałem zamiaru obrazić cię, ufność za ufność, tajemnica zakryje tajemnicę. Nie chcę wiedzieć czyj ten portret, ale założę się że wyobraża kuzyna męża pani, pięknego porucznika, Adolfa S. B... Nie rumień się pani....nie zawsze byłem w więzieniu...i mogłem wiedzieć... lecz, dosyć! Zgoda między nami... zostanę tu do jutra... pójdę do drugiego pokoju, pani tymczasem położysz się, i pozwolisz mi powrócić, abym mógł wysuszyć moją odzież przy tym kominku. Po tych słowach otworzył drzwi do pokoju 50 letniego męża młodéj pani K... i znikł.

Skoro Ludwika zobaczyła się samą, zdawało jéj się że miała okropny sen, i że to co się wydarzyło, było niepodobném, lecz szmer w drugim pokoju, przekonał ją o rzeczywistości. Zebrała myśli, bo już nie było podobném uwolnić się od nieznajomego, mogła wydać go sprawiedliwości, ale ta myśl nie przeszła jéj przez głowę. Otworzyła drzwi do pokoju męża swego, i mówiła:

Pan zziębłeś, suknie jego przemokły, mogę panu ofiarować rzeczy mego męża. Tu jest bielizna, przebierz się pan, a potém spal swoją odzież.

Z tych słów galernik poznał, że Ludwika już postanowiła być jego wybawicielką i powiernicą.

Podziękował, a po oddaleniu się jéj pospieszył przebrać się.

Ledwie go Ludwika poznała, nie miał już na sobie pogardzonego czerwonego kaftanika, już mniéj złym wyglądał, wzrok jego nie był tak dziki...już się go nie lękała.

Teraz rozpalę ogień, ażeby zniszczyć twoją odzież, rzekła, gdy nieznajomy położył przed kominkiem jakieś zawiniątko.

— Tak, mówił, potrącając zawiniątko z którego wytoczyła się kula, którą każdy galernik nosi u nogi...ale to...

— Tę kulę jutro wrzucę w morze, jak na przechadzkę pójdę.

— Nie; chcę ją zachować, rzekł nieznajomy i pani ją powierzam.

Ludwikę nie bardzo pocieszył ten dowód zaufania, i dla tego nic nie odpowiedziała.

— Pani się na to zgadzasz? mówił daléj.

— I cóż mam czynić! wyrzekła z westchnieniem.

(Dokończenie nastąpi.)

GALERNIK.

(Dokończenie.)

— Uspokój się pani, ja kiedyś zażądam zwrotu téj kuli, lecz... teraz potrzebujesz pani spoczynku, tamten pani pokoik będzie mojém więzieniem, lecz, niezmień pani myśli twoich względem mnie, bądź łaskawa, i niepozwalaj mi z głodu umiérać. Dobréj nocy pani.“ Z właściwą sobie uprzéjmością wziął ją za rękę, i oddalił się do pokoju męża Ludwiki.

Znużona Ludwika położyła się, i niedługo zasnęła.

Już było późno, gdy się przebudziła. Jéj mąż wrócił z miasta, w którém wszyscy tylko o ucieczce galernika mówili. „On jest synem wielkiego pana z dworu Ludwika XVIII.“ powiedział „mówią nawet...ale to wszystko nie jest dowiedzione, bo on nie był pod właściwém swojém nazwiskiem skazany...oskarżono go o zabójstwo młodéj dziewczyny... miał przeciwnika, dostojnego rywala...dosyć, wczoraj wieczór uciekł...dziś rano wystrzelono z działa, zawieszono czarną chorągiew i zapewnie go złapią jeżeli nie uciekł na morze.“

Wystawić sobie można, co biedna Ludwika czuła przy tém opowiadaniu.

Dzień przeszedł między nieustanną obawą. Nareście mąż znowu się oddalił... noc nadeszła, a ona mogła swego więźnia uwolnić.

— Teraz oddalam się, mówił nieznajomy. O północy czeka na mnie przyjaciel, przy drodze do O... Pozwól pani, abym cię przeprosił za przestrach, którego byłem przyczyną. Uratowałaś mię, a wdzięczność moja tylko się z życiem skończy... Żegnam panią, mam nadzieję, że się zobaczemy, i że będę mógł publicznie złożyć ci moje podziękowanie... Jeszcze raz, żegnam cię pani, proszę o rękę!— Ludwika mu ją podała; nieznajomy ścisnął ją mocno i po przyjacielsku... potém pocałował z uszanowaniem, i wyszedł za okno.

Nim się oddalił, obrócił się jeszcze raz, i rzekł:

— Nie szukaj pani chustki, i pokazał jéj haftowaną chustkę, galernik ci ją kradnie; wtém zamknął zazdrostkę i znikł.

20 Stycznia, to jest w rok późniéj, Ludwika odebrała skrzyneczkę, z najgustowniéjszemi kosztownościami, i takie podarunki przez kilka lat zawsze w tym samym dniu odbierała. Mąż Ludwiki dostał urząd, wezwano go do Paryża, Ludwika mu towarzyszyła. Adolf wrócił z swojéj podróży, lecz Ludwika zataiła przed nim swój szczególniéjszy przypadek z nieznajomym.

Na balu u Xiężnéj B..., kilka osób znajdowało się w pokoju, który był oddalony od zgiełku

towarzystwa. Mąż wprowadził Ludwikę do tego pokoju, a sam wrócił do sali gdzie tańczono. Skoro weszła, pan, który stał przy kominku, obrócił się i zadrżał. Ludwika spojrzała na niego, i zdawało jéj się, że widziała już raz te oczy żywe, i to szerokie czoło... lecz nie mogła sobie przypomnieć. Obecna tam dama opowiadała, że pewna kochanka, kazała wyrwać sobie zęby, i oddała je przy ślubie swojemu narzeczonemu.

— A ja, mówił pan, który Ludwice zdawał się być znajomym, znam kogoś, który kulę, noszoną w więzieniu, zamienił za chustkę pewnéj pani, którą uważał więcéj niż za kochankę, bo mu honor uratowała...

Ludwika spojrzała na nieznajomego, kilka gwiazd zdobi pierś jego; nazywano go: „Panie hrabio“...jednak nie mogła wątpić, że to był ten sam galernik... Zapytała się przyjaciółki o jego nazwisko. „To jest hrabia de..., odpowiedziała, który niedawno otrzymał znakómity stopień.“

Następnego dnia odebrała bilet, w którym ją proszono, aby zwróciła to, co jéj dano w Tulonie do schowania; osoba ta oddała się z Francji, ale ma nadzieję, że ją jeszcze raz w życiu zobaczy. Obiecał jéj tajemną pomoc i protekcją, dla tych wszystkich, którzy jéj są *drogięmi*. Ostatnie wyrazy były podkréślone. W kilka dni, kuzyn jéj męża, został mianowany kapitanem marynarki, z najpochlebniéjszym listem od ministra.

Ludwika już nic nie słyszała o hrabi de... w kilka lat późniéj spotkała się z nim w Indjach, dokąd wyjechała z swoim mężem.

PORADA
LEKARSKA.

Doktór Rajmond używa na przedmieściu St. Germain sławy sprawiedliwie zasłużonéj. Jest uważany szczególniej za lekarza kobiet. Posiada nadzwyczajny dar czytania w ich sercach, obchodzi się z niemi z taką dobrocią, układnością, przyjemnością, i takim dowcipem, że każda chętnie mu wyjawia najgłębsze tajniki swych myśli, tém bardziéj że sposób i prostota jego zapytań zupełnie zdaie się nie wymagać od nich tego zwierzania się. Doktór Rajmond utrzymuje, że największa część słabości fizycznych, szczególniéj u kobiet, bierze początek z powodów moralnych, i dla tego, najpierwszém jego staraniem bywa zwykle, uleczyć to pierwsze złe. Nie jest on samym tylko lekarzem, jest to niejako spowiednik, przyjaciel, który bez gwałtownych środ-

ków umiejętności i sztuki, bez puszczania krwi i synapizmów, wrócił do zdrowia więcéj młodych piękności, jak którykolwiek sławny lekarz z całą eskortą farmaceutycznych formularzy. Ma w téj chwili 70 lat z skończonych; już nie odwiédza chorych, lecz jego gabinet posłuchalny nie wypróżnia się. Powozy z herbami zatrzymnją się przed skromném mieszkaniem, które już od lat 40 zajmuje; tam to dama wysokiego stanu, napotyka skromną mieszczankę, a każda opuszcza to miłe zacisze uzdrowiona i pocieszona. Jednąk doktór Rajmond długo czekać musiał, nim mu zajaśniał dzień sławy i wzięcia; jeszcze przed dwunastu laty, żył ubogi i nieznany z szanowną Panią Gervais, swą gospodynią, z przychodu rzadkich wizyt, jakie oddawał biednym chorym w okręgu, i z największą trudnością utrzymywał swe maleńkie gospodarstwo; dzisiaj bogaty i wsławiony, nic z ówczesnego sposobu życia nie zmienił, a największą jego przyjemnością jest przepędzić wieczór w towarzystwie kilku młodych ludzi, powiększéj części uczniów szkoły lekarskiéj. Kocha ich jak swe dzieci i najszczęśliwszym się mieni, kiedy im może udzielić jakich uwag swego doświadczenia.

Przed kilku dniami, znajdowaliśmy się zebrani w małéj liczbie u doktora Rajmond; jeden młody lekarz, który niedawno rozpoczął swój zawód, zwrócił rozmowę na niezliczone trudności otaczające zwolenników Eskulapa, nim zdołają zabezpieczyć sławę swojego imienia i zapewnić sobie

jaką taką przyszłość w tym tak pracowitym, tak ważnym i tak użytecznym zawodzie; życie nasze, mówił on, upływa wśród samotnéj nauki, która niepoznana staje się tém samém bezkorzystną. Przez wiek tylko można dostąpić wziętości, potrzeba posiwiałych włosów, drżącéj i niepewnéj ręki starca, a wtenczas dopiéro uwierzy świat jéj znajomości i pewności, i dozwoli zajmować się trudnemi operacjami, w których siła i przytomność młodzieńcza nie małym być powinny warunkiem. Posiadaj znajomość sztuki, na nic ci się to nie przyda, potrzeba abyś był podeszłym w wieku. Zdaje się, że nie nauka, lecz wiek nadaje doświadczenie; reguła ta jest ogólna, lekarz nie przyjdzie do majątku aż wtenczas kiedy straci sposobność używania go; wzbogaca się jedynie dla swych spadkobierców lub dla spłacenia kosztów pogrzebowych.

Rzeczywiście tak się dzieje na świecie, i może to jest źle, zawołał Rajmond, który tego wieczora więcéj jak kiedykolwiek rozwinął swą opowiedawczą wyobraźnią. Lecz mój przyjacielu, mamyż na to narzekać? Możeż to być inaczéj? Starość jest warunkiem pozornym, nieszczęsnym dla doświadczenia; a w naszéj sztuce doświadczenie jest umiejętnością. Biedny chory potrzebujący uleczenia uda się niezawodnie do tego, który dał już mnóstwo dowodów swéj zręczności, a u nas każdy wyleczony jest niejako żywym świad-

kiem naszéj biegłości w sztuce; chory ma naturalny wstręt od poczynającego obawiając się aby jego kosztem nie wydoskonalał swéj nauki, rzuca się więc do tego który już od dawna przeszedł czas próby. Czyż nie powinniśmy uważać go za uniewinnionego?

We wszystkiém tak się zdarza, jedni idą za drugiemi, rzeki przyciągają strumyki, a morza ciągną ku sobie rzeki. Wypada nam uzbroić się stałością, albowiem sam wyrzekłeś, każdy z nas ma swoją chwilę, swoją szczęśliwą godzinę. Wprawdzie ta godzina przychodzi najczęściéj bardzo póżno, lecz jakże temu zaradzić? Oto trzeba jéj dobrze użyć, a przynajmniéj będziem mieli choć jedną godzinę życia, gdy tymczasem tyle jest ludzi, którzy nigdy nie żyli! czasem wypadek nie zasługujący na naszą uwagę, stanowi tę chwilę błogą; zwykle jest ona dziełem wypadku i najczęściéj jedno nic ją sprowadza. Ponieważ na tę wpadliśmy rozmowę, opowiem wam małe zdarzenie, które mi się przytrafiło będzie temu lat dwanaście,

Mówiąc te słowa szanowny pan Rajmond, rzucił wymowne spojrzenie na panią Gervais, która na drugim końcu salonu przygotowała herbatę, a zasiadłszy wygodnie w swém krześle tak rzecz prowadził:

Dwanaście lat temu, jak to już panom powiedziałem, a miałem wówczas lat blisko sześćdziesiąt,

w piątek który mienią być dniem feralnym, a ja za bardzo szczęśliwy poczytałem, ponieważ skutkiem kilku nadspodziéwanych wizyt przyniosłem pani Gervais sumkę tak potrzebną na opędzenie pierwszych wydatków, a za którą chcąc mię ta miła gosposia wynagrodzić, użyła całéj swojéj sztuki kucharskiéj w przyprawieniu smacznéj wieczerzy. Ah! wówczas nie zawsze mieliśmy to czego nam było potrzeba, nieprawdaż pani Gervais?

— Jakto, i pan także tego braku doznawałeś przerwał młody lekarz.

— A dlaczegóż mój przyjacielu miałbym być wyjęty z pod ogólnego prawa? a jednak powiadam ci, miałem już lat 60. Lecz posłuchajcie mojéj powieści. Pogoda była piękna przez większą połowę dnia, około czwartéj lub piątéj po południu zachmurzyło się, powietrze mocno oziębło, a chmury czerwone, ogniste, przebiegały po niebie. Czas był tak wilgotny i przykry, że pani Gervais, chociaż nie byliśmy w porze zimowéj, rozpaliła ogień na kominku, przy którym mieliśmy spożyć naszą smaczną wieczerzę. Stół był nakryty i już siadaliśmy do niego.

(Dokończenie nastąpi.)

PORADA LEKARSKA.

(Dokończenie.)

Wszystkie żywioły zdawały się bydź wzburzone, silny wicher dawał się słyszéć w odległości, długie przerażające błyskawice przerzynały płonący widnokrąg i tym okropniéjszą jeszcze czyniły ciemność nieba, deszcz z gradem pomięszany bił z gwałtownością w okna; im więcéj czas był przykry, tém bardziéj cieszyliśmy się siedząc przy ciepłym kominku i wyciągając zziębnięte ręce do miłego ognia, że mamy tak przyjemne przed burzą schronienie; w tém usłyszeliśmy stąpanie po wschodach; i moje nazwisko wymówione nieznajomym głosem, a mocne stukanie wstrzęsło mojemi drzwiami. Pani Gervais drżała jak listek, ja sam nie wiele więcéj miałem odwagi, namyślałem się czas niejaki czy otworzyć lub nie, lecz tak mocno pukano że za chwilę drzwi niezawodnie byłyby pękły w zawiasach. Zresztą, mówiłem sam do siebie, wszakże nikomu nic złego nie zrobiłem a kiedy tą myślą starałem się nadadź sobie męstwa; postanowiłem nie otwierając drzwi zapytać się kto tam?

— Czy tu mieszka doktór Rajmond? zapytało kilka grubych głosów.

— Tutaj, cóż od niego chcecie?

— Otwórz pan, otwórz! umiérająca kobiéta żąda jego pomocy.

W téj chwili drzwi się otworzyły zostawiając wolne przejście dwom ludziom w ubiorze majtków okrętowych, którzy złożyli na téj oto kanapie zemdloną niewiastę.

Współcześnie z niemi wbiegł do pokoju młodzieniec modnie ubrany. Na widok téj istoty, która zdawała się nie miéć już ani iskierki życia, rozum go prawie opuścił, wydawał krzyk szalony, rzucał się na to zmartwiałe ciało, a płacząc pieścił się z nim najtkliwiéj, to znów upadał nam do nóg, błagał, zaklinał, aby ją wrócić do życia. Wszystko to czynił z tak mocnemi oznakami rozpaczy i nieprzytomności umysłu, że przez chwilę namyślałem się, które z nich potrzebowało bardziéj mojéj pomocy. Nakoniec zdawało się że cokolwiek przychodzi do zmysłów; bo widząc oddalających się majtków zatrzymał ich i dał worek aby nim się podzielili. Ratuj ją doktorze, powtarzał jeszcze; przez litość ratuj ją, moje życie, mój majątek wszystko ci oddam jeżeli potrafisz mi ją wrócić!

Już byłem przy niéj; lecz wszelkie moje starania nie więcéj działały na niéj jak na posągu marmurowym. Ciągle była bez życia. Nareszcie nie wiedząc co począć zostawiłem wolne działanie naturze i czekałem aż ona przyjdzie w pomoc bezskutecznym staraniom sztuki.

W tenczas postrzegłem na czole niewiasty ranę

głęboką rozciągającą się od jednéj skroni do drugiéj tak, że zdawało się iż czaszka zupełnie odosobnioną została od reszty głowy, spostrzegłem także iż suknia jéj, któréj kosztowna materja dowodziła zamożności, tak dalece przemokłą była, że moja wyobraźnia inny temu powód jak ulewny deszcz naznaczała, a wkrótce przekonałem się zupełnie że udzielałem mych starań utopionéj. Czy przypadkiem lub z rozpaczy topiła się, tego pojąć nie mogłem, bo jak już mówiłem odzienie jéj dowodziło, iż należała do wyższéj klassy towarzystwa. Odłożywszy na późniéj odgadnienie powodu, obwiązałem ranę którą poprzednio opatrywałem.

P. Gérvais westchnąwszy nad ubiegłém szczęściem jakiego mieliśmy używać przy komi:aku, smaczno pożywając wieczerzę, i widząc że można było uczynić coś dobrego dla ludzkości o tem już tylko myślała, rozgrzewała łóżko, bieliznę, rozebrała nieznajomą i położyła ją w ciepłą pościel, gdzie chora odzyskała zwolna naturalny bieg krwi i w końcu zmysły jéj powróciły.

Choroba była niebezpieczna; zagrażała one nie tyle życiu ile władzom umysłowym; o których zupełną utratę obawiać się można było. Szeroka na czole rana zdawała mi się bydź bramą przez którą nieochybnie ulecić musi rozum. Przez 25 dni walczyła ze śmiercią, przez 25 dni młodzieniec o którym już wspominałem, P. Gervais, i ja nie odstępowaliśmy ani na chwilę jéj łóżka, szukając w jéj

rysach choćby najmniéjszéj iskierki nadziei, śledząc każde jéj słowo dla przekonania się że rozum jeszcze nie zupełnie opuścił tę duszę. Alfred błagał płacząc, długi czas zostawał w cichym smutku zdawało się iż żałował że nie mógł być uczestnikiem starań jakie udzielaliśmy przedmiotowi jego miłości, uśmiechem w którym się malowała boleść i cierplienie dziękował nam za nasze znużenie, nocy bezsenne, lecz to tylko kilka dni trwało; gdy spostrzegł że nadzieja wktóréj go ciągle utrzymać pragnąłem nie sprawdza się, gdyż przekonał się że lekarstwa i wszelkie sposoby ratunku nie zmniejszały choroby, poddał się najokropniejszéj rozpaczy, i zwielką trudnością zdołalibyśmy utrzymać zamach jaki był gotów uczynić na własne życie.

Kilka wyrazów bez związku wyrzeczonych w przeciągu dwudziestu pięciu dni uwiadomiło mię, że ta młoda niewiasta w skutek sprzeczki zaszłéj między nią a Alfredem chciała się utopić; lecz kto była? gdzie miała rodziców? lub kto oni byli? tego się nie dowiedziałem i nigdy nie starałem się dowiedzieć, albowiem ta wiadomość nic by mi nie była pomogła do powrócenia jéj zdrowia.

Nakoniec gwałtowność choroby zdawała się cokolwiek zmniejszać. Pewnego rana młoda osoba spojrzała spokojnie w koło siebie, dotąd wzrok jéj był błędny i nieruchomy, usta jéj otworzyły się i zapytała mnie kto ja jestem i gdzie ona się znajduje. A więc była uratowaną; lecz w krótce inny wypadek nabawił mię niespokojnością, Alfred uniesio-

ny radością bieży do niéj, chwyta za rękę, którą zpod kołdry wyjęła; na jego widok chora kryje napowrót rękę; on ją pragnie widzieć chce z nią mówić, lecz jéj wzrok przybiera wyraz groźny, odwraca główę jakby unikając przedmiotu który jéj wstręt sprawia! Tak moi panowie, zaręczam że to jest rzetelne opowiadanie; ta młoda niewiasta tak kochająca, nie mogąca przeżyć chwilowego poróżnienia, i pragnąca w nurtach Sekwany zakończyć swoje życie w samęj jego wiośnie; znalazła to czego nadaremnie szukała Safo w swym skoku z Leukaty, znalazła mówię, zniszczenie swéj miłości. Alfred przeciwnie, który może ją kochał ale tak jak zwykli to czynić młodzi ludzie, od chwili w któréj nieszczęsny wypadek sprowadził jego ulubioną do mego domu, szalenie się w niéj rozkochał i groził odebraniem sobie życia, jeżeli nie przestanie obchodzić się znim tak srogo, niechcąc ani mówić ani nawet patrzeć na niego. Wprawdzie moi panowie byłby słowa dotrzymywał, i wtenczas by można powiedzieć że napili się z tych dwóch odmiennych źródeł o których wspomina Arjost; a z których jedno miało własność zamieniania gwałtownéj miłości w nienawiść, drugie zaś nienawiść w miłość przetwarzało. Lecz na nieszczęście *Renaud* i piękna królowa Cathay wyczerpali to źródło, tak dalece że nawet nadzieja odnowienia go nie została na dnie jak w puszce Pandory.

Poznajcie moje przykre położenie; obok jednéj

niknącéj prawie trudności, widziałem powstającą drugą.

Młoda kobiéta przychodziła do zdrowia, Alfred zapadł w chorobę. Pewnego dnia kiedy dozwolił wolnego biegu swéj dzikiéj namiętności, widząc go nieco uspokojonego i zdolnego słuchać mnie, wziąłem go na stronę:

— Więc ją pan bardzo kochasz? zapytałem.

Zbiérał się ponowić wszelkie swoje zapewnienia i ograniczyć się, na tém mnóstwie przysiąg których zakochani nigdy nie szczędzą; lecz ja nie tego chciałem, i dla tego krótko mu przerwawszy, tak daléj mówiłem:

— To wszystko jest bardzo dobrze lecz jeżeli ona cię nie kocha?

— Zabiję ją i siebie!

— Tam do kata! spiesznie postępujesz? a jeżeli ona też nie przestała cię kochać, jeżeli cię kocha więcéj jak kiedykolwiek, jeżeli ta mniemana oziębłość jest jedynie ostatniém wysileniem słabości które wkrótce ustąpić może.

— Oh! panie czynisz mnie najszczęśliwszym z ludzi.

— Ja jeszcze nic nie rzekłem, nic nie obiecałem; lecz jeżeliby tak było, cóż nadal przedsięweźmiesz. Daruj mi że śmiem mu zadać pytanie, lecz odpowiedź twoja będzie lekarstwem którego spodziéwam się udzielić ze skutkiem.

— Ożenię się z nią natychmiast. Ona będzie moją małżonką, moją najdroższą, jedyną w całém życiu małżonką!

— Czy mi to przyrzekasz?

— Przysięgam panu!

— Dobrze; ufam twojemu słowu, będę ci ile możności mojéj dopomagał, lecz żądam wypełnienia jednego warunku.

— Ah! mów pan.

—. Oto przez tydzień nie przyjdziesz do nas.

— Tydzień, tydzień, czy pan się nad tem zastanowiłeś? Ja mam tu nie przychodzić przez tydzień, a ona leży chora, ona może umrzéć przez ten czas i ja nawet téj pociechy miéć nie będę abym ją zobaczył.

— Co dzień będę panu posyłał o niéj wiadomości.

— Ale tydzień będzie dla mnie wiekiem.

— Tylko tygodnia żądam, a ręczę za jéj zupełne wyzdrowienie.

— Będę panu posłusznym. a przynajmniéj będę się starał być panu posłusznym, rzekł smutno Alfred.

Przez cały tydzień, Alfred nie przychodził do nas; lecz to co powiedziałem ziściło się, młoda osoba szukała wzrokiem po całym pokoju, i zdawała się być zdziwioną iż go nie spostrzega, na drugi, na trzeci i na czwarty dzień, toż same nadaremne poszukiwanie. Nie śmiała nas zapytać. Kilka razy miała wymówić jego imie, wstyd fałszywy zatrzymał ją, a wyraz skonał na jéj pięknych ustach. Siódmego dnia nie mogąc już wytrzymać chciała wstać; pozwoliłem nie widząc w tém

nic niebezpiecznego. O jakże wów czas piękną była, zdaje mi się że ją jeszcze widzę, leżącą na téj kanapie; na jéj bladych licach róże zaczęły rozkwitać, a w jéj oczach niegdyś zgasłych błyszczał jakiś płomyczek życzenia; ostatki wycieńczenia rozlane były w jéj rysach, lekka opaska okrywające słaby znak rany, jéj piękne jasne włosy które zdołałem ochronić przed nożycami, wszystko to zwiększało urok jaki wzbudzała. Przez chwilę milczała, zdawała się być zamyślona; potem łza zwilgociła jéj źrenicę; nareszcie nie mogąc oprzeć się uczuciom: Ach Alfred! zawołała, powiedz mi pan co się stało z Alfredem?

Było to siódmego dnia. W chwili gdy wymówiła imie Alfreda, drzwi się otworzyły i ten ostatni rzucił się jéj do nog, poprzysięgał wieczną miłość całując z uniesieniem rękę, któréj mu już nie odmawiano. Mój obowiązek już się skończył, ująłem pióro i napisałem ostatnią receptę, zawiérała ten tylko jeden wyraz: *Małżeństwo*..

Ten wypadek wkrótce się rozgłosił, każdy pragnął mię widzieć, szukano méj rady; od tego dnia miałem natłok pacjentek, stałem się modnym lekarzem a tém samém bogatym. Widzicie więc że nie wiele mię kosztowała moja sława, i że szczególnie dla naszego stanu utworzono to przysłowie.

„*Wszystko w porę przychodzi temu, kto czekać umie.*“

MAM LAT PIĘTNAŚCIE.

Wiele osób, a szczególniéj kobiety, mają pewien rodzaj śmieszności, tojest: że dzieci zawsze uważają za dzieci, i jak z takiemi obchodzą się, nawet wtedy, gdy czas wleje w ich żyły wrzącą krew ognistéj młodości.

Klaryssa kochała matkę, ale jéj się bała i dla tego nie śmiała wyléwać duszy swojéj przed nią. Pani Delnange kochała córkę, ale nie umiała natchnąć ją tem zaufaniem, tą czułością bez granic, które wpływają tak potężnie na losy rodzin.

Od najmłodszych lat, Alfons bywał w domu państwa Delnange; jego rodzice niedość bogaci mieszkali na wsi, a on uczył się handlu w Paryżu. Znalazł w panu Delnange gorliwego opiekuna, szlachetnego przyjaciela, i kochał go tak, jak trzeba kochać swego dobroczyńcę, to jest prawie jak ojca.

Alfons miał lat 27, Klaryssa 15; ona rosła od dzieciństwa przy nim, nosił ją kiedyś na

ręku, pieścił się jak z dzieckiem, i teraz bawił się z nią często, ale zawsze jak z dzieckiem.

Alfons niebył wcale usposobionym do kochania Klaryssy; uszanowanie, wdzięczność, broniły go od tego uczucia; wiedział że pan Delnange był bogaty, on zaś jako biédny, zaledwie mógł się spodziéwać, znaleść córkę miernie się mających rodziców na dozgonną towarzyszkę. W miłości wyobraźnia stanowi przynajmniéj połowę, a Alfons zabronił wyobraźni swojéj zajmować się Klaryssą.

Bez wątpienia nie było to dowodem wielkiego rozsądku państwa Delnange, że nielękali się skutków tak nierozerwanéj zażyłości Klaryssy, z człowiekiem młodym, przystojnym i pełnym szlachetnych przymiotów; pan Delnange myślał dobrodusznie że niéma żadnego niebezpieczeństwa; a pani, przekonaną była że jéj córka kocha tylko swoje suknie i kotka, i że zawsze kochać będzie tylko to, co jéj matka kochać każe. Biédna kobiéta! nie pomyślała że córka jéj ma lat piętnaście.

Od lat dwunastu, ile razy Alfons przychodził odwiedzić państwa Delnange, całował zawsze Klaryssę, sadzał ją na kolana, i bawił się z nią. Aż do téj chwili ile razy weszła pani Delnange nie omieszkała mówić: „Cóż to Klarysso, nie pocałujesz pana Alfonsa?“ A kiedy Klaryssa siadła na kolanach młodzieńca, matka mawiała zwykle:

„O tak! ja lubię kiedy się dzieci bawią!“ Każda matka odmładnia się ile razy nazwie córkę swoją dziecięciem.

Oddano Klaryssę na pensją; dla dokończenia jak mówiono jéj wychowania. Ten środek niekiedy jest bardzo dobry, ale kto może, niech sam dogląda wychowania swych dzieci, i nigdy się z niemi nie rozłącza; prawda że to potrzebuje wiele zatrudnienia, a tak miło jest niczem się nie trudnić.

O wy! którym przyrodzenie nadaje tytuł matek, nie wiecie ile tracą wasze dzieci kiedy nie są pod waszemi oczami; prawda że mając je ciągle przy sobie, wiele musicie czynić poświęceń, ale kiedy przyjdzie czas ostatnich waszych radości ziemskich, poznacie że chociaż cnota nie zawsze ma za towarzyszkę roskosz, ale ona sama tylko może napełnić serce czystą, niezmienną, nieśmiertelną radością.

Klaryssa miała trzy lata pozostać na pensji. Żeby się nie nudziła, miała się uczyć muzyki, rysunków, i tańca; ale w piętnastym roku, nauka sztuk pięknych nie jest dostateczną obroną przeciwko nudom.

Pewnego dnia pani Delnange odwiédzając córkę, rzekła do niéj:

— Przygotowałam ci niespodzianą radość! pójdziesz ze mną na wesele. Zgadnij kto się żeni? jeden z twoich przyjaciół; Alfons!

Klaryssa zadrżała: Alfons, powtórzyła głosem zmienionym. Zbladła, potem czoło jéj okryło się szkarłatem, chciała uśmiechnąć się, nie mogła.

— Jakie z ciebie dziecko! zawołała pani Delnange, śmiejąc się, jedno nic mięsza cię, zarumieniłaś się na myśl o weselu, lubisz więc bardzo taniec, nieprawdaż? Oh! ja taką samą byłam. Klaryssa przyjęła odwiedziny Alfonsa i przyszłéj jego narzeczonéj; otworzyła duże oczy i nic nie rzekła.

— Cóż to Klarysso, odezwała się pani Delnange, nie pocałujesz pana Alfonsa?

Klaryssa nic nie odpowiada, żywy rumieniec pokrył jéj lica.

Alfons zbliżył się pocałował ją, a Klaryssa patrząc się na jego narzeczoną, pomyslała sobie: Jakto, ona nie jest zazdrosną?

Pan Delnange i jego żona wychwalają przed rodzicami narzeczonéj tego, którego wkrótce mają nazwać swoim zięciem. Tylko Klaryssa milczy i spuszcza oczy; jéj oczy są wilgotne; doświadcza razem radości i smutku, nie może pojąć pomięszania, które na przekor pięknym rozprawom wielu matek zbyt często ogarnia serce piętnastoletniéj panienki;

W nocy przed dniem ślubu Alfonsa, Klaryssa nie mogła zasnąć, była żywo wzruszoną, okropny ogień

pożerał ją, i ustępując pomięszaniu i cierpieniom nieodgadnionym, wylewała gorzkie łzy, i dziwiła się czując że płacze. Nazajutrz zrana była bladą zaledwie oddychać mogła. Uczta przyjacielska zakończyła dzień zaślubin.

— No i cóż Klarysso, rzekła śmiejąc się pani Delnange, zaślubiny Alfonsa tak cię uczyniły poważną, nie bawisz się z nim, może nie śmiesz się z nim bawić?

— Moja mamo czyż to wypada?

— W twoim wieku, moje dziecie, to ci jeszcze wolno.

— Ależ mamo, mam lat piętnaście! Klaryssa piérwszy raz uczyniła tę uwagę.

Wiele dni upłynęło, Klaryssa była cierpjącą, zmieniła się; ojciec jéj zaczął się o nią lękać, i dla tego chciał wybadać przyczynę jéj słabości. Pewnego ranku przyszedł ją odwiedzić Alfons, chciał dawnym zwyczajem pocałować Klaryssę, ale dziewica cofnęła się, i podała mu rękę. Pan Delnange postrzegł to i światło błysnęło w jego duszy.

— Córko moja, rzekł po wyjściu Alfonsa, ty go kochasz!

— O mój ojcze! lękam się, czy tak nie jest.

— Dlaczegóż nie powiedziałaś mi tego dawniéj.

— Nie wiedziałam sama mój ojcze.

— Biédne dziecię! nasza nieroztropność jest przyczyną jéj cierpień; nie powinniśmy byli pozwalać takiéj niebezpiecznéj poufałości...

— Ależ, kto mógł się spodziewać, rzekła pani Delnange, żeby dziecko w tym wieku...

Klaryssa przerwała matce, mówiąc z westchnieniem: „Miałam lat piętnaście!...“

KWATERNO.

Pod czas wojny w Hiszpanji, Jenerał Brygady Rudolf de Torres, objeżdżał różne okolice w towarzystwie kilku Oficerów, z pułku Szwajcarskiego. Korzystając z pięknego wieczora zatrzymał się przy brzegach wspaniałéj Ebry, gdzie wszyscy kolejno opowiadając ważniejsze życia swego wypadki, dowodzili, iż szczęście człowieka zawisło niekiedy od najmniejszéj drobnostki. Jenerał dość długo przysłuchiwał się w milczeniu, nakoniec tak się odezwał: prawda że dziwne jest przeznaczenie człowieka i nie pojęte wyroki, które śmiertelnika do kresu prowadzą. Któż by był na-

przykład odgadł przy méj kolebce, że zostanę wojownikiem, ja sam nawet nie marzyłem że się dosłużę tak znakomitego stopnia, Trzy liche piastry, które chciałem oszczędzić, a które zatruły goryczą długi przeciąg życia mego, były całą przyczyną mojego przeznaczenia i losu.

— Trzy piastry!, krzyknęli zadziwieni koledzy.

— Tak jest, trzy piastry zmusiły mnie zostać żołnierzem! Lecz słuchajcie mnie cierpliwie.... a opowiem całe zdarzenie.

Ojciec mój był kupcem, wprawdzie nie najmajętniejszym, ale w miasteczku mego urodzenia A... uważany był za zamożnego obywatela, z trojga dzieci ja byłem najstarszym synem; w czternastym roku życia, rodzice wysłali mnie do przyjaciela swego zamieszkałego z St. Sebastian dla nauczenia się marynarki i jedynie na wezwanie siostry donoszącéj mi o niebezpiecznéj chorobie matki, w 23 roku życia, wróciłem do Kastylji. Powróciwszy do domu, zastałem moją kochaną i najlepszą matkę prawie konającą, odtąd na chwilę jéj nie odstępowałem, błagając w milczeniu Boga o przedłużenie jéj życia.

Pewnego poranku, kiedym właśnie sam jeden, znajdował się przy matce, ta z czułością macierzyńską ścisnąwszy mnie za rękę, podniosła się i z łzami zaklinała, abym po jéj śmierci pamiętał o bracie i siostrze i objął cały zarząd domu. Z nieśmiałością odpowiedziałem. Żè Bóg dobry przedłuży jéj życie, że pozostanie jeszcze ojciec którego za pracowitego

poczciwego uważano, i który co dzień tyle tysięcy okazuje dowodów ile nas kocha. Prawdę mówisz mój Synu on jest dobrym i pracowitym, ale ma okropną namiętność do gry. Nikt nie jest bez ale, kochana matko odpowiedziałem, sądząc że ją uspokoję cokolwiek, lecz matka mówiła daléj. Są wady i ułomności, które można przebaczyć, ale kiedy kto rozmyślnie przez pociąg do złego, może uczynić nieszczęśliwą całą rodzinę, i was biedne sieroty, kto przez to staje się przyczyną zgryzot najokropniejszych przywiązanéj małżonki, ten przebaczenia nie godzien. Dowiedz się mój Rudolfie, że ojcu twemu śniło się raz 5 numerów, i one mają stanowić jego szczęście, na te numera od kilkunast lat stawia co ciągnienie po trzy piastry... Słysząc to nie mogłem wyjść z zadziwienia, bo uważałem jak ojciec każdy grosz starannie zbiérał, i ciągle byłem tego przekonania że jest zamożnym, niestety! moja matka objaśniła mnie o wszystkiém.

(Dokończenie nastąpi.)

KWATERNO.

(Dokończenie.)

W kilka dni po tej rozmowie, utraciliśmy kochaną matkę, jéj zgon pogrążył mnie w okropnéj rozpaczy, tem bardziéj że wiedziałem jak wiele do niego przyczyniła się nieszczęśliwa namiętność ojca; przedsięwziąłem wszelkiego dołożyć starania, aby ojciec nadal na loterją nie stawiał; lecz i on mocno uczuł stratę najlepszéj żony, i w dzień pogrzebu zasłabł niespodzianie; przywołany lekarz uważał chorobę jego za niebezpieczną, i to wstrzymało mnie od wynurzenia życzeń matki; w kilka godzin przywołał mnie, i dobywszy trzy piastry; tu masz synu pięć numerów, rzekł, staw na nie te pieniądze. Ojciec nasz był żywy i nader prędki, a ponieważ widziałem go bardzo osłabionym, nie miałem przeto odwagi sprzeciwiać mu się; lecz przypomniawszy sobie matkę, 3 piastry zostawiłem przy sobie, a numera podarłem. Ojciec wiedział z pewnością, że każdy jego rozkaz wypełniałem z ochotą nie pytał się więc o bilet. W kilka dni, kiedy siostra siedziała przy jego łóżku, zgiełk jakiś na ulicy coraz silniéj słyszeć się dawał, zapytana o przyczynę przez ojca, siostra odpowiedzia-

ła: że w téj chwili wywiesił kolektor numera, które posłaniec przywiózł z stolicy, ciekawy czy wygrał, kazał sobie przynieść numera, a gdy mu je okazano, z radością wykrzyknął:

— Jestem nakoniec szczęśliwy, kochane dzieci, zbliżcie się do waszego ojca, zostawiam wam ogromny majątek, wygrałem kwaterno!

Nieszczęśliwy nie wiedział żem nie stawił na loterją. Dziękował Bogu za wygraną, uczynił dar kościołom, kazał sklep zamknąć, nakoniec czując się bydź bardzo osłabionym przez zbytek radości, posłał po Notarjusza. Tego samego dnia ze świtem wybrałem się na wieś, a powróciwszy zastałem ojca mego w rękach księdza i doktora otoczonego rodziną i domownikami.

Nie wiedząc o niczem co w domu zaszło, sądziłem z początku, że ojciec miał mocną gorączkę, zwłaszcza gdy zaczął liczyć iż po wszystkich obrachunkach i odtrąceniu darowizn zostawia dzieciom pół miljona piastrów. Lecz gdy zapytany przez Notarjusza o bilet loteryjny, odpowiedziałem bez namysłu, żem nie stawił wcale, wtenczas mój nieszczęśliwy ojciec, wpadł jakby w rodzaj szaleństwa i trzy razy konwulsyjnym głosem zawołał: „On nie stawił!“ i krzyknąwszy raz jeszcze: „Rudolf nie stawił!“ skonał z rozpaczy.

Położenie moje było okropne, brat i siostra uważali mnie za największego nieprzyjaciela, sam

potępiałem się o zabójstwo ojca, lecz to mnie najwięcéj bolało, że brat zdawał się więcéj cierpieć z utraconego szczęścia, a niżeli z śmierci ukochanego ojca. Cała rodzina nie przestawała codziennie czynić mi najboleśniéjszych wyrzutów, tak dalece, że sprzykrzywszy sobie pobyt w domu i nie mogąc znaleść nigdzie spokojnéj chwili, zaciągnąłem się do wojska. Od téj chwili oddany sam sobie, przez dobre sprawowanie się i gorliwość w służbie, postąpiłem na oficera, zawsze pragnąłem mieć tylko tyle, abym mógł wspiérać moją rodzinę. Bóg dopełnił moich życzeń, z jego to łaski dosłużyłem się stopnia Jenerała. W potyczce pod St. Jean de Luz, korpus mój wiele stracił ludzi, ja sam zostałem ciężko raniony i dlatego zmuszony byłem, z adjutantem moim Don Fernando de Lopez, także rannym, udadź się do stolicy, gdzie postanowiłem, tak długo pozostać, dopóki do zdrowia oba nie przyjdziemy. W przejeździe do Madrytu, zatrzymałem się w mieście mego urodzenia. Brat i siostra powitali mnie wprawdzie z radością, uważałem jednak że nieszczęśliwy bilet loteryjny, jeszcze im nie wygasł z pamięci, szczególnie twarz brata to okazała; siostra tylko szczerze do mnie przywiązana, ofiarowała się towarzyszyć mi w podróży, aby tak w drodze jako i stolicy, mogła mnie pielęgnować w słabości. Troskliwość siostry, trafne obchodzenie się lekarza, wkrótce wróciły mi zdrowie. Natych-

miast z Don Fernandem, udałem się do obozu; niedostrzegłem że pomiędzy nim a siostrą zaszły tajemne stosunki miłości, które przez oddalenie zostały wystawione na największę próbę. Zaledwie przybyliśmy do Biskai, zaraz potykaliśmy się z nieprzyjacielem, w téj nieszczęśliwéj potyczce, mój adjutant wysłany z rozkazem, nie wrócił. Dopiéro nad wieczorem, dragon oddał mi pugilares jego, donosząc że śmiertelnie raniony zaledwie mógł wymówić te słowa: „Oddaj to Jenerałowi!“

Wiadomość tą żalem przejęła mą duszę, otwieram pugilares, i znajduję portret moiéj siostry, oraz bilet na loterją z temi samemi numerami, które mnie kiedyś tak nieszczęśliwym uczyniły, a na które, nie trzy piastry, ale pięć postawiono. Byłem pewny żem mu nigdy o tym fatalnym wypadku nie wspomniał, a będąc zawsze nieprzyjacielem loterji, tém bardziéj od ostatniego zdarzenia, mało zważałem na bilet Fernanda.

W kilka tygodni nadeszłe gazety Madryckie przekonały mnie, że te same numera wygrały Terno. Wszelkie poszukiwania o jego familję były nadaremne, nie mogąc najmniéjszéj zaciągnąć wiadomości o nieszczęśliwym Fernandzie, dałem zlecenie pierwszemu bankierowi w Madrycie, aby wygrane pieniądze odebrał i umieścił je najkorzystniéj.

W téj to epoce pokój był ustalony, wojna się skończyła, i wszyscy powrócili do miejsc rodzin-

nych. Lopeza, nigdzie nie było, a tak ostatnia moja nadzieja, oglądania mego adjutanta, znikła. W sześć miesięcy po tym wypadku, przechadzałem się po wałach Pampeluny i spostrzegłem z daleka młodego człowieka ubranego po cywilnemu i opartego na kuli, zdawał się przybliżać do mnie, i w chwili kiedym go się miał pytać czego żąda.... poznaję Lopeza.

Radość moja była niewymowną, opowiedział mi że wraca sam jeden z Francji, że kiedy był mocno raniony, stracił przytomność, i że Francuzi zabrali go z sobą, i oddali do szpitala w Bajonnie; z tamtąd po przyjściu do zdrowia, otrzymał pozwolenie wrócenia do kraju.

Odważny Lopez czuł dostatecznie, że odniesione rany, utrata nogi, uczyniły go niezdatnym do wszelkich obowiązków, nie miał więc widoków żadnych; nie liczył wcale na bilet, bo był pewnym że pugilares zaginął. Dopiéro kiedyśmy do domu wracali, opowiedziałem mu zdarzenie mojego ojca z loterją, wtenczas wyznał mi miłość swoją do mojéj siostry, dodając że ona już po szczegółach, objaśniła go o tym wypadku, i te same pięć numerów przyrzekł jéj na los szczęścia postawić, lecz teraz przekonywa się że los wcale mu nie sprzyja, i w miejsce kwaterna lub terna został kaleką bez nogi.

Jakże mam wyrazić radość młodego wojownika skoro go zawiadomiłem iż numera jego wygrały

terno, i że został bogaczem. Z razu nie ufał mi, lecz gdym mu okazał listy Bankiera, rzucił się na moją szyję i z pokorą syna błagał o rękę siostry. Razem pojechaliśmy do Madrytu, tam odebrał swój majątek, siostrę moją pojął za żonę i uczynił ją najszczęśliwszą, a teraz jest komissarzem wojennym w Andaluzji.

HAFTARKA.

Jéj słabe serce nie było do wielkich namiętności stworzonem; cofnęła się przed burzą miłości.

BYRON.

Pocztowy powóz zatrzymał się 15 Maja 1822 r. przed oberżą małéj wioski S....; wysiadł z niego młody męszczyzna i jego towarzyszka; oboje byli smutni i zamyśleni, i zaledwie oberżysta, który wyszedł na ich przyjęcie, dla odebrania rozkazów, mógł się doczekać odpowiedzi. Młodzieniec zniecierpliwiony jego zbytnią uprzejmością i gadulstwem nie mógł wstrzymać nieukontentowania, i słowa jego byłyby rozgniewały każdego, prócz oberżysty, który mimo to nieprzestał wychwalać porządku i usługi w swoim domu; aż nakoniec nowo przybyli, prowadzeni przez niego poszli do pokoju; jak na oberżę wiejską nieźle umeblowanego.

Po odejściu gospodarza, młoda kobieta zaczęła rozmowę:

— Arturze, nie zamówiłeś zdaje mi się koni; czy tu mamy noc przepędzić?

Artur wzniósł w niebo oczy, i westchnął głęboko; konwulsyjne drganie jego ust zdradzało silną burzę w sercu.

— Czy dziś nie dojedziemy do Paryża? mówiła daléj Amelja.

— Cóż cię tak nagli, kilka godzin opóźnienia czyż mogą co stanowić? Jestem zmęczony podróżą potrzebuje spoczynku.

— Nic mi dotąd nie mówiłeś o tem, sądziłam że będziemy mogli stanąć w Paryżu...

— Paryż, zawsze Paryż!

Wymawiając te słowa, Artur uchwycił żywo rękę Amelji; zawszeż będziesz mi wspominać Paryż! mówił dalej; o zgaduje teraz...

J nie dokończył.

— Czyliż jeszcze dręczyć mię będziesz podejrzeniami zazdrości?... Arturze, wiesz, kilkakrotnie mówiłam ci dla czego chcę powrócić do Paryża; moja matka mię wzywa, czytałeś jéj naglące listy; nakoniec otwarcie ci powiem; to niepewne istnienie, zawsze zawisłe do kaprysu, przykrém mi jest, dręczy mię, i napełnia niespokojnością. Cztery lata już stracone dla mego stanu.... W moim wieku nie tak łatwo wynagrodzić podobną stratę.

— Twego stanu! hm, ty to nazywasz stanem!

Ta uwaga pełna okropnéj, prawie pogardliwéj uszczypliwości zarumieniła czoło Amelji; duże łzy spłynęły po jéj licach. Artur poznał swój błąd; uczuł że głęboko zranił serce biédnéj dziewczyny.

— Ameljo, nie płacz mówił tkliwie; niechciałem cię zmartwić; wszak sama tyle razy śmiałaś się z twego dawnego zatrudnieuia.

— O czemuż je porzuciłam! pocoś mię złudzał twemi prośbami i obietnicami... Teraz twoje postępowanie upoważnienia mię do mówienia z tobą otwarcie.

W téj chwili Amelja już nie płakała; znalazła ona w swém położeniu i w słowach Artura jakąś siłę. Nie dała mu czasu do przerwania jéj mowy nowemi przycinkami.

— Słuchaj Arturze, rzekła; poszłam za tobą, porzuciłam matkę i zatrudnienie, które mię mogło poczciwie wyżywić; byłam haftarką, nie rumienię się tego, jakkolwiek podoba ci się lekce ważyć ten stan; opuściłam wszystko aby pójść za tobą. Cóż mi dałeś w zamian za poświęcenie mojéj młodości, moich najpiękniéjszych lat, nakoniec tego stanu, którym wtedy nie gardziłeś tak jak w téj chwili? nic, prócz nazwiska twojéj kochanki;... byłam świadkiem twojéj rozrzutności, marnotrawstwa, twoich szaleństw, i choć tylko haftarka, bolałam nad niemi, ganiłam twoje postępowanie, wiesz o tem, przypomnij sobie moje rady i napomnienia, gdym chciała cię ocalić, już byłeś zupełnie zniszczony.

(Dokończenie nastąpi.)

HAFTARKA.

(Dokończenie.)

— Co mówisz? Ameljo, mam jeszcze majątek, dobra...

— Nie, wiem dobrze, straciłeś wszystko!

Artur wstał nagle; ledwie był w stanie powściągnąć niecierpliwość i gniew. Amelja przekonała go że zna dokładnie jego położenie. Mówiła jednak daléj podczas gdy Artur wielkiemi krokami chodził po pokoju:

— W téj chwili nawet, chcesz mię zwodzić, Arturze!

— W Paryżu znajdę jeszcze tysiączne źródła. Jeśli mię nieprzestałaś kochać, Ameljo, możemy jeszcze być szczęśliwemi.

— Szczęśliwemi! sądziszże, że znalazłam przy tobie szczęście.

— Ameljo! Ameljo! przestań, zaklinam cię, przestań potępiać moje serce: ono należy do ciebie! do ciebie na całe życie. Jeślim popełniał błędy, chcę za nie odpokutować, ale przyrzeknij mi że mię nie opuścisz.

— Nie opuścić cię! wymagasz więc nowego poświęcenia odemnie, czyliż w nagrodę mojéj miłości przeznaczasz mi nędzę. Arturze, bądź rozsądnym, wróć na łono twojéj rodziny, która prze-

baczy ci zapewne, nie widząc mię przy tobie; wszak to, podano ci jako warunek zupełnego pojednania.

— Nie, nie mogę żyć bez ciebie; nic nie zdoła mię rozłączyć z tobą.

I upadł do nóg kochanki, ujął jéj rękę, ucałował i łzy obfite puściły się z jego oczu.

— Arturze, Arturze, zapominasz że jestem tylko haftarką, odtąd niechcę być czém innéin, wrócę do pracy; z doświadczeniem którego nabyłam, nie obawiam się już popełnić błędów lekkomyślności, nierozwagi. Nie będę już kochała, upewniam cię; zajmę się pracą. O mój Boże! dlaczegóż nie słuchałam rad mojéj matki?

— Nie Ameljo! ja na to niepozwolę; nie możesz mię opuścić.

— Nie pozwolisz! zakazujesz mi! jakie masz prawa? jestżem twoją żoną? nie! jestem wolna, chcę jechać.

Jedźmy, wracajmy do Paryża.

— Ameljo ty do mnie należysz, jesteś moją, żyć będziemy i umrzemy razem.

— Czy jeszcze romanse! Jedźmy mój przyjacielu, matka moja czeka mię, tego wieczora ma wyjechać na moje spotkanie do Villejuif zaklinam cię każ zaprządz.

— Dobrze więc! pojedziemy!

Artur wymówił te słowa głosem ponuréj rozpaczy; w kilka chwil późniéj oboje kochankowie wsiedli do powozu.

W Villejuif, w chwili gdy się zatrzymał powóz pocztowy, jakaś dama przybiegła do drzwiczek, wołając: Ameljo! — już wtedy noc zapadała. Nikt nie odpowiadał; otworzyła drzwiczki i wołała znowu Amelji; jeszcze milczenie. Niespokojna, zadziwiona spojrzała wewnątrz powozu. Znajdowały się w nim dwa trupy, Amelji i Artura. Oboje mieli pierś sztyletem przeszytą; mały bilecik ręką Artura ołówkiem napisany, wymieniał go jako sprawcę tego podwójnego morderstwa. Pocztyljon nic nie wiedział ani słyszał.

DOCHÓD DOŻYWOTNI.

Maurycy Désorbiers, doszedł do tego wieku, który pewny poeta angielski nazywa wiekiem pochmurnym, to jest do wieku przykrego który, przestał już być młodzieńczym a nie chce się jeszcze nazywać dojrzałym. W 25 roku życia swego Maurycy zajął się mocno kobietą zamężną, późny wiek jéj męża utrzymywał odwagę młodego zakochanego, czekał, a po kilkunastu latach śmierć wynagrodziła jego uporczywą stałość. Z począt-

ku Maurycy odbiérał liczne dowody, że jego chęci nie są odrzucane, lecz nie dostrzegł tego, że jego władza nad sercem ulubionego przedmiotu zmniéjszała się w miarę działania czasu. Pełen téj delikatności, jaka bywa skutkiem zaufania i zarozumiałości, Maurycy nie żądał nigdy wyznania, tak dalece pewnym był swego. Takim trybem szły rzeczy zwolna aż do końca roku żałoby. Natenczas wdowa, wolna wejść w powtórne śluby poszła za 25cio letniego młodzieńca; w tym samym wieku był Maurycy wówczas, kiedy poruszył jéj serce. Ten wypadek był mu powodem zmartwienia i poniżenia; był to cios nieprzewidziany dla jego namiętności i miłości własnéj. Zawiedziony w swych nadziejach, powziął przeciwko kobietom straszliwą nienawiść, błąd jednéj spada na wszystkie; już to tak bywa zawsze od czasu grzechu pierworodnego. Pozwoliwszy wolnego biegu swemu gniewowi, Maurycy przysiągł wszelkie zerwać stosunki z płcią piękną i nigdy nie wchodzić w związki małżeńskie. Tę przysięgę przyjęła liczna i nie bardzo majętna rodzina Maurycego, z radością, któréj nawet pokryć nie umiała, bo nie była obojętną na jego bogate dziedzictwo. Maurycy spostrzegł z przykrością radość swych krewnych, wmówił w siebie że oni przyłożyli się w części do jego nieszczęścia, a zatruta goryczą dusza jego, stała się pastwą najokropniéjszych myśli. Jakto, mówił sam do siebie, odtąd będą

mnie otaczali tylko chciwi spadkobiercy, ludzie wyglądający z niecierpliwością méj śmierci! będę igraszką ich chciwości, niewolnikiem tych skrytych i bolesnych cierpień, jakie bywają nieodstępnemi towarzyszami starych kawalerów! Będą mi pochlebiali, oszukiwali, przewodzili nademną, a kto wie czy się nie odważą przyspieszyć godzinę śmierci mojéj! Nie znajdęż sposobu uniknienia tego niebezpieczeństwa.

Sposób był prosty, i łatwy do wyszukania, pięć minut czasu zastanowienia wystarczały do umocnienia Maurycego w przedsięwzięciu oddania swego majątku, na dochód dożywotni.

Postępek ten pomyślał sobie jest doskonały, zjednéj strony, wstrzymuję wszelkie rachuby moich krewnych, uwalniam się od starań wymuszonych, od skąpych uczuć, od ślepego mną powodowania; a potém powiększam moje dochody, podwajam mój majątek. A cóż to mnie ma obchodzić że po mojéj śmierci nic nie zostanie? komuż mam to zostawić? dalekim krewnym, o których mało dbam i którym nic nie winienem, krewnym, którzy już na mnie zasadzki robią i zawczasu myślą tylko o moich zbiorach? pójdźmy do mego Notarjusza.

Notarjusz, bardzo tę myśl pochwalił.

— Masz pan 25,000 dochodu, rzekł do swego Klienta, będę się starał wynaleść panu 50,000 tym

łatwiéj, że jego kapitały są pewne, i mogą być korzystnie obróconemi w biegłych rękach.

Maurycy dał pełnomocnictwo swemu Notarjuszowi, od téj chwili wesoło patrzył w przyszłość która mu się wydawała bez chmury. Sprawa była doskonałą i miała mu zapewnić pokój, pewność i obfitość; korzyści szacowne przed któremi uspokoiły się boleści zdradzonego kochanka. Maurycy nie pamiętał już prawie ciosu zadanego jego tak długiéj wierności, zapomniał o zdradzie, a nawet o przewrotnéj wdowie, kiedy odebrał list od pana Nantouillet.

Wszystko dobrze idzie, pisał Notarjusz, interes pański zacząłem z bogatym kapitalistą, który i najlepsze i najgruntowniéjsze zapewnienia posiada. Po kilku niezbędnych o panu wiadomościach, jakich sprawiedliwie żąda nasz nabywca, a na których otrzymanie prosił mnie o miesiąc czasu. uregulujemy procenta i podpiszemy akt.

W kilka dni doktór Maurycego przyszedł do niego i rzekł:

— Czy wiesz pan że dowiadywano się u mnie o stanie zdrowia pańskiego?... Może się masz zamiar ożenić.

— Wielmożny panie, rzekł mu pewnego dnia odźwierny: jakiś nieznajomy przyszedł do mnie dając pięć franków, zapytał: o któréj godzinie powracasz pan zwykle do domu wieczorem, i kto u pana bywa. To mi się zdawało podejrzaném; od-

powiedziałem więc, że u pana bywają sami tylko godni ludzie i że powracasz zwykle o drugiéj godzinie. Pewnego rana, człowiek wysoki, suchy, czarno ubrany odwiedził Maurycego, a po tysiącznych ukłonach, tak zaczął rozmowę:

— Bardzo wiele słyszałem dobrego o panu i o jego swietném znaczeniu w wyższych towarzystwach. Kilku z jego przyjaciół, (wymienił ich nazwiska) upoważnili mnie udać się do pana. Jestem lekarzem homeopatycznym, przybywam z Niemiec, życzyłbym sobie osiąść w Paryżu, a pan, możesz mi być bardzo pomocnym przez swoje w swiecie znaczenie. W zamian jego dla mnie względu, ofiaruję panu moje usługi. Homeopatja zasadza się na wybornéj i najpewniéjszéj metodzie. Mogę to panu łatwiéj dowieść, przytaczając o jego temperamencie, jego zwyczajnych wypadkach i zwykłym stanie jego zdrowia tyle szczegółów pewnych i okolicznych, jak gdybym miał honor być jego lekarzem od lat 20. Zaczął się rozwodzić o mnóstwie okoliczności, których prawdziwość Maurycy albo potwierdzał, lub zaprzeczał z całą jemu właściwą poczciwością.

Po lekarzu Niemieckim, przybył jegomość bardzo żywy, wielomówny, wielki modniś, żółte rękawiczki, lorynetka, trzcina z złotą gałką, nic nie brakowało do zupełności jego stroju. Mości panie, rzekł do Maurycego, przychodzę panu przedstawić pewny interes, mam 6000 franków na pańskie u-

sługi, które mogę zamienić na rewers przez pana wystawiony. Jestem wydawcą. — Pan się mylisz, przerwał Maurycy.— Jakto miałżebym nie być wydawcą?— Nie to chciałem mówić, daleki jestem od zaprzeczania mu téj godności, lecz powtarzam panu że się mylisz na mojéj osobie, albowiem nie jestem literatem.— Tem lepiéj, właśnie dla tego udaje się do pana. Nie mam żadnéj styczności z literatami, mnie bowiem potrzeba ludzi światowych; mów mi pan o książkach żywych, w takich tylko znajdujemy prawdę, rzeczywistość i dokładną znajomość towarzystwa. Co do stylu to najmniéjsza. Mam czterech pomocników po 1800 franków, którzy się zajmują tą nic nieznaczącą drobnostką, na którą przecież złośliwi krytycy tyle uważają. Dowiedziałem się że pana młodość była namiętną. Łatwo się to daje po panu poznać. Z jego ułożeniem, wiadomościami, miejscem jakie pan w świecie zajmujęsz, wszystko staje się podobném. Pamiętniki pańskie byłyby nader ciekawe. Od dawna już literaturze naszéj brakuje takiego dziełka i o takie to właśnie pana upraszam. A nie chcąc narażać jego osobistości, damy tytuł dzieła: Pamiętniki człowieka światowego. Osoby wchodzące do działania, oznaczemy tylko początkowemi głoskami. Czy się to panu podoba? Jakże sądzisz, wiele tomów ułożyć będziemy mogli, z jego pojedynków, wypadków miłosnych, i całéj historji przeszłych jego figlów.

(Dokończenie nastąpi.)

Bądź Przyjacielem.

„Bądź zdrów!“...—„Bądź zdrowa“—„na zawsze?“—
„Na wieki!“
—„Ale pamiętaj, gdy nas los rozdziela,
Niechaj mam zawsze w tobie przyjaciela,
Wszakże przyjaźni zakres tak daleki!“

—„Być przyjacielem?... czemuż nie, o luba!
Przecież to zwykła jest piosenka wasza!
Biorąc spokojność, o przyjaźń uprasza,
Gdy w inną stronę przeciąga rachuba....

Raz téj piosenki usłyszałem słowa,
Raz, i od ciebie.... raz na pożegnanie,
I jak twój obraz w duszy méj zostanie,
Tak i piosenkę pamięć ma dochowa...

Serce zalegną boleść i wspomnienia,
A twojéj piosnki ostatnie wyrazy,
Smutniéj brzmiéć będą... smutniéj tysiąc razy,
Niż za umarłym pogrzebowe pienia!“

S.....

DOCHÓD DOŻYWOTNI.

(Dokończenie.)

W ciągu miesiąca po liscie Pana Nantouillet, Maurycy miał kilka wizyt w podobnym guście, a często postrzegał, że jego postępowania były mocno śledzone. W końcu zrozumiał że te wszystkie zwiady miały styczność z jego dożywociem. Starano się wywiedzieć co dawniéj robił i co teraz robi, ile przeszłość skróciła mu jego młodość, czego się można spodziewać po jego obyczajach; jak długie życie można mu wróżyć.

Po upłynionym miesiącu Pan Nantouillet przybiegł do niego, i zawołał z miną tryumfującą. Mamy nabywcę na 10 za 100 a tym sposobem będziesz pan miał czystego dochodu 50,000 franków. Zaledwie Maurycy podpisał kontrakt, wpadło mu na myśl wielkie zmartwienie. Jakto, rzekł sam do siebie, 10 za 100 dla mnie który jeszcze jestem tak młody, a więc osądzono mnie bardzo słabym. Homeopatyk znalazł zapewne we mnie nie omylny zaród śmierci. Zdaje się więc że mi już nie wiele życia pozostaje. Uciechy dostatków wkrótce stłumiły niespokojność. Dotąd Maurycy był skłonniéjszym do skąpstwa, niechętnie wydawał więcéj jak połowę swoich dochodów, lecz skoro tylko majątek swój oddał na dochód dożywotni, już nie myślał o oszczędności, umeblował dom ze zbytkiem, przyjął kilku służących, kucharza, na-

był konie, powozy, jednym słowem żył jak pan miljonowy, który chce aby go szanowano dla jego 50,000 franków dochodu, i który zabezpieczoną mając przyszłość, wszystko poświęca teraźniejszości. Trzy wypadki jeden za drugim, odznaczyły pierwsze miesiące zamożności Maurycego. Chorował na niestrawność po wielkim obiedzie danym dla samych przyjaciół. Konie rozbrykały mu się w lasku Bulońskim, powóz się wywrócił, na szczęście skończyło się na kilku sińcach. Pewnego wieczora, ogień zajął się w jego domu w chwili gdy się kładł spać. Maurycy był słabego umysłu, te trzy wypadki jeden po drugim szybko nadchodzące zostawiły mu przykre wrażenie. Starał się odgadnąć ten fatalizm którego nie chciał przypisywać wypadkowi, i zdawało mu się koniecznie że nastawano na jego życie i że był celem zasadzek niewidzianego nieprzyjaciela. Któż tedy był tym nieprzyjacielem? Zapewne ktoś taki któremu zależało wiele na tem aby się go pozbyć, a śmierć jego korzystną jedynie być mogła temu który mu dożywocie płacił.

Pełen téj smutnéj myśli, udał się do pana Nantouillet nie dlatego aby mu udzielić swéj obawy, ale raczéj aby powziąść wiadomość o charakterze swego dłużnika. Jest to bardzo uczciwy, przyjemny i bogaty człowiek, odpowiedział Notarjusz, pojechał zwiedzić piękności włoskich krajów.— A czy nie ustąpił mego interesu komu innemu? To

być może, o tem nie wiem, ale cóż to panu szkodzi? Wszak summa na jego hypotece zapisana, i on za wszystko odpowiada, druga osoba nic pana obchodzić nie powinna i nie zmienia pod żadnym względem naszych praw nad jego własnościami. Bądź więc pan spokojny. On myśli jedynie o moich dochodach, rzekł do siebie Maurycy wychodząc od Notarjusza; z téj więc strony mogę być spokojnym, będą mi je wypłacać póki będę żył! Otóż to właśnie sęk. Ten podróżujący po włoszech człowiek może mieć tu swoich powierników, albo może moja pierwsza myśl jest prawdziwszą, ustąpił tego interesu innemu spekulantowi, którego ja nie znam i przeciwko któremu nie będę się mógł nawet bronić. Oj! podobno wielką niedorzeczność popełniłem! Losem wspólnym wszystkim mieszkańcom Paryża, a któremu cudownym sposobem wymykał się dotyczas, Maurycy otrzymał wezwanie na służbę. Zdawało mu się że widzi w piśmie sierżanta starszego, rękę swego nieprzyjaciela, jednak był posłuszny prawu porządku publicznego. Pierwszy patrol wypadł mu w noc zimną i dżdżystą, a że ten patrol przez dziwaka kaprala prowadzony, trwał więcéj niż półtory godziny i przebiegł najokropniéjsze zakąty Paryża, Maurycy nie wątpił, że kapral był w porozumieniu z jego wierzycielem. Nie stanął na następne wezwanie, i został skazanym na 24 godzin więzienia. Dwóch gwardzistów miejskich

prowadziło go do pałacu Bezancourt, a przez trzy tygodnie chorował po tym wypadku.

Wszystkie te małe przeciwności, od których nie można być wolnym na tym świecie, wszystkie te lekkie sprzeczności które czasami krzyżują najszczęśliwsze i najswobodniéjsze marzenia, pogrążały Maurycego w pomieszaniu i trwodze. Jeżeli jego przyjaciele zapraszali go na wieczerzę lub późniéj w noc przy wesołych zabawach zatrzymywali, posądzał ich o wspólnictwo z jego prześladowcami. Smętna nieufność zajęła jego duszę i zatruwała wszystkie jego przyjemności. Jednak, pomimo dawniéjszéj rany, serce jego otworzyło się miłości, i przez chwilę zdawało się że Maurycy odradzał się w pokoju i słodkich uczuciach. Lecz wkrótce w téjże saméj miłości znalazł nowe pobudki przestrachu. Ostrość cnoty, zdawała się zamachem na jego życie, które chciano zniszczyć przez gorączkę trawiącą. Spotkany na jednéj schadzce, sądził że zdradliwa niewiasta którą kochał chciała go oddać w ręce nieprzyjaciół jego. Pojedynek zakończył całe to zdarzenie i przekonał go o mylności jego domysłów jakoby chciano jego śmierci i dla tego narażano go na ciosy biegłego szermierza. Maurycy ranił niebezpiecznie swego przeciwnika który był szlachetnym młodzieńcem, ale bardzo mało wprawnym w użyciu oręża.

Dotąd myślał sobie Maurycy, los bronił mnie przeciwko tysiącznym zasadzkom, i wyprowadził

z największych niebespieczeństw, lecz ta cudowna opieka nie może być wieczno-trwałą.

Jakąż to przyszłość zgotowałem sobie wśród niebezpieczeństw, bez spoczynku, co chwila zagrożony? już dla mnie niéma, ani pokoju, ani przywiązania, uczyniłem rozbrat z przyjaźnią i z miłością, wszędzie tylko napotykam skrytych nieprzyjaciół. Obawiałem się krewnych, którzy byliby niecierpliwie oczekiwali mego spadku, dzisiaj obawiam się nieznajomego który po méj śmierci zyska 50,000 franków na rok. Zamieniłem słabe i niepewne domysły, na straszliwą rzeczywistość. Niepodobna mi tak dalej żyć, a jednak nie mam innego sposobu jak udać się za granicę. Pojadę do Ameryki, a dla zagubienia mego śladu w oczach nieprzyjaciół moich, nikogo nie przyjmę do mojéj tajemnicy tylko pana Nantouillet, który będzie mi dosyłał pieniądze, bez których w obcéj ziemi nie potrafił bym żyć. Maurycy wybrał się więc do pana Nantouillet którego spotkał na pół drogi.

— Szedłem do pana, rzekł mu mocno zmieniony Notarjusz.

— A cóż zaszło?

— Bardzo przykre dla pana wypadki.

— Wytłómacz się pan.

— Jest to rzecz, tycząca się nabywcy pańskich funduszów.... Niegodziwy!

— O Boże! więc się nie omyliłem? moje podejrzenia były zasadne? Już wiem co mi powiesz kochany panie Nantouillet.

— Pan wiesz?..

— Tak jest... On chciał mnie zabić?

— Przeciwnie, on sam umarł.

— Umarł? Chwałaż Bogu!

— Ale co jest najprzykrzejsze, zostawił interessa w największym nieładzie, chciwi wierzyciele rzucili się do grabieży, i lękam się czy przy moich staraniach, zastrzeżeniach, i nie zaprzeczonych pańskich prawach, zdołam ocalić jego kapitał.

— Mniéjsza oto, rzekł Maurycy, wolę stracić połowę mego majątku abym się tylko uwolnił od tego dożywocia.

Życzenia Maurycego spełnionemi zostały. Jego majątek zmniejszył się o połowę, lecz spokojność wróciła do jego serca i życie jego odzyskało dawną swą przyjemność. Ożenił się, jest szczęśliwym, nikt mu już śmierci nie życzy, i zdaje się że długo żyć będzie.

W SIMIONNIKU

Alexandry T...

SONET.

Błogo mi, że pierwszemu z twych przyjaciół, pani,
Pozwalasz na téj karcie zapisać me imie,
Uczcić twoje przymioty w nieuczonym rymie,
I wieniec szczerych życzeń ofiarować w dani,

Dobroć, cnoty, i wdzięki... lecz nadobne skronie,
Lękam się zarumienić natrętną pochwałą;
A nawet do życzenia cóż ci pozostało?
Los cię mieści na złotym pomyślności tronie.

Liczni tu jeszcze po mnie wpiszą swe nazwiska,
Tych dowcip cię ubawi, tych pochlebstwo znudzi,
Innym wdzięczne spojrzenie nadzieją zabłyska,

Lecz tego tylko nazwę najszczęśliwszym z ludzi,
Kto pierwszy w twojéj duszy lube czucie wzbudzi,
Pierwszy twoją myśl zajmie, twe serce pozyska!

A....t B......ski.

OBŁĄKANIE MATKI.

Jedna z tych roskosznych wiosek, które rozciągają się wzdłuż brzegów Tamizy, na północnéj pochyłości pięknie wznoszących się wzgórzów w okolicy Richmond, była przed niedawnym czasem swiadkiem smutnego nader zdarzenia. Wieśniacy przejeżdżając bardzo rano, drogą łączącą się w téj stronie z wielkim gościńcem Londyńskim, znaleźli przed pięknym bogato przyozdobionym wiejskim pałacykiem, nieżywe dziecię, którego strzaskana głowa przekonywała iż z bardzo wysokiego miejsca spaść musiało. Nie było śladu stóp ludzkich na miękkiéj ziemi, przytém otwarte okno na piérwszém piętrze i nocne ubranie zamordowanego dziecięcia, wszystko dowodziło że zbrodnia została spełnioną. Trudno tylko było wytłómaczyć sobie dlaczego winowajcy nie starali się zniszczyć śladów swego występku.

Nim powiemy co się téj nocy stało, musiemy cofnąć się do wypadków będących przyczyną śmierci dziecięcia.

Przed dwoma laty, młodzieniec noszący jedno z najpiękniéjszych imion dumy angielskiéj, zamie-

szkał na jednėm z przedmiéść Douvru, w początkach zimy. Wkrótce wszedł do najświetniéjszych towarzystw, i wszędzie zyskał najprzyjaźniéjsze przyjęcie.

To powodzenie jednakże, nie zadowolniło młodego lorda, i opuściwszy wielki świat, wyłącznie zaczął bywać w domu szlachetnéj rodziny, złożonéj z dwóch tylko osób; podeszłego oficera marynarki, którego względy zyskał słuchając opisów dawnych wojen; i młodéj panienki, która od chwili wyjścia z pensji, była jedyną towarzyszką starego ojca.

Po trzech miesiącach odwiedzin młodego X. nieszczęśliwy starzec umierał z rozpaczy. Córka jego, tak czysta, tak niewinna dotychczas, opuściła go, uciekła z obcym który wszedł tylko do domu starego wojaka, aby hańbą okryć imie jego.

Lord X... jednak, był zupełnie szczęśliwy. Pod przybraném nazwiskiem, najął piękny letni pałacyk, i otoczony zbytkiem wszelkiego rodzaju, pędził roskoszne dni przy boku téj, którą ciągle oszukiwał zmyślonemi wiadomościami o zdrowiu jéj ojca, i mniemanemi przeszkodami zwlekającemi związki małżeńskie, które przyrzekł z nią zawrzeć.

Tymczasem, miss B... została matką, wydając na świat syna. X..., zamówił wcześnie mamkę; nie chcąc aby miss Łucja B... trudziła się macierzyńskiemi staraniami, i dziecię, zaraz po przyjściu na

świat, zostało odwiezione, jak mówił ojciec jego, na wieś gdzie mieszkała jego mamka.

Podług rozkazu lorda X... zamiast na wieś, zawieziono dziecię do domu podrzutków.

Miss B... z trudnością przyszła do zdrowia; przez cały ciąg słabości nie przestawała wypytywać się o swego syna. X... oszukiwał ją fałszywemi powieściami, dawał jéj czytać podrobione listy, w których opisywano najdrobniéjsze szczegóły o zdrowiu dziecięcia. To wszystko przepełniało radością serce biednéj matki.

Po dwóch miesiącach nakoniec, miss B... wyzdrowiała zupełnie, i wyznaczono dzień w którym miała razem z lordem X... wyjechać na wieś dla odwiedzenia dziecięcia.

Dniem pierwéj lord X... wyszedł z domu bardzo rano, nie był na śniadaniu, i na próżno czekano go z obiadem. Nie wiedziano co się z nim stało. Miss B... przepędziła noc w okropnéj niepewności oczekiwania, i nazajutrz, pobiegła prawie obłąkana z niespokojności i obawy, do przyjaciół i znajomych swego kochanka, chcąc jakąkolwiek powziąść o nim wiadomość. Jakaż była jéj rospacz, kiedy usłyszała że lord X... który oddawna przygotowania czynił do długiéj podróży, wyjechał pocztą do Douvru, a z tamtąd miał wsiąść na okręt, najęty do północnéj Ameryki.

Jéj biédne serce, nie było w stanie znieść tego ciosu. Padła zemdlona usłyszawszy te słowa, i

w opłakanym stanie nieprzytomności zaniesiono ją do domu. Starania lekarzy, młodość, a nadewszystko nadzieja znalezienia przynajmniéj dziecięcia, przywróciły jéj zdrowie, do tego stopnia, iż mogła nawet przedsięwziąść poszukiwania, których skutek pomyślny jedynym był celem jéj życzeń.

W Saint-Paul, nikt nie znał mamki od któréj fałszywe listy pokazywała miss B... Na próżno udawała się do wszystkich biur komissowych, trudniących się wynalezieniem kobiét tego rodzaju, i po dwu-miesięcznych staraniach i zachodach, zaczęła już przygotowywać się do téj okropnéj prawdy, że jéj dziecię jest dla niéj na wieki stracone.

W końcu ostatniego miesiąca miss B... z wybladłą twarzą, z obłąkanemi i od łez zapadłemi oczyma, przechodziła się z jedną tylko służącą po ulicach miasta, przypatrując się chciwie dzieciom, przechadzającym się przy boku rodziców, albo pod dozorem służących.

Przechodząc około sklepu bławatnego na ulicy Piccadilly, stanęła aby przyjrzéć się pięknym czapeczkom i sukienkom jakie się zwykle maleńkim dzieciom dają. Nagle wydaje krzyk rozdzierający, i opiera się na ramieniu służącéj. Poznaje czapeczkę którą własnemi rękami haftowała dla swego dziecięcia, nagle promień nadziei zabłysnął w jéj duszy; w jednéj chwili już jest w sklepie, pyta właścicielki,

prosi, błaga, zaklina, i kupcowa zebrawszy myśli przypomina sobie, i pisze nazwisko i miejsce zamieszkania kobiety, ktora jéj ten przedmiot przedała.

Miss B... z papierem w ręku, biegnie, i w nędznéj izdebce na poddaszu, znajduje nakoniec kobietę, któréj na przemian niedostatek i zbyteczne użycie wiski (wódka) zaledwie tyle przytomności zostawiły, iż przypomniała sobie, że przed sześciu miesiącami kazano jéj odnieść dziecię płci żeńskiéj, do domu podrzutków, i że złożyła je tamże pod bramą, około godziny 9téj wieczorem.

Ta wiadomość była dostateczną; miss B... udaje się do wskazanego domu, wymienia dzień i godzinę. Dwoje dzieci płci męskiéj znaleziono tegoż dnia u drzwi domu, zupełnie jednocześnie. Cóż począć w takiéj niepewności? Pójdzie zobaczyć je, i jeśli serce jéj nie rozezna własnego syna, weźmie do siebie obie niewinne istoty, i podwójne szczęście znajdzie w ich miłości.

Jedno z tych dzieci umieszczone jest na ulicy Ramsgate; nieszczęśliwa matka spieszy tam; nowa boleść ją czeka: dziecię zmarło przed dwoma dniami, a rozdartemu jéj sercu zdaje się że to koniecznie musiał być jéj syn. Ostatnia nadzieja jeszcze pozostała; biegnie do wioski niedaleko Londynu gdzie ma się znajdować drugie dziecię. Któż wystawi sobie jéj radość, kiedy przybywszy do porządnéj a nawet zamożnéj chatki, postrzegłą

na kolanach młodéj przystojnéj wieśniaczki, uśmiechające się dziecię, którego uderzające podobieństwo z lordem X... dostatecznym byłoby dowodem tożsamości, gdyby nawet serce macierzyńskie nie przekonywało jéj że to jest jéj syn, jéj jedyny syn.

Miss B... uniesiona radością wraca z swoim skarbem, do wiejskiego pałacyku który po śmierci ojca stał się jéj własnością. Ale tyle wzruszeń, tyle cierpień, zbyt mocne ciosy zadało jéj moralnym władzom. Już to w pół obłąkana, konwulsyjnie ściskała cudem prawie odzyskane dziecię, już znowu smutna i ponura odpychała je jakby wątpiła że jest jego matką. Od kilku dni te oznaki melancholji stawały się częstszemi, i niebespieczniéjszemi, przejmując trwogą i politowaniem tych co otaczali nieszczęśliwą. Nakoniec jednego wieczora miss B... będąc samą z swym dziecięciem, w przystępie silniéjszego niż zwykle obłąkania, wyrzuciła syna swego przez okno.

Teraz miss B... zupełnie już postradała zmysły. Nie pamięta wcale swego postępku, i w domu obłąkanych gdzie ją przeniesiono, kołysze, i najtkliwszemi pieszczotami okrywa sukienki syna zwinięte i okryte bielizną, w przekonaniu że pieści się z swojem dziecięciem, które jéj życie i śmierć było winne.

WIDMO.

(*Wspomnienie z podróży.*)

Ostatni Margrabia d' Astros, mieszkał w jednéj z swych posiadłości niedaleko Palermo, przez większą część lata w roku 1808. Laura, jedyna córka jego, pokochała młodego oficera którego raz widziała na balu. Nie spodziewając się zezwolenia ojca, długo usiłowała napróżno przezwyciężyć tę namiętność; a dowiedziawszy się że jéj kochanek w krótce ma z pułkiem opuścić Palermo, postanowiła widzieć się z nim raz jeszcze. Kazała mu przyjść wieczorem pod jéj okno. O umówionéj godzinie wyszła na ganek; chciwem okiem, które zdawało się, przenikać grube ciemności, upatrywała swego lubego, w tem spostrzegła w nie wielkiéj odległości od zamku, jakąś postać idącą w stronę sąsiedniéj wioski. Z razu myślała że to oczekiwany kochanek, ale w krótce poznała że się myliła: była to olbrzymia postać, ubrana biało, a krok jéj poważny i uroczysty, kazał się domyślać że nie należy do tego świata. Przelękniona Laura zamknęła okno, i nie odważyła się już wyjść na ganek:

Nazajutrz zrana, wiejska kobieta oddała jéj list, w którym kochanek uskarżał się na jéj okrucieństwo i prosił żeby nie odmawiała mu tego wieczora chwili widzenia się. Laura zapominając wczorajszego przestrachu, postanowiła nie lękać się niczego.

O tej saméj godzinie była na ganku, a biała postać okazała się znowu w tem samem miejscu co dnia poprzedniego. Mimo przestrachu, nie chcąc sprawiać nowéj przykrości swemu kochankowi, i sądząc prócz tego, że żadne niebezpieczeństwo w mieszkaniu zagrażać jéj nie może, pozostała w oknie. Widmo postępowało zwolna, i znikło wkrótce w ciemności.

Laura niespokojna czekała długo, ale napróżno; młody oficer nieprzyszedł; zegar pobliskiéj kaplicy wybił już drugą, kiedy znużona niespokojnością i oczekiwaniem, wróciła smutna do swego pokoju.

A jednak, o umówionéj godzinie, kochanek jéj przeszedł przez mur parku; pełen nadziei i miłości postępował ku miejscu gdzie go Laura oczekiwać miała. Już był blisko zamku, kiedy odgłos kroków obił się o jego uszy, a obejrzawszy się spostrzegł okropne widmo idące wprost ku niemu. W pierwszéj chwili zadziwienia porwał broń, widmo toż samo uczyniło, rozpoczęła się zacięta walka. W kilka chwil padł jeden z walczących u nóg przeciwnika. Zwycięzkie widmo poszło daléj w swoją stronę.

(Dokończenie nastąpi.)

WIDMO.

(Dokończenie.)

Szczęk broni tak blisko zamku, nie uszedł uwagi Margrabiego, Zwołał ludzi, kazał im przebiedz park i zobaczyć ktoby się mógł w nim znajdować o téj porze. Służący długo szukali, lecz nadaremnie, żaden ślad niepozostał wiadomego nam wypadku.

Margrabia d'Astros, niebył zadowolony z daremnych poszukiwań domowników i powiedział, że może mu się tylko zdawało. Córka jego domyślała się prawdy, przeczuwając że jéj kochanek walczył z okropném widmem. Postanowiła więc, udać się do kobiéty, która jéj poprzedzającego dnia przyniosła list od kochanka, aby od niéj pewną jaką wiadomość otrzymać. Nazajutrz dopiéro mogła wykonać ten zamiar.

W towarzystwie służącéj doszła już prawie do końca parku swojego ojca, kiedy nagle usłyszała, że jéj ulubiony piesek zajadle szczekał patrząc w krzaki; przywoływała go kilkakrotnie, ale napróżno, zbliżyła się nakoniec, chcąc zobaczyć przedmiot jego gniewu czy przestrachu; zatrzymała się z przerażeniem, ujrzawszy skrwawione ciało okryte liściami. W obłąkaniu trwogi zdawało jéj się że widzi zamordowanego kochanka i

zemdlała. Krzyki przelęknionéj służącéj, zgromadziły wkrótce w to miejsce tłum mieszkańców, a pomiędzy niemi starą wieśniaczkę posłankę młodego oficera. Laura odzyskała zmysły, a stara zapewniła ją, że ten, którego list przyniosła jéj wczoraj, znajduje się ukryty w jéj chatce, i że otrzymał tylko lekką ranę. Młoda dziewica wniosła z tego, że zwłoki ukryte w krzakach, należały do owego widziadła, które ją dwa razy przestraszyło. Smutna wróciła do zamku. W nocy niespokojność i pomieszanie nie dały jéj zasnąć. Chciała odetchnąć świeżém powietrzem i otworzyła okno; ale jakież było jéj zadziwienie i przestrach, gdy znowu ujrzała białą olbrzymią postać; osądziła że stara wieśniaczka oszukała ją, i znowu pomyślała, że to jéj kochanek został zamordowany w parku. Resztę nocy strawiła w okropnym stanie.

A jednak stara prawdę mówiła, oficer znajdował się istotnie w jéj chatce. Dowiedziawszy się o morderstwie, przypuścił że zapewne śmiertelnie ranił przeciwnika, nim od niego został raniony. Tym czasem Margrabia, kazał najściśléj dochodzić tego wypadku, ale nietylko że nie można było dowiedzieć się kto był zabójcą, lecz nadto niepodobna było poznać ofiary. Rozmaite pogłoski krążące w sąsiedzwie, tak były nieprzyjemne Margrabiemu, iż zostawiwszy tylko kilka godzin czasu na przygotowania do podróży, opuścił zamek z całą

rodziną, i przeniósł się do innéj swojéj posiadłości.

Mówiono między innemi, że jęki zamordowanego słyszano w kaplicy wiejskiéj, gdzie pochowano zwłoki znalezione w parku, a od któréj klucze znajdowały się u Margrabiego. Prócz tego ta kaplica, kilka razy do roku, tylko w uroczyste święta była otwieraną.

Nie wchodząc w rzeczywistość tych pogłosek, przerwać musiemy ciąg naszego opowiadania, dla wiadomości czytelników, o niektórych jeszcze okolicznościach, poprzedzających zbrodnią o któréj mówiliśmy.

Margrabia d'Astros, przed niejakim czasem porwał młodą dziewczynę bardzo piękną lecz niskiego urodzenia, i powierzył ją zaufanemu człowiekowi w bliskości zamku jego mieszkającemu. Żona margrabiego żyła jeszcze. Chcąc ukryć swoje stosunki z porwaną dziewczyną, odwiedzał ją tylko w nocy. Łatwo domyśleć się, że on to był widmem, i że przybierał tę postać, aby nieściągnąć na siebie zbytniéj uwagi mieszkańców, znając ich łatwowierność i obawę podobnych zjawisk. W jednéj z swoich wycieczek, spotkał młodego oficera, i sądził że ten zaczaił się chcąc go zamordować. Po skończonéj walce, oficer, mimo odniesionéj rany, dostał się do miejsca gdzie oczekiwał jego służący, i kazał się odprowadzić do staréj niewiasty, która nosiła list jego do Laury. Gdy nie

znaleziono trupa, Margrabia nie mógł dowiedzieć się kto mógłby być jego przeciwnikiem i miał podéjrzenie na młodzieńca, narzeczonego porwanéj przez niego dziewczyny.

Powziąwszy tę myśl margrabia, wiedząc że ta dziewczyna nie przestała kochać swego narzeczonego, i że on sam, jest dla niéj celem nienawiści i wstrętu, nie wątpił już, że kochankowie porozumieli się aby go zamordować. Zazdrosny i mściwy postanowił uwolnić się od nienawistnego rywala.

Nazajutrz po spotkaniu się Margrabiego z oficerem, narzeczony porwanéj dziewczyny, odebrał list z jéj podpisem, kochanka prosiła go ażeby znajdował się wieczorem w czasie i miejscu oznaczoném, aby ją uwolnić z rąk Margrabiego. Nieszczęśliwy młodzieniec w padł w sidła; o przeznaczonéj godzinie udał się na wskazane miejsce, i został przyjęty przez trzech ludzi uzbrojonych sztyletami, którzy wpadli na niego i zamordowali. Zwłoki wrzucono w krzaki, gdzie znalazła je nazajutrz własna córka Margrabiego. W tym samym dniu młoda dziewica znikła tajemnie z domu w którym ją Margrabia umieścił.

Po nagłym odjeździe margrabiego d'Astros, w ciągu kilku dni nic nowego nie zaszło. Tylko jęki w kaplicy stawały się co raz wyraźniejszemi, ktokolwiek przechodził tamtędy w ciągu dnia, słyszał łkanie i głos wzywający pomocy. Mieszkań-

cy wioski mocno tém byli przerażeni, i nakoniec pleban, postanowił poznać przyczynę tego. Otworzono drzwi do kaplicy, i idąc za odgłosem jęków, znaleziono w podziemiu tę samą dziewicę która nagle znikła, bliską zgonu z powodu braku pożywienia.

Kiedy skutkiem starań przytomnych, nieszczęśliwa odzyskała zyskąła zmysły, opowiedziała iż od 8 dni zamkniętą była w tych zimnych pieczarach, bez innego zapasu prócz bochenka chleba i dzbanka wody. Zamknięto ją z razu w głębszém podziemiu, obok otwartéj trumny zamordowanego kochanka, z tamtąd głos jéj, nie byłby mógł dojść uszu śmiertelnych, ale powtarzane jéj usiłowania wyłamały stare drzwi, i dostała się wyżéj. Margrabia zostawiając ją tam powiedział, że jeżeli za trzy dni nie wróci, to będzie znakiem że już nigdy nie ma ujrzeć światła dziennego.

Zdarzenie to jest prawdziwe. Słyszałem je z ust Margrabiego, który teraz z pochyloną głową od starości i zgryzot sumienia, jest braciszkiem posługującym w jednym klasztorze Trapistów, w okolicach Palermo, i za pokutę ma naznaczoną powinność, opowiadania swoich zbrodni osobom odwiedzającym klasztór.

WRÓŻKA.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Nie zbywa na ludziach, którzy ciągle powtarzają: „Nie jestem zabobonnym!“ — Ale niechaj tylko będą w jakiéjkolwiek styczności z zabobonem, a zobaczymy, na którą stronę się przechylą.

Znałem młodego człowieka. Był rotmistrzem Dragonów. *Un esprit fort en bottes fortes*, możnaby o nim powiedzieć. Jakżeby się śmiano z tego, któryby powiedział, że rotmistrz R. jest zabobonnym!

On sam nigdy o tem nie myślał. Dwadzieścia siedm lat, piękna postać, rotmistrz, dziesięć tysięcy talarów dochodu, to było dosyć, aby być wyższym nad przesądy. Nasz przyjaciel, właściwie wierzył tylko w siebie samego. Aż dotąd, zawsze gwiazda szczęścia mu przyświecała.

Rudolf R... był najprzyjemniéjszym i najweselszym z dragonów. Śmiał się ze wszystkiego, i najpoważniéjsze rzeczy w żart obracał. Mało się troszczył o przeszłość i przyszłość, i nie znał żadnéj z moralnych słabości ludzi.

Pułk jego stał załogą w małém mieście. Gdy jednego dnia oficerowie siedzieli przy stole, gospodyni weszła do nich z poważną miną i zapytała, czy który z panów niéma ochoty kazać sobie wróżyć.

Właśnie dawano wety; była to chwila ogólnéj wesołości. Całe towarzystwo odpowiedziało:

— Jak najchętniéj. Wejdźże, panie czarnoxiężniku!

— Albo pani czarownico!

Niezadługo weszła do sali kobiéta, osobliwszym sposobem czarno ubrana. Była bladą i poważną; miała około pięćdziesięciu lat, ale twarz okazywała, że w młodości musiała być piękną. W całéj jéj postawie panowała jakaś spokojność, która, jakby przez czary zakończyła śmiechy, jakiemi ją powitano.

Nakoniec najśmielszy zabrał głos.

— Możesz czytać w przyszłości, mościa cyganko, tém bardziéj zatém w przeszłości.

— Tak jest mości poruczniku M.

— Znasz moje nazwisko?

— Czyliż tak błacha rzecz dziwi pana?

— A więc przepowiedz mi moje szczęście.

— Wasze szczęście? zdajesz się pan być pewnym. Czy mam panu mówić o jego przeszłości? Nie była uwagi godną. Teraźniejszości? Długi i miłostki. Przyszłości? Za miesiąc będziesz pan żonaty.

Ogólny wybuch podziwienia i śmiechu, nastąpił po tém proroctwie. Porucznik, do którego wróżka mówiła, znanym był jako nieprzyjaciel małżeństwa.

Wróżka szła w około stołu i znała bieg życia wszystkich oficerów; każdemu przepowiedziała jego przyszłosć, ale ta nic nie zawierała strasznego. Rudolf, o którym z początku mówiliśmy, był ostatnim, do którego się udała. Nie wiem, czy dla tego aby na samym końcu wielkie sprawić wrażenie, czy z innéj pobudki, dość, że spojrzawszy w dłoń Rotmistrza, i rozkazawszy mu kilka kart z talji wyciągnąć, jéj wzrok się zachmurzył, a głos stał się przytlumionym.

— Okropnie! rzekła. Daruj mi Pan, ale niemogę jego ciekawości zaspokoić.

— Dla czego?

— Bo nie mogę panu nic dobrego wywróżyć.

— J nic więcéj?

— Wiem, mości rotmistrzu, że jesteś walecznym. Nie raz śmiało zaglądałeś w oczy śmierci. Ostatni twój pojedynek jest tego dowodem. Jesteś odważny, ale odwaga może cię opuści, skoro się dowiesz o mojéj wyroczni.

Rudolf rozśmiał się na całe gardło, i odpowiedział pogardliwym tonem:

(Dokończenie nastąpi.)

WRÓŻKA.

(Dokończenie.)

— Ależ dobra niewiasto, przecież nie myślisz, że twoje wyrocznie za coś ważnego mamy?

— Będzie płakał w niedzielę, kto się w piątek śmieje. Moje wyrazy zawsze ślad zostawiają. I choćbyś pan był z żelaza, musisz o nich pamiętać.

Ciekawość Rudolfa była bardzo rozdrażnioną, i zawołał:

— Może się boisz, że za twoją nędzną wróżbę nędznie ci zapłacę? Masz, bierz oto z góry...

Rzucił jéj dukata.

— To wiele, rzekła kobiéta z gorzkiem uśmiechem; więcéj, niźli warto.

— Zapłaciłem ci, teraz mów.

— Będę mówiła, nie dlatego, że mi zapłacono, bo byłabym panu oddała to złoto, gdybym mówić nie chciała, ale mówić będę, bo muszę, bo los pański tego wymaga.

— Mówisz okropnie uroczyście!

— Być może. Rotmistrzu R., jesteś najmłodszym i najszczęśliwszym ze wszystkich tu obecnych, a jednak pierwszy z nich śmierć znajdziesz.

— Brawo! zawołał Rudolf; może masz słuszność, ale ja mam ochotę żyć jeszcze dziewięćdziesiąt lat!

— Odéjm ośmdziesiąt dziewięć, mości Rotmistrzu.

— Jakto? mam już za rok umrzeć? zawołał Rudolf ze śmiechem. To szkoda!

— Za rok!... powtórzyła wróżka ponurym głosem, i odeszła.

Ta przepowiednia wprawiła Rudolfa w najweselszy humor. Żądał papieru, pióra i kałamarza, aby napisać swój testament, i ponczu, aby pić za pokój swéj duszy. Wieczór spędzono na szalonych rozmowach.

W ośm dni późniéj, kiedy już nie myślano o tém zdarzeniu, porucznik M. otrzymał list od swego stryja, a razem opiekuna, w którym proponował mu wyborne małżeństwo. Jego przyszła była bogatą i należała do znakomitéj rodziny. Nie można się było wahać. M. przyjął propozycją, wziął urlop i obchodził ze swemi przyjaciołmi wesołą uroczystość pożegnania.

— A widzicie, koledzy! zawołał jeszcze przy pożegnaniu; nasza czarownica ma słuszność. Rudolfie, strzeż się.

Lekka bladość powlekła twarz Rudolfa, i pokręcił wąsa.

Znowu wszyscy oficerowie zapomnieli o wróżce, z wyjątkiem Rudolfa, który zdawał się być smutnym i zmartwionym.

— Co mu jest? pytano zewsząd.

— Kocha się.

— Jest zazdrosny.
— Dostał splinu.
— Przegrał w karty.

I każdy inne czynił domysły. Pewnego dnia po śniadaniu Rudolf rzekł do swoich kolegów:

Moi przyjaciele, opuszczam was. Od niejakiego czasu obmierzła mi służba, i dlatego wziąłem dymisją.

* * *

W rok potem Rudolf oczekiwał spokojnie śmierci.

Biedny Rudolf! któżby go teraz poznał! nie był to już ów wesoły, roskoszny, zawsze zakochany młodzieniec! Był to mąż, którego troski i ponure przeczucia, przed czasem zestarzały; każdy dzień odbierał mu rok życia, z przerażeniem oczekiwał fatalnéj pory. Włosy jego zaczęły siwieć, a przedwczesne zmarszczki twarz jego poorały. Żalił się przytém na ciągłe słabości; jego lekarz dwa razy na dzień przychodził.

Gniewałby się, gdyby mu radzono, aby się oddał rozrywkom ludzi swojego wieku. Widok konia napełniał go strachem, chociaż dawniéj umiał najdzielniéjszego rumaka hamować; nie cierpiał modnéj odzieży, nosił kaftaniki flanelowe i pilnie zażywał tabakę.

Gdy ostatnia jego chwila coraz bardziéj się zbliżała, Rudolf pomyślał o pojednaniu się z niebem;

każdego rana pobożnie mszy słuchał, majątek swój użył na dobroczynne zakłady i uczynki. Był przykładnym chrześcjaninem.

Tak tedy nadszedł ostatni miesiąc, ostatni tydzień, ostatni dzień. Gdy ten zaświtał, Rudolf przygotowywał się na śmierć, a porachowawszy się z niebem, cierpliwie oczekiwał skonania.

Obok jego łóżka siedziała stara służąca, która czytała mu pismo święte. Rudolf zasnął.

Nazajutrz z podziwieniem obudził się, i trzeba go było przekonywać, że nie umarł. Ale na nic mu się to nie przydało. Miał tylko 28 lat, a zdawał się mieć 50. Smiertelna trwoga tego roku, nazbyt go wycieńczyła, o mało nie stracił rozumu.

Lekarz doradzał mu podróż do Włoch, i Rudolf wyjechał. Gdy raz siedział przy wspólnym stole w Nizzy, weszła gospodyni i zapytała, panowie nie każą sobie wróżyć?

Rudolf zadrżał.

Wróżka weszła do pokoju. Była to jego dawna znajomość. Oniemiał; był jakby zniszczony.

Wróżka każdemu przepowiadała, a gdy przyszło do Rudolfa, porwała dłoń jego i zawołała:

— Co za przepyszny prognostyk! Jeszcze przez lat pięćdziesiąt pełne szczęścia życie!

Ale Rudolf stracił przytomność. Zaniesiono go do mieszkania, a nazajutrz był bez duszy.

Wróżka pierwszy raz omyliła się sześcią miesiącami, a drugi raz pięćdziesięcią laty.

Wszyscy, którzy znali Rudolfa, opłakiwali go, a szczególniej dawni jego koledzy, z tém wszystkiem słabość jego była powszechnie znaną, i wiedziano, że umarł jako ofiara zabobonu.

Trzech officerów od dragonów, filozoficznie rozprawiało nad tym przedmiotem podczas wspólnéj uczty. Wtém, były Porucznik M. który już teraz był pułkownikiem dragonów, wstał poważnie, a napełniwszy kieliszki szampanem, wymówił przytłumionym głosem następujący toast.

— Pamięci naszego zgasłego kolegi, Rudolfa! Oby przykład jego był dla tych nauką, którzy zabobonom hołdują!

WOLTYŻER
BEZ WĄSÓW.

W jednéj z bitew najzaciętszych w Portugalji, pułk 27 linjowy wojska francuzkiego rzucił się najpierwszy, i wkrótce zmuszony był cofnąć się, naciśnięty korpusem Anglików, których attak żywy i niespodziéwany, zmieszał cokolwiek z początku żołnierzy ze wszech stron otoczonych. Ledwie pułkownik zdołał przywrócić porządek, gdy kula trafiła go w nogę i ubiła mu konia, mniemano że poległ, i każdy myślał tylko o pomszczeniu swego dowódcy; idąc więc na bagnety, pułk ten otworzył sobie szeroką drogę w szeregach nieprzyjacielskich. Nikomu nie przyszło na myśl, aby zabrać ciało poległego dowódcy, kiedy sierżant z kompańji Woltyżerów mały i szczupły, nazwiskiem Chesquiere odezwał się do dwóch towarzyszy; równie haniebnie byłoby zostawić nieprzyjacielowi zwłoki pułkownika, jak stracić chorągiew. Idźmy go podnieść, dodał, i pokażmy im, z kim mają do czynienia. Trzéj odważni pospieszyli ku poległemu, lecz tylko jeden z nich, doszedł do

drzewa pod którym leżał pułkownik, a dwaj jego towarzysze znaleźli w drodze śmierć chwalebną. Nie dość było dojść do tego miéjsca, lecz trzeba było jeszcze unieść ciało, a Chesquiere nadaremnie usiłował dźwignąć ten szacowny ciężar, siły zdradzały ciągle jego usiłowania, i upadał ilekroć chciał go poruszyć.

W tém spostrzega w oddaleniu dwóch oficerów nieprzyjacielskich, woła na nich grożąc im karabinem. Ci widząc jednego człowieka, pospieszają aby go wziąść w niewolą, lecz nim doszli, Chesquiere zranił jednego i postępował odważnie ku drugiemu, rospoczęła się walka, długo nie pewnem było zwycięztwo. Nakoniec anglik poddał się zostawszy ranionym w obje ręce. Natenczas Chesquiere przywiązał go wraz z towarzyszem do konia, zmusiwszy ich poprzednio, aby mu pomogli złożyć na siodło ciało pułkownika i tak udał się do swego pułku, z swym szacownym ciężarem i dwoma jeńcami.

Chirurg natychmiast przykłada rękę do serca pułkownika i mówi: on nie umarł! otaczają go, opatrują jego ranę, udzielają mu potrzebnych starań, a ten którego za zabitego uważano, otwiéra oczy, i dowiedziawszy się, co waleczny sierżant uczynił dla niego, rzuca się w jego objęcia.

W tym uściśnieniu, Chesquiere wydał krzyk bolesny, i dopiéro w ten czas postrzegł sam, że był w lewą rękę postrzelony.

Zdéjm mundur, rzekł mu chirurg, muszę ci przeciąć koszulę i opatrzyć ranę.

Chesquiere, ociąga się i rumieni.

Spiez że się, myślisz że mam nadto czasu. I gwałtem mu zdejmuje mundur lecz jakież było zadziwienie, gdy poznano że sierzant był kobietą.

Oficerowie angielscy, włosy rwali ze złości, że się pozwolili rozbroić jednéj kobiecie. Pułkownik nie wiedział jak okazać swą wdzięczność, a stary Chirurg, zdjął machinalnie kapelusz. Wów czas okazało się że Wirgińja Chesquiere, urodzona w Délemont, widząc że jéj brat młodszy, powołany do wojska, nie był w stanie znieść trudów wojennych, otrzymała od rodziców pozwolenie zastąpienia go. Byli bliźniętami i nader do siebie podobni. Stawiła się przed wyiściem w ubiorze braterskim, i wcieloną zostawszy do 27 pułku, służyła w nim lat 6. W ciągu tego czasu dosłużyła się stopnia sierżanta, Jenerał dowodzący brygadą, uwiadomiony o tym ważnym wypadku, przyszedł zobaczyć Wirgińją, ozdobił ją krzyżem legji honorowéj i uwolnił od służby. Młoda dziewczyna wróciła do swéj zagrody, gdzie o niéj zawsze mówiono, jako o wzorze odwagi i skromności.

DZIECIĘ.

(Marcelina Valmore.)

I.

Szkoła.

Ileż to wspomnień zostawia nam szkoła, choć prawie dziecinne tylko lata w niéj spędzamy, ileż to okoliczności drobnych. stało się nasieniem, które olbrzymie przyniosło owoce. Któż z nas z tajemną roskoszą nie przywodzi sobie na pamięć wypadków, niegdyś przykrych, ale teraz miłe obudzających uczucia. Posłuchajcie powieści o młodym Ireneuszu.

Ireneusz, biédnie ubrany, nie okrzesany, i nieśmiały jak poczciwe ubóstwo, nie wiem jakim sposobem, dostał się do jednéj z najznaczniéjszych pensji w Châlons.

Jeszcze blady i z zapuchłemi oczyma, od łez które wylewał rozstając się z matką, z sercem przepełnioném niewysłowioną boleścią, patrzał do okoła wzrokiem błędnym, nie odpowiadał nic na tysiączne zapytania któremi obsypywali go dawniéjsi uczniowie, i prawie ogłuszony był tym niesfor-

nym gwarem. Pożegnanie matki, jéj głos, brzmiał w duszy jego, i całe moralne pojęcie zgromadziło się w jego sercu. Nieporuszony, z wpół otwartemi oczyma, stał w kole, które utworzyli przyszli towarzysze jego, krzycząc z wszystkich sił:

— Piękne przywitanie, tylko nie można domyśléć się w jakim języku! Istotnie, wymowny jest niezmiernie nowy towarzysz.

Na to wszystko Ireneusz ani ust otworzył. Milczenie to rozgniéwało i zniecierpliwiło młodych trzpiotów, pobiegli więc szukać innéj rozrywki, żeby nie stracić drogiego czasu odpoczynku popołudniowego.

Wieczorem, znużony podróżą, posiedzeniem z którego nic nie zrozumiał, i łzami, zasnął tak mocno na jednéj ławce w sali jadalnéj, że nie czuł setnych szczutków któremi obsypywali go swawolni koledzy, jakby był lalką służącą do wprawiania młodych szczeniąt na wilka.

Nie zadowoleni tą nieczułością spiącego młodzieńca, ściągnęli go na podłogę, chcąc grać w *umarłego*, kiedy jeden z trzpiotów, aby bardzo ubawić resztę, przyłożył blisko do oczu biedaka zapalony papierek.

Sparzony Ireneusz, zerwał się z oczami jeszcze nie zupełnie otwartemi, i jak młody lew który piérwszy raz występuje do walki, porwał dwóch najbliżéj stojących, rzucił o ziemię, i tak dobrze zaczął pięściami okładać, że zamiast śmiechu da-

ły się słyszeć żałośne krzyki: „Aj! udusisz mię!... rękę mi złamiesz! Karolu, pomóż mi!... proszę pana nauczyciela!!! Nauczyciel wszedł w téj chwili, świadkowie téj szczególnéj walki rozbiegli się w różne strony wołając: „to nie ja!“ a zwycięzca uśpiony ciągle, machał jeszcze rękami dla odsunienia *zmory*, która jak mniemał, dręczyła go; ale ponieważ dwaj napastnicy których powalił nie zdołali się jeszcze z rąk jego wydobyć, ciągle więc jego ręce spadały na nich mimo jego woli, i mógłby ich zupełnie niewinnie udusić, jak niegdyś Herkules w kolebce udusił dwa węże na zgubę jego zesłane.

Nikt już od tego dnia, nie zaczepił Ireneusza, choć on nie przebudził się w chwili swojego zwycięztwa, i niepamiętał nic o tém zdarzeniu, obudziwszy się nazajutrz, i znalazłszy się w nieznaném łóżku, w którém położono go, uwolniwszy z trudnością z silnych jego ramion dwóch nieostrożnych trzpiotów, którzy zanadto blisko przystąpili do śpiącego.

Czuł tylko znużenie, którego przyczyny nie umiał odgadnąć, dwaj inni, którzy najmocniéj to zdarzenie pamiętali, mieli oprócz znużenia, kilkanaście sińców i guzów, nie żądali jednak zadość uczynienia za to, bojaźliwie spoglądając na spokojnego młodego bohatera.

Jeszcze nie słyszano jego głosu, kiedy nakoniec dnia jednego nauczyciel wezwał go do wydania

lekcji. Na imie Ireneusza Baumal, dwadzieścia głów podniosło się od razu, mniemać by można że iskra elektryczna zwróciła czterdzieści ciekawych oczu na tego którego wymieniono.

— Wstań Ireneuszu! zawołał nauczyciel.

— Nie wstanie niezawodnie!.. odezwali się prawie jednocześnie wszyscy uczniowie.

— Ciszéj! zawołał nauczyciel, głosem, na który znowu wszystkie oczy utopiły się w książkach.

Wtedy zapytano Ireneusza oto czego jeszcze nie umiał, usta jego otworzyły się pięć razy a żaden głos nie wyszedł z nich oprócz powietrza napełniającego ściśnioną piers jego.

— Jeśli nie umiesz, to lepiéj powiedz, bo nie ma czasu do stracenia, mówił daléj nauczyciel; nauczyłeś się twego zadania?

— Za... za... zadania.

— No tak! umiesz albo nie?

— Ja.... i zatrzymał się z otwartémi ustami.

Szmer tłumionego śmiéchu rozszedł się po sali, Ireneusz jąkał się mocno, to nowe odkrycie przejęło nieopisaną radością wszystkich, którzy liczyli na przyjemność wyśmiewania go, i zemszczenia się tym sposobem za poniżające ich zwycięstwo, które przez sen odniósł. Ci dwaj nawet, którzy nosili jeszcze znaki jego siły nie kryli już sińców i guzów, bo najlepszym balsamem na uleczenie ich, była rozkosz poniżenia tego, którego były dziełem.

Trudno opisać, ile znieść musiało to cierpliwie stworzenie, służąc codziennie za cel żarcików u szczypliwych swawolnego tłumu. Milczał zupełnie, bo lękał się obudzić śmiechu odezwawszy się. Najkrótszy wyraz z trudnością mu przychodziło wymówić, bo zalęknienie, podwajało wadę wrodzoną, usta jego drżały, twarz ściągała się konwulsyjnie, a współucznie jego nie posiadali się z radości.

Jedną z największych przyjemności, jakich kosztem Ireneusza używali młodzi jego towarzysze, było przebudzanie go nagle z twardego snu, w którym często bywał pogrążony, wtedy zwykle wszyscy zgromadziwszy się w bliskości jego łóżka, wydawali razem przerażający ucięty okrzyk, a kiedy przebudzony Ireneusz zrywał się z łóżka, każdy z psotników topił wzrok w książkę jakby nieprzerwanie zajęty był pracą.

Ireneusz smutny ubiérał się, biédny! jakże różne było jego teraźniéjsze ocknienie, od owych łagodnych przebudzeń, których doświadczał w domu matki, kiedy jéj lekka ręka odsuwała dłoń snu z czoła jego, a łagodny głos szeptał mu w ucho: „Irenku, wstań no, już dzień! Oh! szanujcie sen dziecięcia, dusza śpiącego anioła w tych chwilach rozmawia z Stwórcą.

II.

Mały Pływak.

W ten sposób doszło do Lipca 1830 roku. Ireneusz umiał czytać, i rozmawiał ciągle z swemi książkami, które nie naśmiéwały się z niego; umiał pisać, i tym sposobem mówił nie jąkając się. Po tysiąc razy na każdéj niepotrzebnéj kartce pisał: „Dzień dobry matko.

„Kocham matkę i ojca.

„Jak urosnę, i będę już mógł wspomagać matkę, nie będę jéj budził, choćby do ósméj spała.

„O jakbym rad żeby dzień dopiéro był o ósméj.“

Pisał już bardzo ładnie, szczególniéj wyraz *matka*, starannie zawsze i pięknie był u niego pisany, zwykle przyozdabiał go jeszcze rysując do koła rodzaj wieńca.

Nikt w szkole nie mógł go nienawidziéć, bo on nikomu nie robił przykrości; owszem lubiono go jak cacko, z którém dzieci zwykły się bawić kiedy się im inne połamią.

Dnia jednego, po południu, w czasie wolnym od nauki, cała pensja poszła się kąpać. Każdy chciwy był wody, téj wody chłodnéj, miłéj, któréj szmer orzeźwia ucho, a jéj białe perły chłodzą rozognioną wyobraźnią patrzącego na nie.

Przybywszy roku poprzedniego do szkoły, w porze jesiennéj, kiedy się już nie kąpano, Ireneusz nie umiał pływać.

— Zostań tu pilnować sukni naszych, rzecze mu jeden z młodych towarzyszy, i patrz się jak my pływamy, to się ośmielisz nieco. Późniéj, pan nauczyciel będzie cię uczył co trzeba robić żeby nie utonąć.

Ireneusz odpowiedział skinieniem głowy, bo bał się powiedzieć: do... doo... dobrze!

Mości panowie, zatrzymajcie się póki ja nie wrócę, rzekł nauczyciel niedochodząc do rzeki; zapomniałem tabakierki, ale wrócę natychmiast, i proszę żeby nikt nie szedł w wodę przed moim powrotem.

— Nie pójdziemy! zawołało kilkanascie głosów i nauczyciel poszedł.

Karól nie należał do liczby wołających; był to trzynastoletni chłopczyk, rosły, zwinny, wesoły; zawsze pierwszy do wynalezienia rozrywki, i pierwszy do użycia jéj.

Zaledwie nauczyciel zaszedł za pobliski wzgórek, i tym sposobem nie mógł już widziéć zgromadzonych nad brzegiem dzieci, już Karol zrzuciwszy suknie, skoczył w wodę!... Sądzcie o przestrachu innych, którzy z otwartémi ustami. patrzyli na śmiałego pływaka, który chcąc zręczność swoją w zupełnéj świetności okazać, zanurzył się nierozważnie, nabrał wody wewnątrz, zaląkł się i znikł przed

oczami przerażonych towarzyszy, krzyczących z całéj siły, ale nie zdolnych ruszyć sie z miejsca jakby nogi ich przyrosły do ziemi.

Ireneusz pobiegł kilka kroków, i rozdzierającym głosem boleści, krzyknął kilka razy na nauczyciela którego głowę jeszcze było cokolwiek widać za wzgórkiem:

— Na pomoc! na pomoc!

I rzucając suknie swoje na otaczających go uczni, wskoczył zupełnie w to miejsce gdzie zanurzył się Karol.

Nie umie pływać, wołały dzieci, załamując ręce, dwaj najmłodsi upadli na kolana i zaczęli rzewnie płakać. Nauczyciel biegł z całej siły, ale jakże to był powolny bieg, w porównaniu z śmiercią, która tak szybko postępuje! Karól pozbawiony zmysłów przez zbytek wody która mu dostała się wewnątrz, i trwogę, niemógł w niczem ulżyć trudu Ireneuszowi, który nie znurzoną ręką trzymał go za włosy, a drugą i nogami pływał, z tym szczytnym instynktem psa którego pierwszy raz rzucono w wodę. Ogniste jego oczy, jego poruszenie szybkie i zręczne, nie zachwiana myśl ocalenia swego ciężaru, i może jaki anioł unoszący się nad szlachetną nieroztropnością dziecięcia, długo utrzymywały go na wodzie. Nagle zanurza się..., milczenie tylko przerażenia odpowiada nauczycielowi, który bez tchu prawie nadbiegł w téj okropnéj chwili.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIECIĘ.

(Dokończenie.)

— Gdzież oni są? zapytał żwierzchnik pomięszany, rozbiérając się szybko.

— Tam! wskazują dzieci, ale oni tam nie byli. Ireneusz jakby pchnięty do brzegu czarodziejską siłą, w téj chwili ukazał głowę nad wodą, idąc już po gruncie i ciągnąc za sobą zemdlonego Karola. Ręka jego tak silnie trzymała go za włosy, że wszystkie paznokcie zagłębiły się w dłoni.

Okrzyki które go przyjęły na brzegu, przestraszyły go z razu, i zaczął znowu wołać: Na pomoc! na pomoc!" mniemając że Karol jeszcze znajdował się w niebezpieczeństwie; ale Karolowi nic już nie groziło, opojony wodą i słaby jeszcze, rozciągniony na płonącym od słońca piasku, w półotwartemi oczyma, patrzał na Ireneusza rozebranego równie jak on, a pomięszane przypomnienia, wskazywały mu to dziecko jako jego wybawiciela. Wdzięczność wracała go do życia. Oczy ich nie mogły się wzajemnie od siebie oderwać.

— Jak mogłeś rzucać się w wodę nie umiejąc pływać? wołali do okoła towarzysze, obsypując go tkliwemi pieszczotami i zapytaniami.

— Nie wiem, odpowiedział Ireneusz; niepamiętam nawet jakim sposobem znalazłem się w wodzie.

Pamiętam tylko że dostawszy dna, ujrzałem jego głowę, schwytałem go za włosy i pomyślałem sobie: teraz trzeba wyjść na powrót. Droga sama się przedemną otwierała, nie czułem trudu, tylko raz zdawało mi się że się podemną zapada i wpadłem w głąb, ale zaledwie nogi moje dotknęły gwałtownie ziemi, uczułem że mię jakaś siła wyrzuca w górę, i za chwilę byłem na brzegu, dodał z uśmiechem pomięszanym z łzami radości. Już się nie jąkał!

— Kochane dziecię, piérwszy raz cię słyszę tak żywo mówiącego, zawołał nauczyciel ściskając go i całując.

— Istotnie, zdaje mi się że mówiłem płynnie odpowiedział Ireneusz, sam sobie się dziwiąc. Czy rozumieliście wszystko? dodał, chcąc się przekonać o tem czemu jeszcze niewierzył.

— Rozumieliśmy, mówiłeś bardzo wyraźnie, odrzekł nauczyciel; jesteś dobry chłopczyk niech ci Bóg nagrodzi twoje poświęcenie!

— Ah! czy nie jestem już najszczęśliwszym, nie jąkam się, nie będą mię już wyśmiéwać!....

— Nie, nie! wołały wszystkie dzieci unosząc go prawie na rękach.

— Oh! mój Boże! jak moja matka dowie się że już się nie jąkam!

POŁOWANIE NA WILKA.

(r. 1403.)

I.

W obecnym czasie, ulice Paryża, oprócz niektórych wyjątków, są równie bespieczne w nocy jak we dnie; ktokolwiek idący nawet w godzinach, w których całe miasto zdaje się być pogrążoném w najgłębszym śnie, postrzega że największa ciemność w tém mieście nie jest straszną, i że samotność jego jest jeszcze ludną, Ale zupełnie inaczéj działo się przed czterystu laty. Prócz słabego patrolu przebiegającego środek miasta, cały zresztą Paryż sam się pilnował, czyli co na jedno wychodzi, wcale nie był strzeżony.

Następująca powieść, da nam wyobrażenie o tém co mogło spokojnego przechodnia spotkać tam, gdzie teraz o każdym czasie bespiecznie każdy przechodzi, niedoznawszy innego przestrachu prócz wrażenia jakie ciemność sprawia lękliwemu, i nie spotkawszy nikogo prócz pieszych i konnych patrolów we wszystkich kierunkach przebiegających miasto.

Oberża pod *Białym krzyżem*, niedaleko pałacu Saint-Pol, była jedną z najporządniéjszych na przedmieściu świętego Antoniego, do którego tworzyła jakby wejście. Czyli wzięcie jakie miała w całym okręgu, winna była dobremu winu i wódce jakie w niéj przedawano, czy też wpływowi ładnéj twarzyczki, pani Asceliny oberżystki, to trudno by ostatecznie osądzić.

Z tém wszystkiém, dnia jednego w lutym 1403 roku, szczęśliwa oberża napełniona była liczniéjszym jak zazwyczaj tłumem. Nie wszyscy w prawdzie goście przesyłali pieniądze ze swoich kieszeni w worek oberżystki; większa część mówiła tylko o rożnych rzeczach, nie kazawszy nawet dać sobie szklanki lekkiego piwa. Gromada kumoszek otaczała panią Ascelinę rozmawiając o nowych nieszczęściach zaszłych téj nocy.

Zima tego roku była bardzo ostra; głód i mróz wypędził z puszczy pobliskich a szczegolniéj z lasu Vincennes, wielką ilość wilków, które w nocy gromadami snuły się po przedmieściach Paryża. Ale jeden z nich, stał się sam straszniéjszym niż całe gromady innych, przez srogość któréj co rano okropne znajdowano dowody. Biada temu kogo zatrudnienia albo rozrywki zatrzymały późno w noc i kto wracając do domu spotka się z okropnym potworem, ledwie będzie miał czas polecić duszę swoją Bogu.

Tegoż dnia w którym rozpoczyna się rzecz naszego opowiadania, znaleziono z rana dwa trupy okropnie poszarpane, i ten to smutny wypadek przyczyną był zgiełku jaki teraz panował w oberży pod białym krzyżem. Każdy opowiadał co słyszał o dziełach sławnego wilka, i o okropnym stanie w jakim znaleziono zwłoki dwóch nieszczęśliwych, prawdo podobnie zjedzonych przez niego, kiedy nagle wszystkie kobiéty zwróciły się ku drzwiom, aby szyderskim okrzykiem powitać człowieka z długą halabardą, który odłączywszy się od kilkunastu także zbrojnych ludzi w téj chwili wchodził do gospody.

— Oto nasz waleczny rycerz! który pozwala nieprzyjacielowi bezkarnie przebiegać pole bitwy a sam w innéj stronie pilnuje!

— Cóż nowego stało się, zapytał się człowiek uzbrojony halabardą wracający z obławy na wilki w bagnach przed miastem.

— Co nowego! oto Courtaud pożarł znowu dwóch ludzi téj nocy, pomimo waszéj czujności.

— Dajcie no mi napić się cokolwiek, rzekł zimno oberżysta, stawiając broń w kącie izby, bo to on sam właśnie wracał z patrolu.

— O tak. dać mu pić! ale po co wynosicie broń przy boku, kiedy jeden wilk bezkarnie co dzień wyludnia miasto.

— Ba! kiedy to jest zaczarowany potwór, odezwał się Alan białoskórnik.

— Jego żelazo nie imie się, dodał inny.

Każdy chciał opowiedzieć coś nowego o nadzwyczajnéj sile i srogości potworu, z tąd powstała wrzawa rozmaitych głosów, która od jednego do drugiego końca miasta szybko przebiegła.

Imie Courtaud, było jedynym wyrazem który można było rozeznać w pośród wszystkich tych plotek. Nagle oberżystka, ładna i kształtnéj postaci kobiéta, a do tego jedna z najżarliwszych rozprawiaczek, odwróciła się aby odpowiedziéć człowiekowi stojącemu za nią, i który piérwszy raz wmięszał się do ogólnéj rozmowy.

Był to człowiek młody, rosły, dość wykwintnie ubrany. Chociaż nie miał innéj broni oprócz sztyletu z rękojeścią z jeleniego rogu, który wisiał na prawym jego biodrze, wszystko w nim znamionowało wojaka, szczególnie ogromne ostrogi i wysoka stożkowa czapka z koguciem piórem, zuchowato na bok nachylona.

— O czém że to tak żarliwie rozprawiacie piękna gosposiu? pytał on.

— Courtaud! Courtaud! Courtaud! tyle tylko można było rozeznać w pośród gwaru odpowiedzi które obudziło to proste zapytanie.

Wojak spoirzał na szczebiotliwe kobiety, i znowu obracając mowę do ładnéj gospodyni zapytał:

— Któżto jest ten Courtaud?

— Ach! panie rycerzu! odezwało się znowu kilkanaście kobiét, dziś w nocy znowu zamordo-

wał dwóch nieszczęśliwych ludzi; on jest tak okrutny!

— Ale niechże się dowiem kto on jest, Anglik czy Burgundczyk, karzeł czy olbrzym spodziéwam się że damy mu radę.

— Nie, nie! odpowiedziała pani Ascelina, ani Anglik, ani Burgundczyk, ani nawet szlachetny Gaskończyk jakim wy się wydajecie zacny rycerzu!

— Jamet de Lignac, koniuszy i jeden z pięćdziesięciu łuczników Najjaśniéjszego Króla Sycylji odpowiedział człowiek z sztyletem.

Potém znów powtórzył zapytanie:

— A Courtaud?

— Jest to wilk! panie łuczniku, odpowiedziano ze wszech ston.

— Wilk bez ogona, zaczarowany, wilkołek! gorszy niż potwór w Apokalipsie, prawdziwy lewjatan zesłany na ukaranie nas za nasze grzechy.

— A to dla tego, odezwał się chrapliwym głosem trędowaty stary mieszczanin, którego szerokie ręce opierały się na ogromnym sękatym kiju; dla tego że z walecznych Burgundczyków, staliście się rabusiami, których pan Bóg potępia!

— Oto masz! za ubliżenie zacnym rycerzom; zawołał łucznik, uderzając jesionowym prętem który w ręku trzymał, w czerwoną twarz starego mieszczanina. Inny mieszczanin, rzeźnik jak się zdawało, barczysty i rosły, zerwał się, i poskoczył ku

łucznikowi; ale zatrzymano go, a w téj chwili dał się słyszéć tentent kilkunastu koni, było to ze dwudziestu łuczników, którzy kłusem ruszyli z pałacu Saint-Pol.

Widok ich kasków błyszczących od słońca, uspokoił znacznie ogromnego rzeźnika, który cofnął się mrucząc coś pod nosem.

To zdarzenie, podniosło bardzo sławę dumnego łucznika w mniemaniu żeńskiéj części towarzystwa.

Zabrał więc znowu głos, zapomniawszy zupełnie o trędowatéj twarzy którą tak niegrzecznie jesionowym prętem poczęstował, i rzekł obracając się do kilku męszczyzn:

— I między wami nie ma nikogo ktoby odważył się walczyć z tym wilkiem? co? odpowiedz stary puhaczu, w zardzewiałéj zbroi.

Oberżysta Jan Oudard, do którego odnosiło się to niegrzeczne zapytanie, odpowiedział tylko:

— To jest zaczarowany potwór!

— Zaczarowany! odezwali się chórem wszyscy przytomni:

— Tam do kata!... wykrzyknął łucznik, i wy wszyscy nie możecie go pokonać? otóż ja sam zabiję go, za jedno spojrzenie twoich pięknych niebieskich oczu, śliczna gosposiu.

(Dokończenie nastąpi.)

POLOWANIE NA WILKA.

(Dokończenie.)

I grzecznie ujął rękę oberżystki która uśmiechnęła się i zarumieniła na tę rycerską zalotność.

— Wszyscy Gaskończycy za samochwalcami, odezwał się Jan Oudard.

— Co! ja który przebiłem Hektora de Saveuse, pomimo medjolańskiéj zbroi którą miał na sobie, nie miałbym zabić nędznego wilka? Przyrzekam walczyć tak jak tu stoję, nie wezmę innéj tarczy prócz mego płaszcza, innéj broni prócz tego sztyletu, i nie żądam innéj nagrody prócz pocałowania ręki twojéj, piękna gosposiu.

-- Choćby obu razem, szlachetny koniuszy! odpowiedziała pani Ascelina.

Powstał szmer podziwienia i niedowiarstwa. Jamet przybrał junacką postawę i spojrzał dumnie w około, bawiąc się z frendzlą u swego kaftana.

— Słuchajcie, panie łuczniku, odezwał się oberżysta marszcząc brwi, zróbmy inny zakład; jeśli wykonacie waszą obietnicę, wystawię wam sutą ucztę jakiéj jeszcze w życiu waszem nie widzieliście, niezapominając najlepszego wina Bordeaux, i dwie sztuki złota w dodatku. Courtaud wart jest tego za tyle nocy, które z jego łaski

bezsennie przebyłem. A wy cóż stawicie w przypadku przegranéj?

— Na świętego Jerzego! czyliż niedość byłoby hańby, gdybym nie spełnił przyrzeczenia? ale nie chcę odmawiać, idzie o mego Normandzkiego rumaka, który wart przynajmniéj dwadzieścia sztuk złota.

— Idzie! zawołał oberżysta, ja i ojciec Alain będziemy świadkami walki.

— Tymczasem szklankę wina a conto, i do zobaczenia dziś w wieczór, rzekł łucznik, wypił wino i wyszedł z gospody zostawiając tłum zadziwiony iego odwagą.

II.

Nadszedł wieczór, księżyc pogodnie świecił, Jamet na dzielnym rumaku stanął przed oberżą pod *białym krzyżem*.

Już Jan Oudard stał przed drzwiami, a jego nadobna połowica na odgłos kopyt końskich, wychyliła głowę z małego okienka. Była blada, może płakała nad nierozważnym młodzieńcem, który podług jéj mniemania spieszył na śmierć niechybną.

— Czy chcecie konno walczyć panie łuczniku? zapytał oberżysta, to byłoby przeciw naszéj umowie.

— Oj ty stary! kiedyż to widziałeś żeby konno walczono z sztyletem w ręku? Skoczył zręcznie na ziemię, skłoniwszy się z wdziękiem pięknéj gospodyni.

— Daléj majstrze Alain! czekamy na was, zawołał pan Oudard, pukając do drzwi białoskórnika, który miał wraz z nim być świadkiem walki Gaskończyka.

Majster Alain wyszedł; biedak wzdychał pod ciężarem ogromnego pancerza, ale nie przestając na téj doczesnéj broni, opatrzył się jeszcze poświęcanym różańcem, który miał od czarów bronić. Zwolna postępowali naprzód, białoskórnik Alain z trwogą, a Jan Oudard odważnie, uzbroiwszy się długą szpadą, sękatym kijem i porządną flaszką jałowcówki, a Jamet śmiało, gwiżdżąc, śmiejąc się i odwracając często głowę, aby spojrzeć jeszcze na piękną oberżystkę, która żegnała go, pełna niespokojności o los pięknego młodzieńca.

Przechodząc bramę świętego Antoniego, usłyszeli za sobą potok przekleństw z ust tego mieszczanina, którego twarz tak niegrzecznie prętem, z rana pogłaskał Jamet. Trwożny białoskórnik wziął to za złą wróżbę, i smutnie spojrzawszy na towarzyszy, postąpił daléj ku bagnom które wtedy

otaczały Paryż na parę staj w około. Uszedłszy kiłka set kroków, zatrzymali się w pośród ciasnéj drogi, zamkniętéj z jednéj strony glinianym parkanem, a z drugiéj bagnem, od którego oddzielały ją suche bez liści krzaki bzu.

— Tędy iść będzie, odezwał się Jan Oudard; Renauld Lendormi dozorca psiarni księcia Bedford, poznał tu ślady jego, po wczorajszéj biesiadzie; bez wątpienia powróci dziś w to samo miéjsce.

— Brawo! zawołał łucznik.

Dwaj świadkowie stanęli w bezpieczném miéjscu za parkanem, który zasłaniał ich do wysokości piersi.

Jamet de Lignac przechadzał się w poprzek drogi. Zwolna światła w mieście gasły jedne po drugich, Paryż spoczywał, milczenie panowało do koła, przerywane tylko odgłosem kroków kilku nocnych włóczęgów, których okute kije szczękały po bruku.

Kilka godzin w ten sposób upłynęło, powietrze oziębiło się, księżyc niekiedy zajaśniał; białoskórnik drżał z zimna i przestrachu; Oudard często czerpał odwagę z swojéj flaszy; Jamet przechadzał się wzdłuż i wszerz, nucąc jakąś piosnkę o dziewicy orleańskiéj.

Około jedenastéj księżyc ukryty był za chmurami; z daleka widać było dwa czerwone światełka, które zbliżały się bez żadnego szelestu: Bacz-

ność, rzekł z cicha oberżysta, a Jamet wydobył sztylet i przesunął płaszcz na lewe ramię.

Księżyc wydobył się w téj chwili z po za chmur, i ujrzano o dziesięć kroków wilka, który ponuro postępował wzdłuż muru, ale zarazem ujrzano za nim cień ogromnego ogona. Nie był to zatem Courtaud, ale któryś z jego rodziny. Łucznik zabiérał się uderzyć nań.

— Dajcie mu pokój panie koniuszy, będziecie mieć dość do czynienia z tym, na którego czekamy.

Wilk zatrzymał się, spojrzał na trzech awanturników, szerokiemi nozdrzami obficie pociągnął powietrza i pobiegł daléj, uważając że przeciwnicy są w przewyższającéj liczbie.

Widzieli jeszcze siedmiu innych, ale pozwolili im przéjść wolno, bo Jan Oudard radził łucznikowi oszczędzać siły na strasznego Courtaud którego mieli poznać po niedostatku ogona. Zęby majstra Alain szczękały ze strachu, a Jamet przechadzał się klnąc z nudów i niecierpliwości.

Nakoniec ujrzano dziewiątego wilka — dumnie postępował środkiem drogi, przy pełnym blasku księżyca, był niski, krępy, kudłaty i bez ogona, a zatém ten którego czekano.

Łucznik, łyknął dużą miarkę z butelki Jana Oudard, i oczekiwał śmiało na nieprzyjaciela.

Courtaud zatrzymał się o sześć kroków i usiadł, topiąc wściekły wzrok w przeciwniku. W téj postawie zostawał przez minutę.

Potem wilk zawył przeraźliwie, podniósł się i skoczył do szyi łucznika, który zasłonił się płaszczem w miéjscu tarczy; upadł na ziemię i znowu skoczył; przez pięć minut powtarzał te napady na nieustraszonego łucznika, za każdym skokiem usiłując zchwytać kłami za rękę lub szyię. W ostatnim skoku, zęby wilka zagłębiły się w ramieniu przeciwnika, i w ten sposób pozostał zawieszony. Jamet zachwiał się, oparł się o mur, i utopił sztylet w boku wilka.

Courtaud zawył z bólu, puścił łucznika, z wściekłością skoczył nań znowu, i odebrał drugie pchnięcie w piersi.

Wtedy zaniechał zaczepki, i przysiadł w wklęsłym kącie parkanu.

Dwaj przeciwnicy postali przez chwilę patrząc na siebie; krew broczyła ramie Gaskończyka, a widok wilka był przerażający. Bura sierć jego najeżyła się, piana okryła paszczę jego, a slépie błyszczały szatańskim ogniem.

Jamet de Lignac był odważny, a jednak wolałby znajdować się w téj chwili na przeciw trzech dragonów Angielskich, od stóp do głów uzbrojonych.

Tém czasem trzeba było kończyć, albo uchodzić za tchurza; bezwątpienia w téj chwili chętnie byłby ustąpił uczty, wina, dwóch sztuk złota,

pocałowania pięknéj oberżystki, a nawet sławy tego czynu, za dobrą szpadę którą przebił Hektora de Saveuse. Mimo to jednak uderzył na wilka, ale w chwili gdy się nachylił, rozjadły potwór rzucił mu się na szyję i powalił o ziemię, sztylet wypadł z rąk gaskończyka.

Wtedy dwaj świadkowie porwali za broń, aby mu przyjść w pomoc.

— Dajcie pokój! wołał łucznik szarpiąc się z wilkiem.

Jan Oudard i jego towarzysz pewni byli zguby Gaskończyka, i dla tego chcieli mimo jego woli wmięszać się do walki, kiedy wtém dzielny młodzieniec, przez niesłychane wysilenia wydarł się wilkowi, i gdy ten znowu się na niego rzucił, Jamet silném pchnięciem nogi, odepchnął go na kilka kroków od siebie; za nowym napadem wilka, Jamet miał znowu swój sztylet i walka rozpoczęła się, ale z równiéjszemi już siłami. Nakoniec dzielny młodzieniec rzucił wilka o ziemię i przygniotłszy go kolanem, szeroko przeciął mu gardziel ostrzèm swego sztyletu. Wilk z wściekłości gryzł ziemię, oczy jego zdawały się chcieć wyjść z swojéj oprawy, ogromne członki jego zesztywniały, już nieżył. W téj saméj chwili zemdlony łucznik upadł.

Nazajutrz był dzień tryumfu; miasto całe było w poruszeniu, jakby wielką bitwę wygrano, a

wszystkie kobiety z radością, wesoło rozmawiały o nieboszczyku Courtaud. Łucznik Jamet de Lignac, ranny, przejeżdżał ulice miasta konno, poprzedzony od dwóch świadków, niosących zabitego wilka z rozdziawioną paszczą, zgasłemi ślepiami, i ciałem przeszytém czterema razami sztyletu. Rada miejska ofiarowała zwycięzcy piękną czarę srebrną napełnioną pieniędzmi.

A gdy wieczorem, znużony i upojony tryumfem Jamet de Lignac wrócił do gospody pod białym krzyżem, znalazł wspaniałą ucztę zastawioną na długim stole, i ładną gosposię, która mu uprzéjmie podała swą rękę, na któréj pocałowanie w tak zaszczytny sposób zasłużył.

Mimo pięknego czynu waleczności Gaskończyka, mieszkańcy okręgu Sgo Antoniego nie spoczywali spokojnie. Courtaud zostawił po sobie licznych mścicieli, a przykład łucznika Jamet de Lignac, nie znalazł naśladowców.

PODRÓŻ
PO WARSZAWIE.

Siedziałem sam z mojemi myślami, jak się wyrażają tegocześni pisarze, papier leżał przedemną na stoliku, kilka kropel atramentu strząśniętych na brzeg kałamarza, świadczyło że nie raz już maczałem w nim pióro, które właśnie trzymałem w ręku aby coś pisać, a jednak na papierze nie było ani jednéj litery, bo ile razy umaczałem pióro i chciałem je na papierze wysuszyć, zawsze wpadałem w zamyślenie nad tém co będę pisał, i pióro schło sobie z tęsknoty oczekiwania.

„Gdy się tak sam z sobą biedzę:“

Wchodzi mój przyjaciel, towarzysz prac literackich, mentor w drodze życia, pocieszyciel w nieszczęściach, których nawiasem mówiąc, zwykłém źródłem były miłostki; nakoniec jedyny prawie wspólnik moich zabaw i zmartwień.

Wszedł, spojrzał na papier pusty, schnące pióro i kropki na brzegu kałamarza, i natychmiast z trafnością wieszczą wielkiego filozofa, wielkiego badacza i znawcy serc i głów ludzkich, zawołał:

— Myślisz nad jakimś *pierwotem!* ale zapewne nic jeszcze nie wymyśliłeś, bo nie znać śladu zębów na piórze. Myślisz dopiéro nad ogólną treścią i nazwą mającego się pisać przedmiotu, dlatego oszczędzasz chorągiewki zdobiącéj twoją lekką, czarodziéjską, twórczą laseczkę, aby z niéj późniéj podrzędne, pomocnicze myśli i wypadki, za pomocą zębów wycisnąć.

— Zgadłeś Stasiu, odpowiedziałem, kładąc już trzydziesty raz przynajmniéj uschłe pióro. Chciałem cóś pisać, ale od godziny myślę i dotąd nawet nie wymyśliłem, czy powieść, czy szaradę napisać.

— Daj pokój szaradom, rzekł Stasio uśmiechając się, to za trudne dla ciebie, zostaw je dowcipniéjszym głowom. Ale przyznaj, dodał siadając, że stałeś się bardzo ociężałym do pióra. Od roku i więcéj, ani jednéj litery twojego utworu nie czytałem. Kochasz się, a niechcesz wzdychać miarowo i rymowo, to przynajmniéj kiedy okoliczności niepozwalają ci być przy twojéj miłéj, poświęć te chwile pożytkowi albo rozrywce innych mniéj szczęśliwych, którzy nie mając jak ty ciemnych oczu, w którychby mogli zawsze czytać; *najsłodsze zapewnienia nieprzerwanych roskoszy na teraz i na potem*, radziby przynajmniéj cudzem szczęściem się cieszyć, czytając obrazy podobnych twoim przyjemności.

— Jednym tchem, sypnąłeś grad napomnień, połajań, przycinków i t. d., pierwsze przyjmuję z wdzięcznością, na drugie w części zasłużyłem, ale ostatnie dotykają tylko przeszłości mojéj; bo w obecnéj chwili nie mam już owych ciemnych oczu, w których niegdyś czytałem to wszystko coś *cursivo* wymówił.

— *Tout passe!* wykrzyknął Stasio. Ale, ale! jeśli miejsce w twojém sercu zupełnie *vacat*, mogę ci przedstawić kandydatkę. Przypomnij mi tylko jak będziesz w usposobieniu słuchania opisu wdzięków samiczego rodu, o dużych niebieskich oczach.

Tymczasem mówił daléj nakładając fajkę, wyłóż mi powody dla których zastałem cię z piórem w ręku.

— Uczułem ważność zarzutów twoich o ociężałość do pióra, pierwéj niżeliś je wynurzył, postanowiłem się poprawić i uzbrojony siluą wolą, usiadłem dziś żeby koniecznie co napisać, ale tak mocne napotykam na téj drodze przeszkody i trudności, że gdybyś był kilka chwil późniéj przyszedł, już byś mię był nie znalazł z piórem w ręku.

— *Aidons nous mutuellement!* jak powiedział autor bajki o ślepym i kulawym, a osłabną przeszkody, i trudności dadzą się przezwyciężyć. Cóż istotnie miałeś zamiar pisać?

— Wiesz że w szkołach jeszcze, uchodziłem za zręcznego w opisywaniu śmieszności dostrzeganych w młodych współtowarzyszach; to mi podało myśl że możebym teraz potrafił napisać nie złą jaką obyczajową powiastką. Treść by się znalazła, brak mi tylko miejsca i osób działających.

— Nic łatwiéjszego! ale uważ że teraz powieści obyczajowe jeśli tylko nie są *à la parisienne*, nie wiele podobają się najliczniéjszéj części czytelników, a szkoda byłoby jechać aż do Francji dla zebrania szczegółów miéjscowości do powiastki, któréj życie trwałoby tylko od chwili napisania do wyjścia z druku. A jednak trudnoć opisać miejsce w którém naznaczysz działanie twojéj powieści, nie będąc tam i spuszczając się jedynie na wiarogodnych podróżników. Gdybyś nawet chciał w Sochaczewie umieścić twoich bohaterów, nie obeszło by się bez przejścia się z koszturem w ręku w tamte strony, choćby dla tego tylko, żeby tam nie wystawić porządnéj marmurowéj oberży, gdzie się zaledwie w pół spróchniała drewniana karczemka, bez szyb w oknach gościnnéj izby i bez dachu nad stajenką, znajduje. Przyznaj że nie warto tego trudu podejmować dla kilku kartek. Mam plan do pożyteczniéjszéj podróży, i w tym celu przyszedłem dziś do ciebie. Jak myślisz, czy w saméj Warszawie, nie znalazłby sam Lesage obrazów godnych siebie, gdyby ich tylko chciał szukać? Przyznam ci się, że mię nudzi cokolwiek,

całodzienne prawie przebieganie różnych ulic bez żadnego celu. Gdybyśmy też przedsięwzięli podróż po Warszawie, dla zbierania rysów do obrazów obyczajowych, z postanowieniem korzystania z wszystkiego co nam pod oczy wpadnie, możeby się z tego zebrała powoli nie zła *Wystawa.*

— Myśl wyborna! *Il faut battre le fer....* wiesz jak daléj. Spieszmy się z wykonaniem jéj nim ostygnie. Jutro Niedziela, przyjdź do mnie o szóstéj z rana, rozpoczniemy zaraz nasze wycieczki. Zapasów wszakże nie trzeba na drogę przygotować, *stylus et tabulae* jak mówi Pliniusz.

— Przyjdę o saméj szótéj! zawołał Stasio jak Max w Frajszycu a wytrząsnąwszy popiół z fajki, pożegnał sią ze mną, i zostawił myślącego nad jutrzéjszą podróżą.

Wycieczka pierwsza.

Już ubrany, czekałem nazajutrz na przybycie mego towarzysza podróży. Zaledwie siódma wybiła, otworzyły się drzwi, i wszedł oczekiwany, witając mię wesołym wykrzyknikiem.

— Jestżeś gotów do drogi!

— Zupełnie; idźmy!

— Zaczekajno cokolwiek. Mając opisywać podróże, wartoż przecie poświęcić kilka słów portowi z którego wypływamy; szkic twojego mieszka-

nia nie będzie może bardzo zajmujący, ale przynajmniéj rzetelny.

— Siadaj i pisz. Na wysokości wieży świętego krzyża, rozległości dziesięć kroków wzdłuż, a sześć w szersz, graniczy od wschodu z podwórzem, z góry z dachem, z dołu z mieszkaniem staréj dewotki; jedyny kraj, z którym w przyjacielskich stosunkach zostaję, jest kuchnia sąsiadów, skąd niekiedy czarnobrewa kuchareczka przychodzi prosić mię o ogień. Ludność, składa się z jednego mnie jak wiesz; mamże obyczaje *mieszkańców* opisać?

— Daj temu pokój, niepotrafiłbyś ich rzetelnie skreślić. Ale powiedz mi, co znaczy na zakopconéj cokolwiek ścianie, ta plama trochę jaśniéjsza od reszty.

— „*Precz! to już znikło na zawsze.*“ Tu zawieszona była miniatura téj, co mię najokropniéj zdradziła. Przez całe trzy miesiące patrzałem w te piękne rysy, wierzyłem tym ognistym oczom, a dziś!...

— Dziś mścisz sią nad obrazem, za zdradę oryginału, gdzież schowałeś tę miniaturę? bo mimo całego gniewu, nie sądzę żebyś ją zniszczył.

— Jn fundo! na samém dnie kuferka spoczywa, malowaniem na spód, żebym przypadkiem nawet, nie zobaczył rysów, które mi najczarniéjszą obłudę przypominają.

— Do uzupełnieuia opisu jeograficznego, dodaj tylko jeszcze że *powietrze* napełnione jest dymem tytóniu, *grunt* polerawany, *mieszkańcy* poswięcają się sztukom pięknym.

— Teraz powiedz mi Stanisławie, od czego, zaczniemy podróż naszą? Sądzę że podług dawnego zwyczaju pójdziemy oddać *primaria Jovi.* Mamy Kapucyński kościół podrodze.

— A prócz tego jak to mówią przy jednym ogniu dwie pieczenie możemy upiec, pomodlić się i uchwycić jaki rys do podróży. W prawdzie o téj godzinie, niewiele osób znajdziemy w kościele, bo u nas piękny świat, dopiero około jedénastéj godziny pokazuje się w świątyni, ale za to, pewno ci których tam teraz zastaniemy, wszyscy modlić się będą szczerze.

Dotknęła mię ta uwaga, bo zdawała się przymówką do nas; czułem że oprócz modlitwy inny jeszcze cel prowadził kroki nasze ku swiętemu miejscu; dla tego postanowiłem wstrzymać się od wszelkich uwag, dotyczących osób którebyśmy znaleźli w kościele.

Weszliśmy; właśnie kapłan rospoczął świętą ofiarę, kilka tylko dłoni wzniesionych było ku obrazowi Wniebowstąpienia, kilka tylko myśli na skrzydłach modlitwy ulatywało ku tronowi Najwyższego. Stanąłem przy ostatniéj ławce w któréj jedna tylko osoba siedziała, a mój towarzysz postąpił daléj.

Wyszliśmy po skończoném nabożeństwie, jeszcze na kamiennych schodach prowadzących na dół zapytał mię Stasio:

— Uważałeś tę kobietę, która siedziała w ostatniéj ławce?

— Widziałem ją wchodząc, ale przyznam ci się że od chwili kiedym pierwszy raz spojrzał na ołtarz, oczy moje nie oderwały się już od niego ani na chwilę. Miałbym sobie za błąd zbiérać do naszéj podróży w miejscu które powinno wrażać uszanowanie tylko i cześć najgłębszą.

— Kiedy to jedno z drugiém da się pogodzić. Sam przyznaj, czy można lepszą cześć oddawać Stwórcy, jak uwielbiając go w jego pięknych tworach.

Znam tę kobietę o którąsię ciebie pytałem; jest to pani M. od trzech lat dopiéro zamężna; przed tygodniem widziałem ją w saskim ogrodzie, prowadzącą za rękę dwuletniego aniołka, tak pięknego jak ona; bez wątpienia za zdrowie swego dziecięcia modliła się.

— Istotnie, słyszałem częste westchnienia, i nie śmiałem zuchwałém spojrzeniem przerwać jéj gorących modłów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODRÓŻ
PO WARSZAWIE.

(*Dalszy ciąg.*)

— Przy mnie znowu, klęczała jakaś młoda panienka, rumiana jak wiosenny wschód słońca, na ślicznym paluszku śnieżnéj dłoni kornie wzniesionéj, dostrzegłem pierścioneczek złoty, z opaską kruczych włosów, założyłbym się że to są włosy kochanka, i że jego imie najczęściéj było powtarzane w jéj modlitwie.

— Teraz należałoby napić się kawy, nieprawdaż? Oh! kawiarnia jest obfitém źródłem obrazów towarzyskich. Gdzież więcéj znaleść postaci prawdziwie malowniczych? Na giełdzie wszystkie palce obliczają procent, wszystkie uszy ciekawie oczekują wiadomości mogącéj podnieść cenę kapitałów; w teatrze z mniéjszém lub większém zajęciem, wszyscy jednak zwracają oczy na scenę; tymczasem równie lubownik sztuk pięknych, jak kupiec albo lichwiarz piją kawę, a niekażdy może ją pić w domu.

— No, już nam i takim jak my nie dziwię się, żyjąc *en garçon* miło jest przejść się kilka kroków na kawę zobaczyć się *za jedną drogą*, z kilku znajomemi, przeczytać jaką porządną gazetę, wypalić fajkę i poumizgać się nakoniec do zgrabnéj kawiareczki; ale, czy uwierzysz? wczoraj,

spotkałem się na kawie z Karolem*** Dopiéro pół roku jak się ożenił, sądziłem że przypadkiem tylko znajdował się z rana w tém miéjscu, ale mię kawiarka zapewniła, że płaci miesięcznie i co dzień od dawna już najregularniéj o ósméj przychodzi. Uważałem nawet, że poufale bawił się z kawiarką. Mogąc miéć to samo w domu, a nawet wygodniéj, nie pojmuję dla czego chodzi do kawiarni. Chyba że jéjmość dobrodziéjka za nadto słodzi mu kawę swemi kaprysami, bo słyszałem że to jest nienajłagodniéjszy baranek.

— Ty zawsze w każdéj sprawie małżeńskiéj winę składasz na żonę, jakby mąż nigdy nie mógł być złym; co do mnie sądzę raczéj, że w tym przypadku błąd jest ze strony Karola; czyż nie pamiętasz że był najniestalszym ze wszystkiéj młodzieży z którą żyliśmy; sprzykrzyła mu się już żona, i dlatego stara się ile możności jak najmniéj siedziéć w domu. Wiesz co, kiedy sobie pomyślę jak czarną niewdzięcznością odpłacamy się kobietom za tyle najtkliwszéj miłości, za tyle szczęścia którego nam pozwalają kosztować, uniewinniał bym nawet zdradę z ich strony, bo ta jest jedynie uprzedzeniem podobnegoż z naszéj strony postępku.

— O! już ja to wiem, że z ciebie byłby doskonały małżonek; na kolanach pełniłbyś każdy rozkaz połowicy, ale to się na nic nie zdało. Nie dośćże przed ślubem dać sobą powodować, trze-

baź jeszcze ulegać wtedy, kiedy przed ołtarzem o-odebraliśmy przyrzeczenie posłuszeństwa? Wiesz co, nie żeń się wcale, bo byś przykładem twoim popsuł może nie jednego.

Chciałem odpowiedzieć, wtém spostrzegłem o kilka kroków przed sobą, śmieszną postać człowieka którego rysy nie były mi obcemi. Wyświéżony był jakby go prosto z żurnalu mód wyciął, faworyty do okoła, wąsy, hiszpanka, a włosy!... mogłyby dla dwóch wystarczyć, szkoda tylko że choć mała wypustka białego kołnierzyka, nie środkuje między czarną krawatą i czarnemi faworytami; ale cóż robić, i to jest modnie choć nie ładnie; dobrze ktoś powiedział, (niepamiętam gdzie to czytałem), że niezawsze czysty smak pochwala to, co moda uświęci. Jeszcze nie miałem czasu uczynić tych wszystkich uwag, kiedy człowiek o którym mówię, zmierzywszy mnie i mego towarzysza przymrużonemi oczyma, zawołał:

— Jakże się macie! cóż to się znaczy że was już ze trzy miesiące nie widziałem.

— Ją sam, odpowiedział Stasio, dziwiłem się, i chciałem takie same uczynić ci zapytanie; zniknąłeś nagle jak byś w padł w wodę.

— Wyjeżdżałem za granicę, nie byłem tu już od pół roku.

— I jakże możesz się dziwić żeś nas trzy miesiące nie widział? my przez cały ten czas nie ruszyliśmy się z Warszawy.

— Otóż to mię dziwi, że wy niebyliście za granicą. Tamto przyjacielu każdą porę roku rozkosznie można spędzić, do około wszystko nowości, co za budowy, jakie kawiarnie, *a propos!* nie piłem jeszcze dziś kawy, trzeba by wstąpić.

— Właśnie i my ten sam mamy zamiar, pójdź znami, porównasz zagraniczne kawiarnie z naszemi.

— Chętnie.

Weszliśmy do najbliższéj kawiarni; prawie wszystkie stoły zajęte, dwie roznosicielki nie mogą nadążyć, wysłuchać, i dopełnić wszystkich żądań, trochę za nadto dymu, lecz to inaczéj być nie może, ale co najważniéjsza, jednym rzutem oka ogarnąć można mnóstwo pojedynczych obrazów, a nawet grupp nader malowniczych. Nim podadzą nam kawę, przyjrzyjmy się obecnym.

Przy bufecie, siedzi jakiś wysoki, chudy męszczyzna w szafirowym surduciku, spija w milczeniu kawę, i zagryza polewanemi sucharkami, które wybiéra dla niego otyła gosposia, uważając, w którym jest rodzenek. Nie ledwie założyłbym się że ten panicz nie płaci za kawę, chociaż codziennie więcéj niż jedną filiżankę wypija. Daléj przy osobnym stoliku, siedzi młodzieniec może około lat dwudziestu dwóch, głowę oparł na dłoni, zamyślony, smutny; przed nim na stole, stoi filiżanka kawy zimna już zupełnie, bo zapomniał nawet poco wszedł do kawiarni. Zbliżyłem się chcąc zająć wolne krzesło przy tym samym stoliku; siadłem,

smutny młodzieniec nie zważał tego; nieśmiem przerywać jego zamyślenia, Westchnął głęboko, i zdawało mi się że widziałem łzę w jego oku. A więc żal jego musi być bardzo głęboki! Jakiś jegomość zbliża się do niego. Puszczając z ust ogromne kłęby dymu prawie tak grubego jak gospodyni, i głaszcząc co chwila ogromne faworyty przystępuje do zasmuconego młodzieńca i zapytuje prawie poufałym głosem:

— Cóż to pana tak zasmuca? niegodzi się w tak młodym wieku zatruwać sobie dni przeznaczonych wesołości i zabawie, troską i zmartwieniem.

Młodzieniec milczał; może nawet istotnie nie słyszał zapytania.

Jegomość z fajką nie dał się tak łatwo odstręczyć, i mówił daléj:

— Jeśli pan masz jakie zmartwienie chciéj je twoim przyjaciołom powierzyć, ulżysz sobie, dzieląc ciężar trosków między tych, co razem z tobą pragną się smucić i cieszyć.

Młodzieniec podniósł głowę, spojrzał na mówiącego, i zdawało się że nie poznaje go, a raczéj że niebyłby w stanie, poznać w téj chwili własnego brata, a jednak idąc za skłonnością cierpiącego serca, które istotnie ulgę czuje w wynurzeniu swojéj boleści, odezwał się drżącym głosem:

— Cóż, że powiem panu co mi łzy wyciska, strata moja jest nie powetowaną, a boleść z życiem się dopiéro skończy.

— Będziemy więc razem z panem płakać! zawołał prawie śmiejąc się jegomość z wielkiemi faworytami.

Rozgniewałem się tym tonem lekceważenia, jednak nie odzywałem się

Młodzieniec nie uważał na to i z rozdzierającą serce rospaczą, zawołał:

— Mój ojciec umarł!!!...

— Umarł? a niechże go kaci porwą! wykrzyknął czuły pocieszyciel, puścił duży kłęb dymu, i odwrócił się gwiżdżąc pod nosem jakąś aryjkę z Roberta djabła.

Młodzieniec nawet tego wykrzyknika nie słyszał. Oparł znowu głowę na dłoni i pogrążył się w myślach.

Obejrzałem się w przeciwną stronę. Przy drugim stole siedziało trzech męszczyzn. Dwaj rozmawiali żywo między sobą, trzeci trzymając w ręku jakąś gazetę, niecierpliwił się zbyt głośnemi wykrzyknieniami sąsiadów, i co chwila odrywał oczy ojuczone ogromnemi okularami, od pisma które chciwie czytał, i spoglądał na rozmawiających wzrokiem bazyliszka.

Naprzeciwko tego żarliwego czytelnika, siedział jeszcze jeden młodzik wykwintnie ubrany; dawno już wypił kawę, wypalił fajkę, trzy razy wstał, włożył rękawiczki, zdjął je, usiadł znowu i utopił oczy w starym czytelniku gazety, ścigał każde poruszenie jego, każde przewrócenie kartki; zda-

wało się że liczy wyrazy, sylaby, litery, które tamten zwolna mija jedne po drugich. Nakoniec stary jegomość kładzie gazetę. Młodzieniec powstaje szybko, porywa cel swego oczekiwania, i chciwie przebiega oczyma ostatnią kartkę doniesień. „Dziś w kawiarni przy ulicy *** grać i śpiewać będą panny Hessen.“ mruknął pod nosem, porwał kapelusz i zapomniawszy nawet zapłacić, wyszedł.

Biedny człowiek! nie uważał że wczorajszą gazetę przeczytał, a panny Hessen zapewne dziś spiewają gdzie indziéj.

Dano nam przecie kawę. Dwaj panowie którzy rozmową swoją przeszkadzali czytającemu Gazetę, odeszli, on także przerzuciwszy raz jeszcze pierwszą kartkę, powstał, i poszedł rachować się z kawiarką. Zawołałem więc Stasia, któremu August (tak się nazywał przyjaciel nasz, który powrócił z zagranicy), kładł w ucho porównanie naszych ciemnych, i zaledwie porządnie umeblowanych kawiarni, z wspaniałemi od kryształów i brązów błyszczącemi się *Kafenhausami* w Wrocławiu Karlsbadzie i Gdańsku.

Siedliśmy przy jednym stole: zacząłem towarzyszom moim opowiadać o tkliwym jegomości co tak skorym był do pocieszenia młodzieńca zmartwionego po stracie ojca. Stasio spojrzał w tę stronę w któréj ów młodzieniec siedział, i poznał w nim Juljusza M. którego znał od dzieciństwa. Powstał, zbliżył się ku niemu, ujął go po przyjacielsku za rękę, i zaczęli przytłumionym głosem rozmawiać.

Niewiem co mówili, ale rysy młodzieńca przybrały wyraz spokojnego poddania się losowi. Gwar cokolwiek ucichł, czy też rozmowa towarzysza mego z Juliuszem stała się głośniéjszą, dość że usłyszałem następujące wyrazy:

— Usiłuję rozpędzić czarne myśli które mię nieustannie dręczą, ale nadaremnie; ten zgiełk nawet nie może mię rozerwać. Jeden tylko obraz bezustannie przedstawia się méj duszy, jedna tylko myśl ciągle mnie ściga. To obraz konającego ojca, to myśl, że jestem sierotą, że nie ma już na ziemi serca, któreby mię kochać było zdolne.

— A serca twoich przyjaciół!... Juliuszu, czyliż straciłeś już wiarę w słodycze przyjaźni? Znowu ucichła rozmowa, nie mogłem nic słyszeć, ale musiały słowa Stasia trafić do przekonania Juliusza, bo powstał, uścisnął przyjaciela z prawdziwie serdeczném wylaniem, i rzekł odchodząc:

— Czekam cię więc kochany Stasiu, ale nie daj mi długo czekać, bo samotność zabija mię!...

— Przyjdę za kwadrans, albo zaczekaj, idę z tobą zaraz.,. i wracając do mnie szepnął mi do ucha: Zobaczemy się wieczorem na komplecie u pana Z...bo teraz muszę pójść z biednym Juljuszem.

Odszedł. Zapłaciłem za kawę, i wyniosłem się korzystając z chwili kiedy August rozmawiał z kawiarką.

MÓWIĄCE OBRAZY.

Jeden z moich towarzyszy szkolnych, został bogatym! Zdanie bardzo pospolite, powiedzielibyście! Być może; ale co jest dziwném, że mój przyjaciel nie jest głupcem, ani oszustem, a te dwa rodzaje ludzi najprędzéj robią majątek; a jeszcze dziwniejszém, że mimo to nie zapomniał o mnie, i żyje ze mną ciągle, choć ja zaledwie mam tyle ile mi do porządnego życia potrzeba.

Istotnie, Artur Lebel nie jest pospolitym człowiekiem. Zdania jego nie ze wszystkiém zgodne są z uświęconemi teraz zdaniami; dziwny jest, bo lubi dzieła P. George Sand, a nieczyta wcale Pawła Kocka. Zresztą daje bale, ma sto tysięcy franków rocznego dochodu; jest zatém człowiekiem godnym szacunku, i gdyby miał cokolwiek więcéj samolubstwa, możnaby powiedzieć że jest zupełnie *comme il faut*.

Odwiedzałem go przed kilku dniami; pokazał mi list odebrany dniem pierwéj, w którym go proszono o miejsce w biurze jego, dla pewnego młodego malarza; komukolwiek innemu prośba ta zdawałaby się za śmiałą.

— Dałeś mu to miejsce? zapytałem.

— Mógłżem uczynić inaczéj! potrzebował tego!....

— A znasz go?

— Widziałem go dziś z rana.

— Zapewne nowy Van-Dick,... długie włosy, faworyty rude, a suknia zapięta aż pod szyję?

— Wcale nie; owszem bardzo miły młodzieniec, łatwy do zarumienienia się jak student, i szukający śmiałości w dnie swego kapelusza, przytém smętny i blady, ponieważ niedawno wyszedł z ciężkiéj słabości. Jeśli chcesz go poznać, zostań u mnie na obiedzie, on także będzie.

— Chętnie, zostaję.

Młody malarz przybył w oznaczonym czasie; zwykle w tym względzie dokładnemi są ludzie którzy nie mają zegarka. Artur Lebel nie przedstawiał nas wzajemnie, aby nam oszczędzić ukłonów, i wymuszonych grzeczności; dano nam znać, że obiad już zastawiony, i siedliśmy do stołu.

Młodzieniec, zdawał się z razu nie chcieć patrzeć, ani mówić, ani słuchać; jednak za pierwszém daniem, zaczął patrzeć, za drugiém, już słuchał; a przy wetach, odzyskał nawet mowę. Pytaliśmy go o różne okoliczności, i w kilku słowach, opowiedział nam całą swoją historję.

Będąc młodym, marzył o tych artystach dawnych czasów, którzy przeżywszy długie lata, w niedostatku albo nawet w nędzy umiérali, zo-

stawiając imie, które stawało się przedmiotem czci i uwielbienia; zapragnął cierpieć jak oni, i otrzymać jak oni, wieniec męczeński po śmierci. Ale zabrakło mu sił w samym początku.

— Może praca byłaby ci je nadała, rzekł Lebel.

— O! nie panie, bo to nie słabość, ale zapał mię gubił. Nie mogłem umiarkować pracy stosownie do sił moich, to zatrudnienie, zaledwom go dotknął, porywało mię. Było to coś podobnego do namiętności gracza. Sztuka była dla mnie tuniką Nessusa: zaledwie przycisnąłem ją do łona, zapalała mię, i nie mogłem jéj od siebie oderwać tylko z ciałem i krwią moją!... Mój rozum zaledwie nie uległ w téj walce.

— Jakto? ta słabość z któréj pan dopiéro wyszedłeś!...

— Była skutkiem czarodziejskiéj władzy malarstwa.

Oparliśmy się o stół, aby uważniéj słuchać opowiadania, a młodzieniec mówił daléj rumieniąc się,

— Wiele już mówiono o cudownym wpływie muzyki, ale nikt nie wie, do jakiego uniesienia może nas doprowadzić malarstwo. Nie jeden z podróżników przypomni sobie, jak gdy po długiém uwielbianiu układu, rysunku i kolorytu w obrazach wielkich mistrzów, nagle płótno ożywiło się, osoby malowane zdawały się odłączać od tła jakby widma; ja sam wielekroć doświadczyłem tych

czarów, ale trwanie ich było krótkie, i że tak powiem dobrowolne. Oddawałem się im, jak marzeniu, w którém czujemy, że nam się śni tylko, a jednak oddajemy się słodkim snu złudzeniom; jest to rodzaj widowiska scenicznego, które wyobraźnia w nas sprawia, a dla którego dusza jest widzem.

Pewnego wieczora, długo zgłębiając skład szkieletu i wyrysowawszy go we wszystkich pozycjach, otoczyłem się dziełami o fizjonomji, i starałem się przeniknąć tajemnicę téj nauki, która serce kładzie w rysach twarzy. Byłem pochłoniony w porównywaniu uwag i wniosków rozmaitych autorów; przystosowania moje były tak zupełne, jak tylko człowiek uczynić to jest w stanie. Żadne wspomnienie nie zakłócało mych myśli, bo obcy światu od kilku miesięcy, jedynie zajęty zgłębianiem ulubionéj sztuki, mój umysł podobny był spokojnie stojącéj wodzie, która każdy obraz jak czyste zwierciadło odbija. Druga godzina po północy wybiła na dalekiéj wieży, odgłos ten zdawał się niszczyć czary, które mię oddzielały od zewnętrznego życia, i wyrwał mię z długiego zamyślenia.

Spojrzałem w około. Moja lampa, zbladła tak iż nie spostrzegłem tego, i bliską była zgaśnięcia. Otoczona ciemnym kręgiem, rzucała jednak jeszcze czerwonawe światło, które moją izdebkę dzikiemi okrywało rysami. To przypominało zachód

słońca w odległości. Mój model, stojący w niejakiej odległości, w greckiéj jarmułce i z fajką w ustach, uśmiechał się tym okropnym śmiechem, który malarze średnich wieków, z taką energją umieli wydać; gipsowe części ciała rozwieszone na ścianach, kołysały się od nocnego wiatru, a w oddaleniu słychać było ostatnie szmery wielkiego miasta, które już zasypiało.

Póki moja uwaga zajęta była myślami, nieczułem utrudzenia; ale wyszedłszy z zamyślenia, uczułem coś podobnego, jak pływak, który długo nabawiwszy się w wodzie, dopiéro kiedy na ląd wyjdzie, dostrzega, że wszystkie jego członki upadają pod ciężarem zmordowania. Zdawało mi się, że cała moja izdebka kołysze się ze mną; głowa moja była pustą, czułem zimno we włosach i nie miałem w nogach władzy. Prawie w téj saméj chwili porwany zostałem wirem, który otoczył mię tysiącznemi kręgami ognia. Widziałem jak książki skakały, skielet podał rękę Niobie, i zaczął z nią walcować; pęcherzyki z farbami uszykowały się na palecie, tworząc śmieszne kadryle, a pędzle ułożone symetrycznie w kształcie promieni koła, obracały się jak ognisty młynek na stalugach.

Pomięszany, zamknąłem oczy, i wpadłem przez pół w omdlenie, podczas którego wszystko mięszało się w méj głowie. Nie mogę zapewnić jak długo trwał ten szczególny stan duszy mojéj, ale po

długiém przesileniu, podobném do tego, jakiego doświadczają chorzy kiedy gorączka dochodzi do najwyższego stopnia, wszystko wyjaśniło się przed memi oczyma, i znalazłem się stojącym na środku mego mieszkania.

Było już dobrze na dzień... Słońce rzucało długie promienie na malowidła, które napełniały ciasne moje mieszkanie, i zdawało mi się, że wszystkie nabrały jakiegoś wyrazu, którego dotąd w nich nie dostrzegałem. Zdawało mi się, że płótno się rusza, że rysy nabiérają bryłowatości. Znajdowałem się wtedy naprzeciwko obrazu mojéj ciotecznéj babki, która z spuszczonemi oczyma i w pół podniesionym wachlarzem, zdawała się postacią skromności; usta jéj poruszyły się nagle i usłyszałem te słowa przez nią wymówione:

— Przestań pan, bardzo proszę!...

Osłupiałem niewierząc sam sobie, albo raczéj sądząc, że śpię jeszcze; wtém głos jakiś odezwał się zamną:

— Jakże się podobam?

Obróciłem się; te słowa wymówił obraz jednego z krewnych moich, podporucznika z niebieskiemi jak fijołek oczyma i czernionemi wąsami. Jeszcze nie przyszedłem do siebie z podziwienia, kiedy liczne zapytania i wykrzykniki zabrzmiały ze wszech stron; wszystkie obrazy rozwieszone po ścianach mojéj izdebki, mówiły!...

Usiadłem przerażony, i spoglądałem błędnemi oczyma w około. Nie spałem, czułem poranny wietrzyk i zapach mego heljotropu; wszystko to nie było marzeniem. A jednak ciągle słyszałem głosy moich obrazów, i widziałem ich poruszenia. Cud ten był tak widoczny, tak niezaprzeczony, że zwolna przyzwyczaiłem się do niego. Powstałem i przeszedłem się po izbie, słuchając pięćdziesięciu głosów które się mięszały z sobą, powtarzając ciągle te same wyrazy. Wydawało się to jakby zbiór wyuczonych papug, albo modne towarzystwo wielkiego świata.

— Przeklęci niech będą, krzyknąłem nareszcie, malarze, którzy umieli jedną tylko myśl zachować w swych obrazach.

— Potém obracając się do dwóch prawie już zatartych portretów, zawołałem:

— O mój ojcze! o moja kochana matko, dla czegóż pędzel nie umiał wydać całéj waszéj duszy w waszym uśmiechu; i przybił tylko na waszych ustach wyraz powagi. Tobie zaś piękna Teresso, dla czego ten bazgracz niemiecki położył na ustach wieczne *ach* zalotnego zadziwienia?

W téj chwili spojrzenie moje padło na małą miniaturkę, arcydzieło wielkiego artysty; był to portret najdroższego mego przyjaciela, wszystko co mi po nim pozostało. Barwa życia wystąpiła na jego usta, otworzył je i mówił niedbale o smutkach ziemi, o lepszym świecie, gdzie życie jest tak o-

gniste, tak wonne; potém przypominając smutne pamiątki, odmówił bardzo cicho kilka wierszy, napisane dla kobiety którą inny otrzymał. Już głos drżący mego przyjaciela uciszał się żalem przyciśnięty, a ja czułem duże łzy spływające po mojéj twarzy, gdy pomieszane wykrzyki portretów mojéj familji, wyrwały mię mimo woli wzruszeniu... Groziłem pięścią ciotce, stryjowi, wszystkim moim kuzynom, wołając, aby się uspokoili, lecz nadaremnie, słodki głos przyjaciela zginął wpośród téj wrzawy.

— Któż mię uwolni, zawołałem, od tych piszczałek jedno-tonnych, które mię zagłuszają! Oh! dla czegóż nie mam tutaj, w miejsce tych pospolitych obrazów, poetycznych utworów naszych mistrzów!

Wtém nagła myśl przysała mi do głowy: Muzeum królewskie.. Muzeum!.. Nie mogę opisać, jaką radość wzbudziły we mnie te dwa wyrazy... Słyszyć mówiącą Madonnę Raphaela, Chrystusa, Titiana i Corregia, świętych męczenników, Dominiquina... Twoich pasterzy, Poussin, wesołe zwrotki tańczących pasterzy w lasku Arkadji, przy grobie pokrytym bluszczem!... Cicho, nędzne portrety, uciszcie się dumne echa!... Muzeum królewskie!...

(Dokończenie nastąpi.)

MÓWIĄCE OBRAZY.

(Dokończenie.)

Wyszedłem z domu, pobiegłem do Louvru. Na drodze potrąciłem człowieka niosącego duży obraz przewrócony głową na dół. Była to piękna Margrabina, którą widziałem przed kilką miesiącami kwestującą dla ubogich sierot. Szlachetna dama! Otworzyła usta, sądziłem, że będzie się użalać na swoje nieprzyzwoite położenie, i oddalałem się ze spuszczonemi oczyma, gdy wymówiła łagodnie imie, które które mię dreszczem przejęło. Było to imie jéj malarza.

Uciekłem, nie zdołały mię nawet zatrzymać głosy wywieszonych przed sklepami rycin.

Żeby tylko muzeum nie było zamknięte! powtarzałem ciągle. Dwie są bowiem rzeczy, na które nigdy nie można liczyć w Paryżu; ulice, których bruk ciągle poprawiają, i wystawy publiczne, które zawsze są zamknięte. Ale nie, muzeum dla wszystkich jest otwarte.

Pokazuję bilet, ściskam obie ręce szwajcara, byłbym go pocałował, gdybym nie obawiał się spóźnić; przebiegam schody, tysiące głosów dochodzą już do mnie, postępuję daléj,... drzwi się otwiérają.

Nie, nigdy język ludzki nie zdoła tego wyrazić co doświadczałem. Była to burza głosów, odurzająca, niezgodne śpiewy, cudzoziemskie języki, używane i zapomniane, odcienie wszystkich wieków, groźby, miłość, błagania, szczęk broni, huk dział, świst wiatrów, szumiące potoki rzek, gromy nieba, wiry morza, wszystko to razem pomieszane brzmiało w obszernych salach jak uragan. Zatrzymałem się; blady, pomieszany, strwożony, drżałem cały; byłem podobny do podróżnego, który zabłąkawszy się w nocy w ciemnych podziémiach, ujrzał się nagle w kole sabatowém.

A jednak żądza wejścia do galeryi przezwyciężyła wszystkie inne uczucia; ten szmer, te pomięszane głosy brzmiące w salach i odbijające się od ścian i sklepień, przyciągały mię z niepojętą siłą.

Gdybym mógł tylko dostać się do Włoch! myślałem sobie.... I przezwyciężając się, zatkałem z całą mocą uszy rękoma, pobiegłem do galerji.

Przechodząc szkołę francuzką, nie spotkało mię żadne nieszczęście. Słyszałem tylko szmer głuchy i jednotonny, podobny do szmeru dwudziestu młynów wodnych. Ale gdy doszedłem do szkoły holenderskiéj, pośliznąłem się, odjąłem jedną rękę od ucha, i sto głosów skowyczących aż w mózgu mi się odbiło. Wszyscy śpiéwali tak

fałszywo, iż sądziłem na chwilę, że jestem na operze komicznéj. Na prawo, na lewo, same tylko obelgi, bitwy pijackie, śpiewki karczemne; byłem wpośród pijaków Teniera! Odwróciłem oczy, ale z drugiéj strony Najady Rubensa przywoływały mię palcem śmiejąc się rubasznie. Wszędzie około mnie widziałem rycerzy wspartych dumnie na lewém biodrze, w kapeluszach spuszczonych na ucho, z wypukłemi czerwonemi licami.

Zdawało mi się, że byłem w jednéj z szynkowni Amsterdamu, gdzie szlachta zniszczona z wieku Ludwika XIV, uczyła się filozofji praktycznéj przy kuflu piwa i smagłéj szynkarce. Co mię zaś najwięcéj uderzyło wpośród tego zgiełku, to młodzi malarze siedzący spokojnie, albo fechtujący się pędzlami, z sztalugami, gdy tymczasem strażnicy galerji snuli się powoli, z rękoma w tył założonemi, upominając mię abym tak prędko nie chodził.

Nie zwracałem na to żadnéj uwagi; zatkałem znów uszy, i postępowałem daléj; w końcu sali spostrzegłem gwiazdy których szukałem; wszedłem do szkoły włoskiéj!...odjąłem ręce od uszu, aby w zupełności używać niebiańskiéj harmonji któréj się spodziéwałem.

W pierwszéj chwili słyszałem tylko gwar żartobliwy. Ale im bardziéj posuwałem się, gwar ten wzrastał, nakoniec przerodził się w hałas tysiąca śmiejących się głosów. Ze wszech stron widziałem tylko kobiety! same różane usta ciągle

mówiące albo śpiéwającc, same powabne głowy zalotnie nachylone, blade lica rumieniące się tylko dla tego, aby zwrócić na siebie uwagę. Na chwilę zdawało mi się, że przyjemna harmonja przebiega galerję, ale to trwało tylko krótko jak błyskawica. Prawie natychmiast pomięszane wrzaski wracały znowu, niepodobna było odróżnić pobożnych westchnień od zalotnych wykrzykników; była to śmieszna nieustanna walka, między niebem i ziemią, między Bogiem i szatanem.

Gwar ten, jakkolwiek nie tak szumny jak w szkoe flamandzkiéj, przykrzejszym mi był jednak. Niesmak sprawiało to pomięszanie w duszy poganizmu z chrześcjanizmem. Byłem znużony, niepewny, drżący, nie wiedziałem którego z tych głosów mam słuchać, dałbym resztę mojego życia, za nieco porządku w tém zamięszaniu.

Pragnąłem dojść do mego jedynego celu, pragnąłem usłyszyć głos obrazów Rafaela.

Biegałem od jednego do drugiego, padałem na kolana przed Michałem archaniołem; zaklinałem samego Rafaela, który z pochyloną głową patrzał na mnie. Może byłby mi odpowiedział, kiedy wtém uczułem ciężar ręki opierającéj się na mojem ramieniu: odwróciłem się... otoczony byłem żołnierzami, których dowódca wskazywał na mnie palcem. Chciałem wymknąć się; ale w téj chwili ogarnęło mię jakieś olśnienie, wszystko znikło z przed moich oczu i zemdlałem.

Kiedy odzyskałem zmysły, znalazłem się w szpitalu i powiedziano mi, że byłem przez trzy miesiące obłąkany. Pojąłem wszystko, i uczułem, iż powinienem wyrzec się malarstwa."

— Było to bezwątpienia wielką boleścią dla pana, rzekł Artur Lebel; pewno ze sześć tygodni spędziłeś przeklinając los srogi, który przymusił cię wyrzec się słońca które cię oświecało, i powrócić do prozaicznego życia.

— Spędziłem, panie, sześć tygodni nad nauką arytmeki, i po upływie tego czasu prosiłem o list polecający do pana.

Wziąłem rękę młodzieńca i uścisnąłem.

— Panie, zawołałem, bądźmy przyjaciołmi. Jesteś rzadkim człowiekiem; wyrzekłeś się mniemanéj sławy dla rzeczywistości. Co do szczęścia, znajdziesz je, bo szukałes go tak jak Chrystus kazał szukać prawdy, *z sercem prostém!*

KAPŁON i BÓL ZĘBÓW.

(Dwie anegdoty z życia Napoleona.)

Jeden z dowcipnych francuzkich pisarzy, P. Lafitte, wydaje pamiętniki byłego artysty komedji francuzkiéj, P. Fleury. Nikt nie przeczy, że to jest zbiór i prawdy i nieprawdy, i na rachunek biednego Fleury nazmyślano nie mało. Ale cóż do tego! książka pisana rozumnie, żartobliwie, zabawnie, i na wyścigi ją czytają. W tomie szóstym, który niedawno wyszedł w Paryżu, znowu jest mnóstwo szczegółów i anekdot. Oto dwie z nich: które są przedrukowane w różnych dziennikach francuzkich. Ciekawemi są dla tego, że wystawiają domowe życie Napoleona.

Napoleon spał zwyczajnie na szczupłej marszowéj pościeli, a jego mameluk, Rustan, zawsze się umieszczał w sąsiednim pokoju, na materacu, przysuniętym do drzwi. Zdarzało się Cesarzowi zasypiać na lewym boku, i wtedy miéwał sny bardzo przykre; krzyczał, rzucał się w pościeli; Rustan zawsze był czujnym w takiém zdarzeniu. Na-

tychmiast biegł do pokoju Napoleona i żylastemi swemi rękoma bez ceremonji na prawy go bok przewracał, poczém Napoleon zasypiał spokojnie. Na noc zastawiano zawsze w zapas pieczonego kapłona, na przypadek jeśliby się Cesarz ocknął o drugiéj godzinie, jak się to często zdarzało. Wtenczas zwyczajnie zjadał nóżkę albo skrzydełko, a czasem i to i drugie. Pewnego razu Napoleon zasnął późniéj jak zwykle; musiał się położyć na prawym boku, bo spał twardo i spokojnie. Godzina druga wybiła i Napoleon się nie budził. Rustan cały ten czas nie zmrużył oka, i czuł porządny apetyt, a kapłon zdawał mu się już wcale niepotrzebnym; otóż wziął się doń szczerze i zjadł prawie całego; potem zapił szklanką przedniego wina, przyłożył ucho do drzwi sypialni, nic nie było słychać: Napoleon oddychał lekko i spokojnie. Rustan rzucił się na swoją pościel i zasnął jak zabity.

Pod ranek, jeszcze jednak przed switem, Napoleon się przebudził. Czuł mocny apetyt, zawołał cicho, Rustanie! ale Rustan się nieodezwał; zawołał jeszcze raz na niego, toż samo milczenie. Napoleon zerwał się z pościeli: „Obaczmy pomyślał, czy tak dobrze strzeże mię mój wierny sługa, jak się z tego chełpi!“ Poszedł do drzwi i otworzył je powoli. U Rustana nie było swiatła; chrapał okropnie; Napoleon podniósł nogę, ażeby przez niego przestąpić. Lecz nagle Rustan się budzi;

rzucić się do oręża nie pora; chwyta więc Napoleona za gardło, dusi go, krzyczy: „Aha! złoczyńco! mam cię!“ Napoleon się krztusi, ale zbiera ostatek sił i przyciąga Rustana ku drzwiom; tu, przy świetle lampy, biedny mameluk poznaje Cesarza....

Można sobie wyobrazić jego zadziwienie, przestrach! Łzy puściły mu się z oczu....

— Czegożeś się przeląkł? Wypełniłeś swoją powinność.... Ależ u ciebie djabelskie ręce.... No nie płacz, ja ci przebaczam. Ażeby cię przekonać, żeś mi nic złego nie zrobił, daj mi jeść.

Rustan wpadł z jednego przestrachu w drugi.

— Jakto? teraz Najjaśniejszy Panie?

— Czegóż się dziwisz? Albo to głód na zegar patrzy? dawaj tu kapłona.

— N. Panie.,.. ale.... kapłon....

— No cóż? czy nie przygotowany? co?

— Ach! przebacz Najjaśniéjszy Panie! ale ten kapłon....

— Gdzieżeś go podział?“

— Ach! Najjaśniéjszy Panie, zwyczajna pora już dawno była przeszła... a kapłon tak na mnie mile spoglądał...

— No, i ty go zjadłeś?

— Przebóg! tak jest, Najjaśniejszy Panie!

(Dokończenie nastąpi.)

KAPŁON i BÓL ZĘBÓW.

(Dokończenie.)

— Przebóg? Teraz mnie to podobno trzeba będzie powiedzieć przebóg! I zjadłeś wszystko do szczętu?

— Ach, Najjaśniéjszy Panie, podobno zostało się cokolwiek..... ale, Najjaśniéjszy Panie....

— Najjaśniéjszy Panie i Najjaśniéjszy Panie!.. ruszajże i przynoś tu resztę kapłona!

Rustan zebrał kostki, poukładał je w porządku na talerzu, a tymczasem Napoleon się ubrał, i kiedy wszedł Rustan, on już siedział za stołem i niecierpliwie wyglądał kapłona. Drżący Mameluk postawił swoje dzieło na stole. Napoleon policzył kosteczki; podobało mu się, że te rozłożone były tak sztucznie.

— No, przynajmniéj wszystko w porządku, rzekł. Dobrze, ruszaj; pomówiemy o tém jutro.

Z drżeniem Rustan oczekiwał poranku. Nadszedł i ten nakoniec; wszystko w pałacu szło zwykłą koleją. Nakoniec Napoleon przywołał Rustana. Rustan zastał go z Józefiną. Rozmawiali o tém jakieby pędzili życie, gdyby mieli tylko 6,000 franków rocznego dochodu. To była jedna z najulubieńszych rozmów Napoleona. Józefina kupowała folwark, Napoleon drugi; u Józefiny cały dochód

szedł na bieliznę, na srebrne naczynia, na obiady dla sąsiądów, na podarki proboszczowi. Napoleon zakładał niezliczone plantacje, polował na dziki, i przedawał ich szczecinę.

— Ale wchodzisz w długi, moja miła! rzekł Napoleon do żony. Ty tracisz, tracisz, jak gdybyś miała 40,000 rocznego dochodu!

— Przeciwnie ty się rządzisz jak gdybyś posiadał wszystkie kopalnie Peru. Twój przychód przewyższają rozchody.

— Dobra mi dzierżawczyni! Niemoże obejść się bez obiadów i gosci.

— Wielki rolnik! zakłada angielskie ogrody na swojéj ziemi, zamiast ją zbożem zasiać.

— Przynajmniéj nie rób podarków proboszczowi.

— A ty niepoluj, bo któż się będzie zajmował twojém gospodarstwem?

— Czekajże, zaradziemy wszystkiemu. A propos, Rustan! ty przecie przydasz się na cokolwiek w mojéj dzierżawie?

— N. Panie będę się starał.....

— On będzie orał, rzekła Józefina.

— Tak, ma też zdrowe ręce, rzekł Napoleon, chwytając się za szyję, na któréj jeszcze widać było sine piętno.

— Ach! zawołał Rustan, zapewnie Wasza Cesarska Mość raczył przypomnieć...

— Moja droga, przerwał Cesarz, obracając się do Józefiny, nie zapomnij o drobiu, i zaprowadź

jak najwięcéj kurcząt i kapłonów; Rustan je lubi.“

Na tém się skończyła kara Rustana, który nie przestawał późniéj sto razy opowiadać o tém, jak zjadł cesarskiego kapłona. —

Józefina często cierpiała na zęby, i kiedy się zdarzał mocniejszy napad téj męczącéj słabości, to chociażby Napoleon był najbardziej zatrudnionym, natychmiast posyłał po Józefinę, albo sam do niéj przychodził, pieścił ją, sadzał przy sobie, wodził ją po pokoju, i zapewniał, że tylko nie trzeba myśléć o swéj chorobie, i zajmować się czém inném; lecz Józefina w żaden sposób nie mogła się do tego przyzwyczaić, i kiedy ją zęby bolały, o nich tylko myślała. Niekiedy Napoleon używał ostatnich środków; zaczynał opowiadać jéj bajki, a wiadomo, że opowiadanie nigdy, a przynajmniéj nie zawsze mu się udawało. Plątał wypadki, Józefina śmiała się, albo zasypiała nakoniec, i ból się tém kończył, Napoleonowi śmiech się więcéj podobał, dla tego, że ten zawsze przecie mógł pochlebić miłości własnéj opowiadacza, a wiadomo, przy jakich powieściach zasypiają; lecz on i za to się nie gniewał.

Pewnego razu Józefina cierpiała okropnie. Napoleon wmawiał, dowodził jéj, że trzeba władnąć sobą; ale gdy wszystkie uwagi okazały się bezskutecznemi, rzekł do niéj: „No, usiądźże, ja ci opo-

wiem bajeczkę, o chłopczyku na cal wysokim (le petit-poucet).

Napoleon lubił powieści P. Perro; podobała mu się prostoduszność opowiadacza, i miła jego naiwność, przez którą się przeświécała dowcipna ironja. Zwykł mawiać, że Perro jest dziecinnym Rabelais. Przy oblężeuiu Tulonu, wyuczył się na pamięć wszystkich tych powieści, i one mu to przypominały początek jego świetnego zawodu. Perro był jego domowym ulubionym autorem, a Ossjan autorem od parady.

Cesarzowa trzymała chustkę przy twarzy, starając się tém ból ułagodzić. Napoleon przysunął się do niéj, jak można najbliżéj, powoli przychylił jéj głowę na swoje ramie, i zaczął opowiadać o chłopczyku na cal wysokim.

— Był sobie drwal, miał żonę, i siedmioro dzieci, a wszystkie małe. Najstarszy miał lat dziesięć, najmłodszy siedem. Dziwiono się, że w tak krótkim czasie u drwala było już tyle dzieci, a cała sztuka była w tém, że mu się zawsze rodziły bliźnięta...

— Ach! z cicha westchnęła Józefina; zapewne przyszło jéj na myśl gorące życzenie Napoleona, którego ona nie mogła obdarzyć synem.

— No cóż? ból się twój wzmaga?

— O nie, przeciwnie! odpowiedziała Cesarzowa chcąc ukryć myśl swoję.

— Widzisz, jak moja powieść skutkuje. Słuchajże daléj; ale na czémże się zatrzymałem?

— U drwala, rodziły się bliźnięta.

— Tak, tak!

— Żona mu powiła bliźnięta; ale... ona umarła...

— Tak prędko?

— Tak,... ale jeśli mi będziesz przerywać... wszakże ja nie komponuję bajki.

— I tak, biédna kobiéta umarła. Nie długo się dzielono spadkiem. Rzecz obeszła się bez notarjusza i świadków, dla nich samych nie wystarczałoby całego spadku.

— Ale....

— Nie przerywajże mi jeśli czujesz ulgę.

— Przeciwnie, ja bardzo cierpię.

— No, więc słuchaj...

— Starszemu synowi dostał się młyn, młodszemu osioł, a trzeciemu kot.

— Kot! a to dobrze! ty zaczynasz bajkę o kocie w butach.

— Jakto? przecież w chłopczyku na cal niéma ani wzmianki o butach.

— A to ładnie! tamże to właśnie mówi się o butach, i jeszcze o siedmio-milowych butach.

— A więc ja mam słuszność.

Chciał daléj mówić, gdy wtém w przyległym pokoju rozległ się śmiech głośny.

— Kto tam? rzekł Cesarz.

Nie można było nie odpowiedzieć.

— Ja, rzekł Rustan, wychodząc z za drzwi.

— A! więc ty śmiesz nas podsłuchiwać?

— Wasza cesarska Mość raczył mówić tak głośno.

— A ty masz słuch tak ostry... Więc ty znasz bajkę o chłopczyku na cal?

— Tak jest N. Panie, bardzo dobrze ją umiem!

— A więc Rustan!... Opowiedz ją Cesarzowéj.

— Ja się obawiam.....

— No, no, siądź i opowiedz.

Posadził go przy sobie na taborecie. Bajka poszła jak z płatka, i sam Cesarz zaczął nakoniec słuchać z uwagą. Ale kiedy rzecz doszła do wilkołaków.

— Opuszczasz, rzekł, albo niepamiętasz że on mówi:

Dobrzy ludzie! jeżeli nie powiecie królowi, że ta łąka, którą kosicie, należy do Markiza Karabasa, to wszyscy zostaniecie porąbani w kawałki, jak nadzienie w piérogu.

— Jakto? przecie to mówi kot w butach.

— No, to już ja się pomyliłem.

— To może dla tego, że Cesarz Napoleon zwykł przywłaszczać sobie wszystko co zobaczy, rzekła śmiejąc się Józefina.

— No, dzięki Bogu! ty się śmiejesz, więceś uleczona, moja droga! zawołał Napoleon. I proszę teraz niewierzyć że bajeczki pomagają od bólu.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.